

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- PiS-owi służą amoralni prawnicy
- Czy lewica rozumie prywatny biznes?
- Ukraina wytrzyma wojnę na wyniszczenie?
- Obiecanki władzy i znikający węgiel



**WYSOKIE
OBCASY**

Filipka Rutkowska:
Jak zostałem queer
Agula Swoboda:
Szczerość mojej matki



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Kobiety kontra Iran

FOT. FRANCISCO SECO/AP

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Jak atom zawisł
nad światem**
Czyli historia wielkiego
wybuchu



Obywatelski HiT
Prof. Friszke: Dzisiejsi
fanatycy też wierzą,
że stworzą „nowego człowieka”

Matczak:
Order dla Macierewicza,
czyli czym kierował się
prezydent? ► 35

Wojciech
Czuchnowski



Niespokojny sen premiera

Od ponad roku poznajemy kulisy działania najbliższego otoczenia premiera Mateusza Morawieckiego – niemal codziennie tajemnicza strona Poufna Rozmowa ujawnia sprawy arcyważne, jak poufne dane na temat polskiej armii, ale też zabawne, że premier zjada za dużo batonów energetycznych. Są smutne, jak kolesiostwo, i smutniejsze, czyli korupcja i służalstwo propagandowych mediów. Główne źródło to zawartość poczty mailowej Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera i najbliższego współpracownika Morawieckiego.

Ale ostatni tydzień przyniósł nową odsłonę tej afery. Okazuje się, że wiosną 2020 r., w szczycie pandemii, cała kancelaria zmontowała prowokację przeciwko „Gazecie Wyborczej” i opozycyjnemu adwokatowi Romanowi Giertychowi. Nie podobało im się, że ujawniliśmy przekręt z zakupem bezwartościowych maseczek ochronnych od górala, który uczył jeździć na nartach ministra zdrowia.

Puścili więc w obieg materiały objęte tajemnicą adwokacką, które prawdopodobnie dostali od służb, a te zhakowały telefon Giertycha za pomocą Pegasusa. O wszystkim wiedział Morawiecki – jego doradca Mariusz Chłopik pisze w mailach, że „tego chce PMM”, i wzywa kolegów, by „nie wymiękali”.

Nie byłoby tej afery, a świństwa nie wyszłyby na jaw, gdyby Dworczyk i cała ekipa skupiona wokół premiera prowadzili korespondencję ze służbowych kont mailowych, podlegających ochronie państwowych służb. Woleli pisać ze zwykłej, komercyjnej poczty, bo bali się zapewne, że po zmianie władzy następcy będą mieli dostęp do ich maili. Ale pewnie i tego, że służbowa poczta może być na bieżąco kontrolowana przez polityczną konkurencję wewnątrz ich własnego rządu.

„Wyborcza” poradziła sobie z rządową prowokacją. W następnych miesiącach ujawnialiśmy kolejne przekręty przy zamówieniach covidowych – zakup respiratorów od handlarza bronią, miliony złotych wyrzucone na maseczki z Chin i na „wybory kopertowe”. Mecenas Giertych też został oczyszczony z fałszywych oskarżeń. Tylko ich auto-rzy nie śpią chyba dzisiaj spokojnie. Wiedzą, co robili, i że dowodów nie da się zniszczyć.

Bo maile nie płoną... ●

Andrzej rysuje



Londyn

Federer na emeryturze



Roger Federer (po lewej) siedzi obok swojego wieloletniego przeciwnika z kortów Rafaela Nadala po meczu deblowym Laver Cup w Londynie. Był to ostatni mecz Federera, który zakończył wielką karierę w sposób symboliczny, grając u boku Nadala. Federer, żyjąca legenda tenisa, wygrał w swojej karierze 20 meczów w turniejach Wielkiego Szlema. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez cały weekend

ZTMR22P

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

Ana de Armas

Nowa Marilyn Monroe

Reżyser Andrew Dominik miał problem ze znalezieniem odwróconej tytułowej roli do „Blondynki”, serialu, który można już oglądać na Netflixie. Wiedział, że to przesadzi o sukcesie filmu. Zadanie dla aktorki było niby proste – zagrać najsłynniejszą hollywoodzką seksbombę, gwiazdę, która 60 lat po samobójczej śmierci wciąż jest pamiętana. W końcu reżyser wybrał kogoś, kto wydawał się do tej roli niestworzony – pochodzącą z Kuby, smagłą brunetkę Anę de Armas.

Jako 18-latką uciekła z Kuby do kraju jej dziadków – Hiszpanii. Tam zdobyła sławę, grając w popularnej telenoweli. W Los Angeles musiała nauczyć się angielskiego, a że łatwo nie było, słysząc w jej pierwszych anglojęzycznych filmach. Kilka miesięcy temu, po ukazaniu się pierwszych zwiastunów „Blondynki”, w sieci zawrzało – jak amerykańska do bólu Marilyn Monroe może mówić z hiszpańskim zaśpiewem?



Cóż, może. I robi to tak, że łatwo uwierzyć, że mówiła tak zawsze. „Blondynka” jest ekranizacją nominowanej do Pulitzera powieści Joyce Carol Oates. Ani książka, ani film nie są biografią Marilyn Monroe, nie trzymają się faktów i postaci. Ich celem jest uchwycenie osobowości Normy Jeane (prawdziwe imię MM). Pokazanie, jak z nieśmiałej dziewczyny staje się wielką gwiazdą. A potem jak w morzu alkoholu, tonach pigulek i objęciach niewłaściwych mężczyzn pogrąża się w szaleństwie. ● **Olga Suwalska**

Roger i Putin



Zawsze potępiał totalitaryzm, a teraz chce poddać Ukrainę Putino-wi? Roger Waters zaskoczył poglądami, które odbijają kremlowską propagandę. Co właściwie i dlaczego mówi nam były muzyk Pink Floyd?

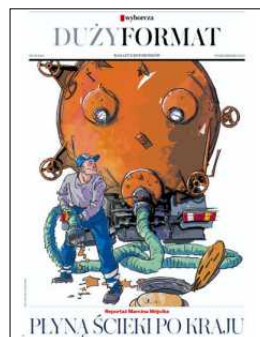
Czytaj na ► Wyborcza.pl

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Dlaczego krowy żują papier toaletowy?

Najgorzej jest wiosną, rolnicy masowo wywożą szambo na pola. Łąki gęsto ścielą się odchodami sąsiadów i papierem toaletowym. A jak trawa wszędzie, to na łąki wychodzą krowy i żują ten papier. **Reportaż Marcina Wójcika**



Ekonomia+

Drogi gaz dobija firmy

– W ubiegłym roku na energię elektryczną i gaz wydaliśmy ok. 60 mln zł. W tym wydamy co najmniej 200. Przed nami jeszcze gorsza perspektywa, jeśli weźmiemy pod uwagę obecne ceny – mówi prezes Grupy Tubądzin Mirosław Jędrzejczyk.

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Noc Bibliotek

1 „To się musi powieść” – pod tym hasłem w 1400 bibliotekach w całej Polsce odbędzie się tegoroczna edycja Nocy Bibliotek. W programie spotkania śpiewacze, wieczory opowieści, nocowania w bibliotece, ostre dyżury literackie, warsztaty detektywistyczne, pokazy filmowe ekranizacji literackich, silent disco i potańcówki. Inauguracja odbędzie się w Bibliotece Narodowej w Warszawie.



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA, MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, FERNANDO VERGARA/AP

Niedziela

Nike 2022

2 Wieczorem 2 października dowiemy się, kto z siedmiorga finalistów zostanie laureatem Nagrody Literackiej „Nike” 2022. Jury przewodniczy prof. Przemysław Czapliński. Transmisję gali, którą w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie poprowadzi Grażyna Torbicka, można oglądać o godz. 20 na Wyborcza.pl. Wiemy już, że Nike Czytelników 2022 zdobyła Joanna Ostrowska za książkę „Oni”.



Poniedziałek

Ruszają Noble

3 Pierwsze nagrody zostaną ogłoszone 3 października, z medycyny i fizjologii. Dotychczas przyznano 609 Nagród Nobla, otrzymało je łącznie 975 osób i instytucji. Polska ma na tej liście siedem osób: Marię Skłodowską-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta i Czesława Miłosza, Lecha Wałęsę oraz Wisławę Szymborską i Olgę Tokarczuk. Wikipedia dodaje jeszcze jako ósmego Józefa Rotblata z Pokojową Nagrodą za 1995 rok.



Cytat dnia



Stwierdzenie, że ma się narzędzia, aby wymuszać pewne zachowania na państwach członkowskich, to nie jest demokracja, to nie jest praworządność. I dlatego my się żadnemu dyktatowi nie poddamy, w tym sensie kwestia Krajowego Planu Odbudowy to nie jest temat zamknięty

MATEUSZ MORAWIECKI
premier rządu, wPolityce.pl

Nacjonaści na Południu i Północy

Prawicowy populizm bierze Europę

Czy po wyborach we Włoszech i w Szwecji zagrożone są europejskie, liberalne demokracje?

Majmurek

Rząd Magdaleny Andersson, który twardo zareagował na rosyjską agresję na Ukrainę i wprowadził Szwecję do NATO, stracił we wrześniowych wyborach większość w parlamencie. Ponad jedną piątą mandatów zdobyli za to Szwedzcy Demokraci – partia, której korzenie tkwią w ruchach o charakterze faszystowskim. Nowy, centroprawicowy rząd, dla którego większość w parlamencie próbuje teraz zbudować lider Moderatów Ulf Kristersson, będzie zależny od poparcia SD.

Na drugim końcu Europy, we Włoszech, upadł technokratyczny rząd Maria Draghiego, który także zdecydowanie stanął po stronie Ukrainy. Wybory wygrała prawicowa koalicja, w której dominującą siłą są Bracia Włoscy, mający korzenie w ruchach z nostalgią patrzących na czasy Mussoliniego. Liderka Braci Giorgia Meloni najpewniej zostanie nową szefową włoskiego rządu.

Co wydarzenia z Włoch i Szwecji mają ze sobą wspólnego? Z pewnością potwierdzają kryzys tradycyjnych europejskich partii politycznych. Zarówno SD, jak i Bracia Włoscy to ugrupowania młode, po raz pierwszy przekroczyły próg 20 proc. głosów. Ich sukcesy potwierdzają, że od prawicowego populizmu nie jest wolna żadna część Europy. Dotyka on zarówno Południe z jego wszystkim gospodarczymi i społecznymi problemami, jak i zamożną Północ z jej rozbudowanym państwem opiekuńczym.

Na ile ta fala prawicowego populizmu stwarza zagrożenie dla europejskiego projektu i europejskich liberalnych demokracji? Czy jest w stanie – jak wprost wyraził na to nadzieję Orbán

w swojej mowie na letnim uniwersytecie Fideszu – odwrócić europejską politykę w sprawie Rosji? Cofnąć zdobyte ostatnich dekad na polu praw człowieka?

Na razie możemy tylko powiedzieć: zależy gdzie. Bo nawet jeśli spojrzeć tylko na Szwecję i Włochy, to widać znaczące różnice. Szwedzcy Demokraci, inaczej niż Bracia Włoscy, nie wygrali wyborów, ich lider Jimmie Åkesson nie otrzymał misji tworzenia rządu. Ciągłe nie jest pewne, czy SD wejdzie do przyszłego gabinetu. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to rząd mniejszościowy popierany przez radykalną prawicę. W tej pozycji Szwedzcy Demokraci nie będą mieli wielkich możliwości, by radykalnie zmienić szwedzką politykę.

Ostatnie wydarzenia potwierdzają kryzys tradycyjnych europejskich partii

Oczywiście, partia Åkessona nie poprze centroprawicowego gabinetu za darmo. Ceną za jej poparcie będzie najpewniej zaostrzenie polityki migracyjnej i azylowej oraz „twardza” i bardziej populistyczna polityka policyjno-karna. Szwecja stanie się w następnych latach, jak wszystko na to wskazuje, bardziej zamkniętym społeczeństwem, mniej przyjaznym migrantom, uchodźcom i mniejszościom. Ta zmiana będzie się jednak odbywać w warunkach jednej z lepiej działających liberalnych demokracji, wyróżniającej się siłą niezależ-

nych instytucji i rządów prawa – co na płaszczyźnie praw człowieka ograniczy populistyczne impulsy nowego gabinetu. Jakkolwiek dobrze by poszło w tych wyborach Szwedzkim Demokratom, Szwecja pozostanie stabilną demokracją liberalną.

We Włoszech sytuacja wygląda gorzej. Populistyczna partia obejmująca stery rządów, a właściwie nie jedna, lecz trzy – bo zarówno Liga Salvini, jak i Forza Italia Berlusconi to trzy różne twarze ponowoczesnego prawicowego populizmu. Te dwie ostatnie formacje są przy tym otwarciem prorosyjskie. Bracia Włoscy nie są, ale od niedawna. Meloni zbyt wiele zainwestowała w budowę swojego wizerunku odpowiedzialnej polityczki stawiającej na transatlantyczne więzy, by mogła teraz pozwolić sobie na dokonanie otwartego zwrotu w stronę Moskwy.

Gorzej może być z europejską polityką jej rządu. Liderka Braci Włoskich mówi o Europie podobnie jak Kaczyński czy Orbán. Nie chce głębszej integracji Unii, choć ostatnie wydarzenia pokazują, że to konieczność. Pod koniec pierwszego roku pandemii nagrała wideo, gdzie tłumaczyła swoim sympatykom, że pandemia pokazała, że w sytuacji kryzysu Unia nie działa, że zostaje nam ostatecznie państwo narodowe, i to je trzeba wzmacniać. Premierka Meloni będzie próbowała wzmacnić Rzym wobec Brukseli i może użyć weta, by blokować projekty wzmacniające wspólnotowe instytucje i polityki. Niepokojące jest to, co mówi o prawach mniejszości i migracji. Pojawiają się obawy, czy jej rząd nie będzie próbował wykorzystać swojej władzy do narzucenia Włochom skrajnie konserwatywnej agendy.

Ale też Meloni jest politycznie słabsza, niż dziś to się wydaje. W jej koalicji wielu jest pretendentów, którzy sami chcieliby przejąć władzę.

Włochy mają też rekordowy dług publiczny i gospodarkę wciągającą się dekadami stagnacji, co czyni je szczególnie zależnymi od wierzycieli i środków europejskich. To też będzie ograniczało ruchy nowego włoskiego rządu.

Z drugiej strony w przeszłości Włochy okazywały się politycznym laboratorium Zachodu. Mussolini rozpoczął falę faszystów, Czerwone Brygady skrajnie lewicowego terrorku, Berlusconi był zapowiedzią Trumpa. Najbardziej należy obawiać się tego, że Meloni może udać się ustanowić nowy model rządów radykalnie prawicowych, niechętnych liberalnej demokracji i prawom człowieka, blokujących głębszą unijną integrację, a jednocześnie zdolnych utrzymać się w głównym nurcie transatlantycznej i europejskiej polityki. Coś, co chcieli zbudować Kaczyński i Orbán, ale bez sukcesu.

Z pewnością każde kolejne wybory pokazują, że centrum zachodniej polityki, choć pogłoski o jego śmierci są przesadzone, mocno się chwieje. Na razie dzielnie przyjmuje ciosy, a czasem potrafi nawet wyprowadzić kontratak – Macron mimo wszystko obronił drugą kadencję, w Niemczech wygrała koalicja trzech odpowiedzialnych partii. Ale jeśli centrum nie przejdzie do kontrataku, nie wymyśli się na nowo, nie udzieli odpowiedzi na kwestie słusznie podnoszone przez różne fale populizmu, to najgorsze obawy, jakie dziś budzi to, co dzieje się we Włoszech i Szwecji, mogą się faktycznie zmaterializować. ● **Jakub Majmurek**

Prawnicy na służbie obecnej władzy to w większości ludzie o bardzo niskich kompetencjach i jeszcze niższym morale

Z **MICHAŁEM WAWRYKIEWICZEM**, ADWOKATEM ZE STOWARZYSZENIA WOLNE SĄDY ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Widział pan wspólne zdjęcie opozycji? Sami dogadani ze sobą faceci.

– Masakra. W trzeciej dekadzie XXI wieku! Mam nadzieję, że to jednorazowa wpadka. W polityce europejskiej i w świecie organizacji pozarządowych skończyły się czasy, gdzie twarzami wszystkiego są wyłącznie faceci. Pojęcie gender balance nie może być pustym sloganem.

Najwyraźniej nie wtedy, gdy trzeba ratować Polskę przed PiS.

– Jaką w takim razie wartość ma wnieść Jarosław Gowin? Bez jego głosów nie zostałby gwałtem podporządkowany Trybunał Konstytucyjny, nie byłoby podległej prokuratury, nie byłoby maszynki do produkcji nielegalnych neosędziów, nie byłoby zamachu na Sąd Najwyższy. Ten człowiek powinien zniknąć z polityki.

Może to chrześcijańskie wybaczenie albo pragmatyczne liczenie szabel i puszczenie oka do konserwatywnego elektoratu.

– Szabla z Gowina jest żadna, to 0,1 proc. w sondażach. Prawdopodobnie wyblagał coś u Władysława Kosiniaka-Kamysza czy kogoś. Nie wiem. Dla wspólnej listy opozycji może być jedynie przyciężkawym balastem.

A pan rzecz jasna wierzy w jej zwycięstwo?

– Nie tylko wierzę, ale też mam nadzieję, że będzie miało oczyszczającą moc. Wyobrażam sobie, że tak jak w wyborach w 1989 roku, tak i za rok będziemy mieli szansę na zbudowanie kraju na miarę aspiracji nowoczesności i naszych europejskich oczekiwań. Kraju, który będzie konsumować doświadczenia ostatnich siedmiu lat, czyli zniszczenia dorobku poprzedniego ćwierćwiecza i niemalże wyprowadzenia nas z Unii Europejskiej, a z pewnością zepchnięcia nas na jej manowce i pozbawienia przynależnej roli, którą mieliśmy i powinniśmy mieć w tej wspólnotce. Kraju, którym rządzić będą ludzie przyzwoici.

Polityka wikła również i takich w układy, zależności, koterie.

– Nie wszystkich. Wzorem polityka, który kieruje się wartościami, a jednocześnie jest mądrą, światłą, czytana i otwartą osobą, jest Frans Timmermans. Ufam mu, jest szczerzy. Jego przykład dowodzi, że można być człowiekiem przyzwoitym, nieubabranym w politycznym bagnie. To jeden z nielicznych polityków europejskich, który wierzył, że instytucje unijne mogą obronić polską praworządność.

Po raz pierwszy spotkał się pan z nim jako „targowiczanie”?

– Tak, przynajmniej według narracji PiS-u. W 2018 roku pojechaliśmy z Wolnymi Sądami do Brukseli na spotkania z unijnymi parlamentarzystami i członkami Komisji Europejskiej. Byliśmy ambasadorami interesów Polski, a nie jej zdrajcami. Obecna formacja rządząca twierdzi, że nie można donosić na swój kraj. To nie donos, ale skarga na rząd depczący wszelkie reguły państwa prawa. Żałuję, że politycy opozycyjni, z nielicznymi wyjątkami, dali się zapędzić tej narracji w kozi róg i w obawie przed łatką „targowiczanie” odpuścili „donoszenie na swój kraj”. Unijne organy to nie żadne obce, ale nasze instytucje.



Co po 1989 roku poszło nie tak, że praworządność aż tak mocno się zakolebała?

– Edukacja. Partie koalicyjne nie były się o tekę ministra edukacji czy kultury, bo traktowały tę sferę jako mniej istotną. Zawsze niedofinansowaną i niedowartościowaną. Młodzi dorośli, którzy pierwszy raz głosowali w 2015 roku, weszli w czasy piśsowskie bez wiedzy na temat konstytucji. Nie mieli świadomości, jak istotna jest nasza przynależność do UE, traktowali ją jako źródło finansowania i rozwoju naszej infrastruktury. Państwo polskie nie wyedukowało tego pokolenia w świadomości, że UE to nie bankomat, ale nasza aksjologiczna kotwica w cywilizacji zachodnioeuropejskiej.

Po drugie, drastycznie spadł intelektualny poziom debaty publicznej. Nastąpiła ogromna polaryzacja związana z podziałem plemiennym naszego społeczeństwa, gdzie nie ma większego znaczenia argument merytoryczny, tylko poczucie przynależności. W Sejmie obecna władza prezentuje się jak wyznawca idei swojej sekty, a nie parlamentarysty, którym zależy na dialogu i porozumieniu. Parlament przestał pełnić funkcję odrębnej władzy ustawodawczej, stał się maszynką do głosowania. Jeśli spojrzeć na obrady komisji sejmowych także przed 2015 rokiem, to można zobaczyć posłów ziewających na posiedzeniach komisji sejmowych, niezainteresowanych tym, co mówią eksperci.

Nie wspominał pan o zaniedbaniu praw kobiet, w tym prawa do aborcji.

– Mam mówić o oczywistościach? Pozostawiono to w sferze tzw. kompromisu narzu-

Każde orzeczenie wydane przez neosędziego może się skończyć skargą do Strasburga, który będzie zasądzać odszkodowania na rzecz stron od skarbu państwa

conego w dużej mierze przez konserwatywne myślenie, ukształtowane przez Kościół katolicki i chrześcijańsko-konserwatywne ugrupowania polityczne. Przez lata sprawa aborcji była tematem tabu, a wybuch gniewu społecznego najpierw w formie protestu „czarnych parasolek”, a potem w 2020 roku po tzw. orzeczeniu Trybunału Julii Przyłębskiej...

...zakazującym de facto aborcji...

– ...dowodzi, że kwestie aborcji nie powinny być krępowane więzami ideologicznymi narzuconymi przez religię i Kościół.

Chodził pan na te protesty?

– Tak. Ten w 2020 roku był szczególnie, bo po kilku latach protestów, które również współorganizowałem, na których wszyscy się znali, bo spotykaliśmy te same twarze, nagle okazało się, że idę przez Warszawę w gigantycznym tłumie i nikogo nie znam. Młode pokolenie, które wtedy wyszło na ulice, dostrzega kulturowe zapóźnienie naszych elit. Dziaderskie nastawienie do praw

kobiet przejawiające się w sferze dowcipów, powiedzonek i udawanej niejednokrotnie szarmanckości nie przystaje kulturowo do XXI wieku i tego, co czuje młode pokolenie.

Na Campusie, na którym były i Wolne Sądy, Sławomir Nitras powiedział, że Polska powinna wypowiedzieć konkordat, co młodzi ludzie przyjęli entuzjastycznie.

– Kościół katolicki w Polsce jest znacząco uprzywilejowany, a żaden nie powinien być w państwie świeckim, demokratycznym, będącym członkiem Unii Europejskiej.

Już w opozycji nie ma zgody co do tego postulatu.

– Nie chcę komentować politycznej polityki, mówię to, co myślę jako obywatel. Ochrona praw i wolności, tolerancja i brak uprzywilejowania kogokolwiek powinny służyć temu, by konkordat w takim kształcie został wypowiedziany.

Od kilku dni rozmawiamy o polityce, a pan mówi, że nie chce się politycznie wypowiadać?

– Nie chcę, bo jestem przedstawicielem organizacji pozarządowych i razem z Wolnymi Sądami koncentruję się w swojej działalności na przestrzeni eksperckiej, co nie wymaga wchodzenia w spór polityczny. I nie chcę aspirować do miana kogoś, kto się zna na wszystkim. Dobrze by było, by w przestrzeni publicznej wypowiadali się ludzie, którzy znają się na materii, o której mówią.

Zajmuję się sprawami ustrojowymi, Unią Europejską, praworządnością, niezależnością sądownictwa, które – niestety – intere-

FOT. PIOTR SKÓRNIKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



sują dość wąską część społeczeństwa. I jako Wolne Sądy chcieliśmy wkroczyć z dziewczynami w tę trudną sferę i spróbować przełożyć ją z języka prawniczego na ludzki po to, by ludzie zrozumieli, że nie walczymy o abstrakcyjny Trybunał, abstrakcyjną niezawisłość sędziowską czy niezależność sądownictwa, tylko o ochronę naszych wspólnych praw. Założyliśmy Wolne Sądy spontanicznie, bez szczegółowego planu na to, co będziemy robić.

Każde z was działało aktywistycznie już wcześniej.

– Sylwia Gregorczyk-Abram z Marią Ejchart-Dubois organizowały od 2016 roku Tydzień Konstytucyjny, bardzo ważny program edukacyjny w szkołach, obejmujący każdego roku 100 tysięcy dzieciaków. Pracuje przy nim pro bono zawsze ok. 500-600 prawników. Paulina Kieszkowska-Knapik angażowała się w ochronę praw pacjentów, szczególnie dzieci dotkniętych bardzo poważnymi chorobami. Ja pracowałem jako ekspert do spraw ustrojowych przy zespołach parlamentarnych i w procesach legislacyjnych. I przyszedł lipiec 2017 roku, kiedy tysiące ludzi wyszły na ulice pod hasłem „wolne sądy”.

Sądzi pan, że wiedzieli, co naprawdę krzyczą?

– Mielśmy wrażenie, że bronią sfery wolności, nie umiejąc precyzyjnie zdefiniować, dlaczego tak ważne są Trybunał Konstytucyjny i Krajowa Rada Sądownictwa, kręgosłup wymiaru sprawiedliwości, o której istnieniu mało kto wiedział.

20 lipca 2017 roku wystąpiliśmy po raz pierwszy na demonstracji pod Pałacem Prezydenckim jako Inicjatywa Wolne Sąd-y, skąd przeszliśmy pod Sąd Najwyższy, i w czasie tej marszruty nasz profil na Facebooku polubiło kilka tysięcy osób.

Zaczęliśmy działać również w sferze social mediów. Wymyśliliśmy nakręcenie filmików, w których znane postaci opowiadają wówczas czysto hipotetyczne historyjki, jakie mogą się przydarzyć w sądzie każdemu z nas i jakie konsekwencje mogą spotkać obywatela zderzającego się z sądem wybieranym politycznie. Chcieliśmy unaoźnić ludziom, że bez niezależnego sądu w relacjach państwo – obywatel jesteśmy niczym słoń przy mrówce. I w końcu, że niezależny od władzy sąd jest jedynym miejscem, gdzie można władzę i jej szaleństwa skontrolować. Kiedy wpuściliśmy je do sieci, mieliśmy miliony odsłon. Okazało się, że jest zapotrzebowanie na to, co robimy, czyli na łatwe, w miarę proste tłumaczenie zawiłości prawniczych.

Skąd się wziął pomysł na „donos”? Pytam niby o oczywistość, ale podejrzewam, że ludzie już nie ogarniają ani chronologii, ani istoty.

– Z końcem 2017 roku prezydent podpisał dwie ustawy o Sądzie Najwyższym i zmiany ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, które w sposób ewidentnie antykonstytucyjny zmieniały kręgosłup polskiego wymiaru sprawiedliwości. Poculiśmy w Wolnych Sądach konstytucyjną żalobę. Wykorzystaliśmy wszystkie możliwości na polu krajowym i nie mogliśmy zrobić już nic, by powstrzymać maszynę niszczenia praworządności. W Wigilię postawiliśmy przed Pałacem Prezydenckim stół przykryty białym obrusem, na którym zamiast zastawy położyliśmy konstytucję. Zaprosiliśmy do tego stołu konstytucjonalistów, by wyjaśniali przechodniom, jakie są konsekwencje podpisania przez prezydenta wspomnianych ustaw.

Ktokolwiek chciał ich słuchać?

– Ludzie przystawali, ale nie była to masowa demonstracja, w większości domów ubiera się wtedy choinkę i szykuje do Wigilii. Nasz gest miał pokazać, że świętujemy, a tymczasem dzieje się zło. Zastanawialiśmy się, czy naprawdę nie możemy już nic zrobić, i przyszło nam do głowy, że przecież można wykorzystać instrumentarium prawne na polu europejskim. Pojechaliśmy do Brukseli spontanicznie, z kilkoma ekspertami i z pewnością, że racja jest po naszej stronie.

Ustawa podpisana przez prezydenta miała m.in. przesunąć sędziów Sądu Najwyższego, którzy skończyli 65 lat, w stan spoczynku.

– W sposób niezgodny i z konstytucją, i standardami unijnymi czy konwencyjnymi rząd chciał pozbawić możliwości orzekania 40 procent składu Sądu Najwyższego. Przekonywaliśmy Věře Jourovą i Fransa Timmermansa, że jedynym możliwym wówczas do zastosowania środkiem prawnym, który może zapobiec exodusowi sędziów SN, będzie tak zwane postępowanie przeciwnaruszeniowe. Inaczej mówiąc, skarga składana przez Komisję Europejską do Trybunału Sprawiedliwości wraz z wnioskiem o zabezpieczenie. Bardzo wiele osób kręciło z niedowierzaniem głowami.

Dlaczego?

– Bo to byłby precedens. Usłyszeliśmy od Komisji Europejskiej, że nie rozpoczyna bitew, których wygranej nie jest pewna. Ta była zbyt ryzykowna. Nie było jasności, czy wyłącznie na podstawie artykułu 19 traktatu, czyli broniąc zasady skutecznej ochrony sądowej, można wystąpić do Trybunału. Na szczęście Frans Timmermans wierzył, że ta droga prawna jest konieczna.

Wielokrotnie jeździliśmy do Brukseli, przedstawialiśmy nasze ekspertyzy i pokazywaliśmy, w jaki sposób przepisy unijne są naruszane w Polsce i czym to może w przyszłości skutkować dla ochrony europejskiej

przestrzeni prawnej. Przekonywaliśmy, że to, co się dzieje w polskiej praworządności, nie jest tylko naszą wewnętrzną sprawą, bo ma wpływ na stan funkcjonowania całej Unii Europejskiej, której filarem jest praworządność. Bez tego niemożliwa jest realizacja jakiegokolwiek polityki – rolnej, klimatycznej, energetycznej itp.

Przekonaliście Komisję Europejską. I w październiku Trybunał Sprawiedliwości wydał zabezpieczenie, które zatrzymało exodus sędziów.

– To był ogromny sukces, oczywiście nie tylko nasz, wsparty przez środowiska obywatelskie w Polsce od lewa do prawa – od Strajku Kobiet do Klubu Jagiellońskiego. Związana przez nas wszystkich koalicja „Europo, nie odpuszczaj” protestowała na ulicy i kierowała petycje do KE. Wsparli nas twórcy, byli prezydenci, byli ministrowie spraw zagranicznych i byli premierzy. Odzyskaliśmy poczucie sprawczości i synergii między zaangażowanym społeczeństwem a Unią Europejską. Wtedy też zaczął działać zainicjowany przez Wolne Sądy Komitet Obrony Sprawiedliwości KOS, który chroni sędziów i prokuratorów przed represjami. Jego pierwszymi klientami byli sędziowie Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Reprezentował pan tych sędziów przed Trybunałem Sprawiedliwości w Luksemburgu.

– Tak, wspólnie z Sylwią Gregorczyk-Abram. Kiedy Trybunał ogłaszał wyrok w sprawie statusu neo-KRS i Izby Dyscyplinarnej, uznając ich funkcjonowanie za bezprawne, to miałem dreszcze. To była najważniejsza sprawa w moim zawodowym

■
*Mielśmy opowiedzieć
węgierskim prawnikom,
jak protestować przeciw
niszczeniu państwa prawa.
Zobaczyliśmy bierność
i marazm*

życiu, również precedensowa. Ten wyrok zapisze się w annałach orzecznictwa europejskiego na długie dziesięciolecia. Jako pierwszy w Polsce wykonał go sędzia Paweł Juszczyszyn, który zakwestionował funkcjonowanie neo-KRS-u, za co spotkały go szykany i odsunięcie od orzekania na trzy lata niemalże.

Słuchając uzasadnienia, czułem wyjątkowość historyczną, do której i my przyłożyliśmy swój kamyczek. Nie wierzyliśmy, że dojdziemy do tego momentu.

Naprawdę?

– Właściwie, to nie jestem pewny tej odpowiedzi. Nie umiem i nie chcę odpuszczać. Więc może nie wierzyliśmy, ale bardzo tego chcieliśmy.

Skąd to pan ma?

– W latach 80. chodziłem do Warszawskiego Klubu Narciarskiego, to sport, który uczył odpowiedzialności za siebie i za innych, bo wiadome było, że nikogo się za sobą nie zostawia. Ogromny wysiłek towarzyszący pokonywaniu własnych barier wykształcił we mnie hart ducha. Nauczyłem się wtedy, że stojąc przed trudnościami, nie powinienem się załamywać, tylko wierzyć, że mogę siebie przekroczyć. Góry to odkrywanie swoich słabości, odpowiedzialność za innych i wspólnota.

Dziś szukam w górach spokoju i trochę rywalizacji z samym sobą. Zdarza mi się wyskoczyć w Tatry na dwa dni, szczególnie poza sezonem. Kiedy ostatnio wyszedłem na Kopę Kondracką, gdzie było potwornie zimno, wiało jak diabli i nie widać było po horyzont żywej duszy, to poczułem swoją si-

łę i wewnętrzny spokój. Pani chodzi po górach?

Nie z taką pasją jak pan.

– Ale zna pani ten moment samotności, kiedy się kontempluje przestrzeń, piękno natury, które są tylko dla pani, bo zewsząd tylko pustka? Emocje są wtedy euforyczne. Dusza zespala się z tym otaczającym cię ogromem i czujesz majestat i grozę natury. Mój ojciec również kochał góry. Dziadek i pradziadek też chodzili po Tatrach. Staram się tą miłością zarazić swoich synów.

Co dzięki tej miłości odkrył pan w sobie?

– Że potrafię dopiąć celu. Nienawidzę się wycofywać. Czasami rozsądek podpowiada, by to zrobić, ale to trudne, bo jeśli mam założony cel, to uwielbiam go wykonać do końca.

Nigdy pan nie odpuścił?

– Nie. Imperatyw wewnętrzny mi podpowiada, że pokonywanie własnych słabości to budowanie swojej mocy. Nie wymagam popisywania się przed kimkolwiek, tylko przed samym sobą. Ale jeśli istnieje zagrożenie lawinowe, to tak, odpuszczam.

Te narty to też formacja patriotyczna? Bóg, honor i ojczyzna?

– Mój patriotyzm nie z nart się bierze, ale z rodziny i z pokoleniowego formowania. Dziadek od strony mamy był sybirakiem. Wuj i chrzestny był w batalionie „Zośka”. Ciężko ranny w powstaniu, aresztowany w 1949 roku i skazany na karę śmierci zamienioną na dożywocie. On i jego wartości kształtowały mój system aksjologiczny.

Oddać życie za ojczyznę?

– Oni nie chcieli ginąć, chcieli żyć w Polsce wolnej i demokratycznej, nie było w nich żadnego kunktatorstwa. Z jednej strony postrzegam ich jako idealistów kierujących się potrzebą serca, z drugiej strony byli lojalnymi przyjaciółmi, niezdradzającymi na torturach.

Dzisiaj to trudne do wyobrażenia, że siedemnasto- i dwudziestoletni ludzie potrafili być tak dojrzałi i odpowiedzialni. Przecież Andrzej „Morro” Romocki, dowódca kompanii, w której był mój wuj, i jedna z najsilniejszych postaci powstania, zginął w wieku 21 lat. Z jego ust padły słynne słowa uwiecznione na pomniku na Powązkach: Gloria victis, chwała zwyciężonym. Wierzył, że ich zryw nie idzie na darmo. I nie poszedł. Bo ta pokoleniowa pochodnia przeniesiona została do lat 70., kiedy powstawał KOR, i 80., gdy powstała „Solidarność”, aż została doniesiona do 1989 roku.

Patetyczny jest pan trochę, przepraszam.

– Pytała mnie pani przed chwilą, czy płacę w górach w zderzeniu z sacrum. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Ale jest jeden moment w roku, kiedy nie potrafię powstrzymać łez. To godzina W. Myślę wtedy o tej tragicznej chwili, o ich odwadze i heroizmie.

Kocham ich, podziwiam i jeśli mogę pomóc, to im pomagam. Niedawno miałem okazję pomagać Związkowi Powstańców Warszawskich i reprezentować przed sądem panią Annę Jakubowską, pseudonim „Paulinka”. Nie udało mi się doprowadzić, by poczuła satysfakcję moralną na koniec życia. Prokuratura Okręgowa w Warszawie i rzecznik dyscyplinarny sędziów Piotr Schab nie pozwolili jej na to. Zaskarżyli wyrok, który przyznawał tej bohaterce powstania dziewięć milionów złotych za gehennę, jaką przeszła w stalinowskich więzieniach. Z tego powodu moja odraza do tej formacji jest tym większa. Osobista odraza. Pani Jakubowska była odzwierciedleniem piękna tego pokolenia – mądrości, skromności, lojalności, odwagi, dzielności.

Miałem szczęście spotkać na swojej drodze również Stanisława Aronsona, Stanisława Likiernika i Wandę Traczyk-Stawską. Wszyscy mają lub mieli niezwykłą elegancję życiową, której emanacją jest również ich piękna polszczyzna. To jest kod kulturo-

wy, który mnie kształtował, i zawsze chciałem dążyć do tego, by być osobą taką jak oni.

Poddaje się pan, jeśli przegrana jest pewna?

– Mam dosyć pozytywne usposobienie do świata i poczucie, że nie ma rzeczy niemożliwych, co nie wynika z próżności czy poczucia wszechmocy. Życie nauczyło mnie, że naprawdę nie ma rzeczy niemożliwych i mogę osiągnąć wszystko, jeśli będę zdecydowany, kreatywny i pracowity. Pełny optymizmu i pozytywnego myślenia o przyszłości. Idę do przodu i nie zastanawiam się, czy to, czemu się poświęcam, jest możliwe do osiągnięcia.

Kapitał kulturowy pozwala panu tak twierdzić. Nie wszyscy mają na starcie takie szanse jak pan.

– Nie jestem chyba właściwym obiektem do takiej analizy, bo zaczynałem studiować na przełomie transformacji ustrojowej. Byłem typowym członkiem społeczeństwa, który bez klasowego uprzywilejowania osiągnął swoją pozycję zawodową. Mama była farmaceutką, a tata inżynierem.

Dziadek, owszem, był adwokatem, ale zmarł przed moim urodzeniem, więc nikt z rodziny nie pomógł mi w umiejscowieniu się tu, gdzie jestem. Do wszystkiego dochodziłem sam, małymi krokami i własną pracą. Nie mam kompleksów czy poczucia, że ktoś mi coś dał.

Dorabiał się pan swojej pozycji w „kulturze zapierdolu”? 18 godzin na dobę?

– Nikt mnie nie zmuszał do pracy, dorastałem zawodowo w małych kancelariach. Każdy chłonał łapczywie praktykę zawodową, bo ci, którzy jak ja kochali prawo, chcieli się nauczyć jak najwięcej, by móc jak najszybciej zostać samodzielnym prawnikiem. W tym czasie było niewielu prawników, którzy potrafili obsługiwać międzynarodowe transakcje, i siłą rzeczy byli to głównie młodzi ludzie, którzy znali języki i potrafili szybko wskoczyć na tory kapitalistycznej praktyki adwokackiej. Nie wstydzę się tej ciężkiej pracy.

Szło o pieniądze?

– Także. To nie jest wstyd zarabiać pieniądze za ciężką pracę. Moje pokolenie wyszło z komuny bez jakiegokolwiek kapitału i byliśmy pierwszym, które musiało go zgromadzić dla siebie i dla swoich dzieci. A klasa średnia gromadzi kapitał za pomocą swojej pracy, to nie jest dziwne.

Prawnikiem chciał pan zostać z powodu dziadka czy pieniędzy?

– Mam, wydaje mi się, podobną do niego osobowość, więc prawdopodobnie to z jego powodu już od szóstej klasy podstawówki chciałem być adwokatem. Do 2015 roku nie byłem zaangażowany w sferę publiczną poza inicjatywą „Stop tirom” w parku krajobrazowym, czyli przegonienie ciężarówek z jezior mazurskich. Wszystko się zmieniło po 2015 roku.

Właściwie to jest pan aktywistą.

– Ruszyliśmy się zza biurka, a sędziów, którzy komunikowali się z obywatelami za pomocą uzasadnień wyroków, można spotkać na festiwalu rockowym, na objazdowych imprezach typu Tour de Konstytucja, w klasach lekcyjnych podczas Tygodnia Konstytucyjnego.

Uczyliśmy się upraszczać nasze wypowiedzi, pozbywać hermetyczności języka prawniczego. Wydawało nam się, że język ekspercki jest mądry, to nieprawda. Zna pani taką anegdotę? Po wysłuchaniu sędziowskiego werdyktu klient pyta swojego prawnika: wygraliśmy czy przegraliśmy? W Niemczech uzasadnienia wyroków mają trzy, cztery strony, u nas trzydzieści. I to też musimy zmienić.

My, czyli kto?

– Od początku powstania Wolnych Sądów mówimy, że naprawa praworządności to jedno, ale środowiska prawnicze muszą być

gotowe, by natychmiast po przejęciu władzy przez demokratyczną opozycję przeprowadzić rzetelną reformę wymiaru sprawiedliwości. Ewa Siedlecka w książce „Sędziowie mówią” słusznie zauważyła, że paliwem PiS-u do zmian była arogancja sądów, hermetyczność języka, opieszałość.

A teraz opozycja ma paliwo.

– I konkrety. Jeszcze w 2017 roku został uruchomiony zespół parlamentarny do spraw reformy wymiaru sprawiedliwości. Uczestniczyliśmy w jego posiedzeniach bardzo aktywnie i zapraszaliśmy ekspertów. Omawialiśmy kwestie uproszczenia procedury karnej, a potem cywilnej, administracyjnej, dostępu do wymiaru sprawiedliwości, bezpłatnej obsługi prawnej, zmniejszenia opłat sądowych, elektronicznych postępowań, digitalizacji akt sądowych.

Pracowaliśmy nad tym, by niektóre sprawy można było przekazywać do urzędów miast i gmin i do notariuszy, by sądy miały mniej roboty i mogły działać efektywniej.

Co się powinno zmienić, nie licząc digitalizacji i szybkiego dostępu do akt.

– Idzie o to, by sąd dużo lepiej traktował klienta, dbał o jego prawa i dużo lepiej się z nim komunikował. W Skandynawii na przykład sędzia siedzi na tym samym poziomie co klienci, co ma wymiar symboliczny i psychologiczny. W niemieckich sądach handlowych uczestniczą, w charakterze sędziów, doświadczeni przedsiębiorcy.

Na każde z posiedzeń zapraszaliśmy przedstawiciela Kancelarii Prezydenta i ministra sprawiedliwości, i nigdy żaden z nich

Zastanawiał się pan, dlaczego zgodzili się przyjąć taką niewdzięczną rolę?

– Duża część z nich znalazła swoją szansę zawodową i życiową na zrobienie kariery, pieniędzy, uzyskanie pozycji zawodowej i społecznej, jakiej by w normalnych warunkach nie uzyskali. Niestety, drużynę w czarnych koszulkach tworzą w ogromnej, przylatczającej większości zawodnicy o bardzo niskich kompetencjach i jeszcze niższym morale. Pozbawieni zasad, bezwzględni, nielojalni, pazerni na władzę i pieniądze, nieprzwiązani do cywilizacyjnych zasad zachodnioeuropejskich.

To co oni robili w środowisku prawniczym i sędziowskim?

– Wykonywali swoje zawody byle jak. Jako sędziowie mieli niskie statystyki, a one są dla oceny sędziego bardzo miarodajne. Pokazują, czy jego orzeczenia utrzymują się w wyższych instancjach. Jeśli sędzia wydał je marnej jakości orzeczenia, to wyższa instancja je uchyla.

Wśród awansowanych sędziów, których część została tak zwanymi neosędziami, są tacy, którzy mieli beznadziejne statystyki, zbliżające się do stu procent uchyleń. Nie mieli szans na realny awans.

Ale orzekali mimo braku kompetencji.

– Sędzia jest przecież nieusuwalny. Jeśli był kiepskim sędzią, to do końca życia pozostał w sądzie rejonowym.

Rozmawiacie z nimi poza boiskiem?

– Ale o czym, skoro europejskie trybunały orzekły wielokrotnie, co potwierdzają najważniejsze organizacje międzynarodowe, że

Ochrona praw i wolności powinny służyć temu, by konkordat w takim kształcie został wypowiedziany

się nie pojawił, co oczywiste, bo nie byli zainteresowani reformą, tylko wzięciem sądów za twarz.

Ilu sędziów i prokuratorów dotyczy to „branie za twarz”?

– Postępowania, które prowadzimy tylko w ramach Wolnych Sądów, to ok. 80-100 w ostatnich pięciu latach. Jesteśmy też jednym z inicjatorów Komitetu Obrony Sprawiedliwości, a w ramach KOS-u jest ich znacznie więcej, w przeróżne postępowania zaangażowało się ponad 200 prawników.

W 2021 roku przygotowaliśmy jako Wolne Sądy raport „2000 dni bezprawia”, który aktualizujemy na bieżąco. Chcielibyśmy spisać „czyny i rozmowy” dla przyszłości. Po to, by wiedzieć, co naprawiać, i aby odpowiedzialni za dewastację niezależności wymiaru sądowego ponieśli stosowną odpowiedzialność. Jego pierwszą edycję wydrukowaliśmy na banerze i rozłożyliśmy pod Sądem Najwyższym. Miał 80 metrów. Przygotowaliśmy wersję angielskojęzyczną dla UE, Rady Europy czy jakiegokolwiek organizacji międzynarodowej.

Na jednym z filmików, który przygotowaliście, dwie drużyny grają w piłkę nożną. Ci w czarnych strojach faulują, nie przestrzegają reguł itp. W realu to są również prawnicy, wasi kumple ze studiów albo wasi wykładowcy.

– W każdej władzy dążącej do zniszczenia państwa prawa dokonują tego prawnicy, tylko trzeba ich znaleźć. I ta władza ich znalazła. Formalnie są to nasi koledzy, którzy kończyli te same uczelnie.

w Polsce dokonano dewastacji praworządności. Tu nie ma miejsca na dialog, bo drużyna przeciwna okopała się w obronie pozycji, apanaży i awansu.

Trudno mi jest przyjąć, że wszyscy są czarnymi charakterami.

– Niektórzy z nich są pewnie hipokrytami i mają w poważaniu to, co o nich myśli demokratyczna część społeczeństwa. Dla nich liczą się splendor, władza i pieniądze, jakich nie zarobili by w życiu, bo nie potrafili by wejść na rynek. Inni prawdopodobnie relatywizują sytuację na swoje własne potrzeby. I stając przed lustrem, przekonują siebie, że to, co robią, jest dobre i słuszne, bo przeprowadzają zmiany strukturalne w sądownictwie, które przywracają państwo prawa. I wyrzucają z systemu komunistów. Przypomnę im, że średnia wieku sędziego w Polsce to 41 lat, więc w komunie grali w kapsle albo w gumę. Wyobrażam sobie jednak, że premier Morawiecki przywołuje w Europie czy na świecie argument o dekomunizacji, co za granicą może być trudne do zweryfikowania.

Zalóżmy, że demokraci odzyskują władzę. Czy drużyna w czarnych koszulkach zostanie zdyskwalifikowana?

– Jako Wolne Sądy będziemy dążyć do systemowej naprawy wymiaru sprawiedliwości, a nie do wendety i polowania na czarnownicę.

Czyli kolejna gruba kreska?

– Zdecydowanie nie. W 1989 roku na terenie Polski stacjonowały wojska sowieckie i mieliśmy porozumienie z władzą reżimo-

wą, które umożliwiało transformację. Dziś mamy do czynienia z demokratyczną zmianą władzy. I nie ma żadnego darowania win tym, którzy z mandatu demokratycznego uczestniczyli świadomie w niszczeniu praworządności. Zgadzam się, że mamy zaktodowany paradygmat, że to nie jest możliwe, by polityk poniósł odpowiedzialność i poszedł do więzienia, ale system pociągania ich do odpowiedzialności nie powinien należeć do polityków, tylko do niezależnej prokuratury i niezawisłych sądów.

Prokuratura jest jeszcze niezawisła?

– Dziś jest organem reżimowym kierowanym jak joystickiem przez Zbigniewa Ziobrę i jego akolitów, który nigdy nie postawił zarzutów ludziom związanym z obozem władzy, chyba że w ramach własnych quasis-mafijnych rozgrywek. Ale po przejęciu władzy trzeba będzie zbudować prokuraturę od nowa.

Jak?

– Prokuratorzy z Lex Super Omnia, którzy przez siedem lat nie przestraszyli się represji, przygotowują projekt ustawy. Na szczęście prokuratura nie jest umocowana w konstytucji, więc tym łatwiej można ją zrekonstruować i zbudować na nowo, porcinając oczywiście od rozłączenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

Prokuratura jest teraz tak skonstruowana, żeby zabezpieczyć jak największą liczbę prokuratorów związanych ze Zbigniewem Ziobrą i z Bogdanem Święczkowskim, by niemożliwe było ich usunięcie. Przekonstruowanie tego systemu jest na tyle trudne i przeciwskuteczne, że lepiej jest niejako zrobić od nowa zaciąg do prokuratury z całkowitym poszanowaniem prawa pracy i brakiem rewanżyzmu.

Niczym weryfikacja służb?

– Tak, by ta prokuratura mogła wreszcie działać w sposób niezależny od władzy – tej czy każdej następnej.

Neosędziów też czeka weryfikacja?

– Tak. Choć raczej ma to być naprawa systemowa, a nie weryfikacja. Z szeroką koalicją organizacji pozarządowych, po konsultacji ze stowarzyszeniami sędziowskimi Iustitią i Themis oraz z prokuratorami Lex Super Omnia przygotowaliśmy Dekalog Naprawy Praworządności. Na jego podstawie Stowarzyszenie Sędziów „Iustitia” opracowało projekt ustawy, zgodnie z którym wszyscy tak zwani neosędziowie, czyli ci, którzy uzyskali wadliwe nominacje i awanse od neo-Krajowej Rady Sądownictwa, muszą wrócić w miejsce, z którego przyszli, ponieważ ich prezydenckie powołania były bezprawne. Prezydent nie jest Królem Słońce i nie ma mocy łaski uświęcającej – owszem, to jest pierwszy obywatel, ale musi działać w granicach i na podstawie prawa, a to znaczy, że może powołać sędziego tylko na wniosek legalnego organu, jakim jest KRS.

Wyobrażam sobie, że te powroty neosędziów mogą być upokarzające.

– Z punktu widzenia systemu wymiaru sprawiedliwości to jest mało istotne. Wróć na swoje miejsca, ale jak tylko zostaną ogłoszone konkursy przez prawidłowo powołaną KRS, mogą do nich stawać. Jeśli mają kompetencje, są moralnie nieskazitelni i gotowi stanąć w uczciwym, transparentnym konkursie z innymi osobami, to proszę bardzo, mogą awansować.

Czy z powodu moralnych kompetencji, o których pan mówił, te osoby nie są skazane na banicję?

– Rozmawiamy o ponad dwóch tysiącach osób, z których zapewne mniej więcej połowa nie wykazywała się politycznym zaangażowaniem, nie uzyskiwała specjalnych apanaży i funkcji, nie uczestniczyła w procesie dyscyplinowania sędziów. Ich jedyną skazą moralną, ale i prawną, jest to, że wzięły mimo wszystko udział w procesie nominowania sędziów przez neo-KRS, mając świa-

domość wadliwości tego organu i tego, jak działa system. Wiedzieli, że przyzwoici sędziowie nie staną do konkursu przed neo-KRS-em, bo nie chcą jej legitymizować.

Będziecie wydawać świadectwa moralności czy kompetencji?
– Oni często mają kompetencje. To są po prostu tak zwani zwykli sędziowie, którzy twierdzą, że historia nie pozostawiła im wyboru. Ja twierdzę, że mieli. Gdyby wszyscy odmówili stawania przed neo-KRS, to byłby to swego rodzaju strajk środowiska sędziowskiego, który zmusiłby władzę do ustępstw i zrewidowania swojego stanowiska.

Czyli nie byliście solidarni.
– Nie byliśmy. Sędzia musi mieć twardy kręgosłup, morale i etykę zawodową, żeby móc wykonywać swój zawód, którego nie wykonuje się tylko w łatwych czasach. W czasach takich jak obecne musi umieć oprzeć się represjom, strachowi, obawie, pokusie, apanażom w zamian za łamanie praworządności i tak dalej.

Zestawmy neosędziów, którzy mówią, że nie mieli innego wyjścia, z sędziami, którzy w ostatnich latach dostawali straszne baty. Przypomnę, że sędzia Waldemar Żurek ma 21 albo i więcej postępowań dyscyplinarnych, naloty CBA, urzędu skarbowego, przewrócone życie, także finansowe – został upokorzony i sponiewierany. I teraz stawiam pytanie: jak powinien zachować się prawnik? Czy powinien być Walde-marem Żurkiem, czy Przemysławem Radzi-kiem, który represjonuje sędziów sądu ape-lacyjnego, będąc wiceprezesem nominowa-nym przez neo-KRS. To jest pytanie do mło-dych prawników, do studentów prawa, do przyszłych adeptów, i to zadanie dla ich wy-kładowców – jak nakreślić kompas moralny na przyszłe pokolenia.

Jeśli zostawimy neosędziów w systemie, z ich apanażami i zarobkami oraz pozy-cją, a Waldemarowi Żurkowi, Igorowi Tulei, Pawłowi Juszczyszynowi, Maciejowi Ferko-wi, Monice Frąckowiak, Piotrowi Gąciarko-wi, Marzannie Piekarskiej-Drażek czy wie-lu innym dzielnym sędziom uściśniemy tyl-ko dłoń i powiemy: no, tak wyszło – to okaże się, że oni są ofiarami tego systemu, ale tam-ci beneficjentami.

Jeśli obywatele będą podważać wyroki wydane przez neosędziów, system się zawali, a nie odbuduje.
– Znacznie większy chaos i destrukcja na-stąpią, jeśli ci sędziowie pozostaną w syste-mie. Każde orzeczenie wydane przez neosę-dziego może się skończyć skargą do Stras-

Wolne Sądy

- Inicjatywa obywatelska powołana do życia na fali protestów społecznych w obronie niezależności sądownictwa w lipcu 2017 roku. Jej inicjatorami i uczestnikami wszystkich aktywności, wydarzeń i spraw sądowych są: Sylwia Gregorczyk-Abram, Maria Ejchart-Du-bois, Paulina Kieszkowska-Knapik i Michał Wawrykiewicz.
- Występują przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej w kluczowych postę-powaniach dotyczących niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Z powodzeniem reprezentowali w sądzie obywatelskiego aktywistę w sprawie naklejek „strefa wolna od LGBT”, które rozpowszechniał prawicowy tygodnik „Gazeta Polska”.
- Inicjatywa została nagrodzona za działalność publiczną w 2018 roku Nagrodą „New-sweeka” im. Teresy Torańskiej, w 2019 roku Nagrodą Radia TOK FM im. Anny Laszuk za „wyjątkowy wpływ na rzeczywistość” oraz Europejską Nagrodą Obywatelską za 2020 r. przyznaną przez Parlament Europejski

burga, który będzie zasądzać odszkodowa-nia na rzecz stron od skarbu państwa, co w ciągu kilkudziesięciu lat będzie kosztować państwo gigantyczne pieniądze. Bała-gan z wnioskami o wznowienie postępo-wań, o wyłączenie sędziów – już ma miej-sce. Przez całą swoją karierę nie składa-łem tylu wniosków o wyłączenie sędziego ze składu orzekającego. W samym postępo-waniu Anny Jakubowskiej „Paulinki” skła-dałem aż sześć takich wniosków. Po apela-cji ziołrowej prokuratury trafiłiśmy do war-szawskiego sądu apelacyjnego, gdzie aż roi się od neosędziów bliskich władzy. I wła-snie neosędziowie byli wyznaczani do skła-du. A przecież oni zostali wybrani w kary-godnej, politycznej procedurze, która jest kpiną z zasad państwa prawa i standardów unijnych. Musiałem więc reagować, bo pani Annie walczącej o zadośćuczynienie nale-żał się proces przed uczciwym, niezawisłym sądem. Stąd tyle wniosków. Ta sprawa po-kazuje jak w soczewce, do czego ta władza doprowadziła sądownictwo. Jak wielka jest skala nieprawości, karierowiczostwa, kole-siostwa i próby sterowania orzecznictwem.

Ile zajmie okres przejściowy?
– Kilka miesięcy, do roku. A w tym czasie konieczne będzie zastosowanie by-passów, czyli delegacji, dokończenia orzekania i tak dalej – prof. Krystian Markiewicz, szef lu-stitii, twierdzi, a ja mu ufam, że sędziowie są w stanie udźwignąć na ramionach ten ba-lagan przez kilka miesięcy, aby uleczyć sys-tem.

A orzeczenia?
– Zostają jako ważne. W takiej ekstraordy-naryjnej sytuacji musi być przyjęta fikcja

prawna dla bezpieczeństwa obywateli, ob-rotu prawnego, dla pewności prawa i dla zaufania obywateli do państwa. Obywatele nie mogą być pokrzywdzeni przez szaloną władzę. Każda strona procesu, która uzy-skała wyrok, będzie miała prawo skorzy-stać ze zwykłych instrumentów proceso-wych, jakimi są na przykład skargi o wzno-wienie. Sędziowie szacują, że tego typu wznowień postępowań będzie 5-10 pro-cent.

A jeśli opozycja przegra wybory?
– To spadniemy w otchłań autorytaryzmu i staniemy się państwem na wzór orbanow-skich Węgier. Pozbawionym społeczeństwa obywatelskiego, bezpieczników demokracji, wolnych mediów. Szczerze?

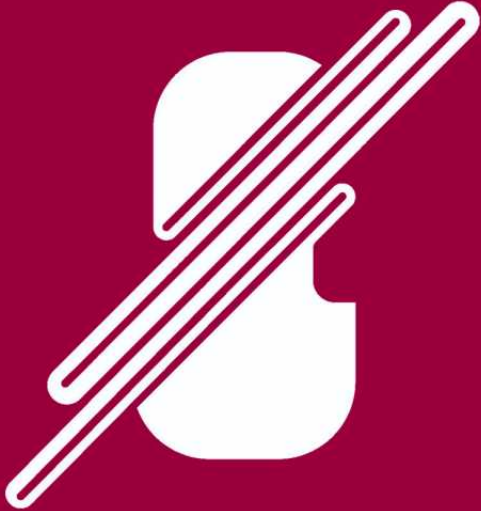
Tak?
– My jesteśmy innym społeczeństwem niż Węgrzy. W 2020 roku byliśmy z tajną kil-kuosobową misją różnych prawników w le-sie pod Budapesztem, gdzie mieliśmy opo-wiedzieć węgierskim prawnikom, jak pro-testować przeciw niszczeniu państwa pra-wa. I nie było w tym środowisku ani siły, ani chęci na bunt.

Tylko co?
– Bierność i marazm wynikające z zastra-szenia przez autokratyczny reżim. To jest państwo, które liczy dziewięć milionów lu-dzi. I ogromna część dorosłego społeczeń-stwa pracuje albo w spółkach skarbu pań-stwa, w administracji, albo w instytucjach powiązanych z rządem i jakikolwiek protest – słyszeliśmy to wprost – czy forma zaangażowania mogą skutkować represjami w po-staci wyrzucenia z pracy lub szykanowania

rodziny. Tam sędziowie są bierni, bo spo-leczeństwo nie wystąpiło na czas o ochro-nę wartości konstytucyjnych i europejskich, i po spacyfikowaniu demokracji nie podnie-sie się przez długie lata. Mimo bardzo wie-lu wad my jesteśmy społeczeństwem, które nie zgadza się na tyranie. Mamy gen wolno-ści. I nie pozwalamy, żeby nas wolnościowo spacyfikować, co daje mi nadzieję na przy-szłość.

A co potem? „Teraz k..., my” do spółek skarbu państwa, a zaufane kancelarie do ich obsługi?
– Nie będzie TKM. Mówilem, że wierzę, że zbudujemy przyzwoity kraj.

I co pan będzie w tym kraju robił? Skoro pan nie odpuszcza, to pewnie znów wy-startuje w wyborach do europarlamentu.
– Jasne, że chcę uczestniczyć w procesie tworzenia nowych instrumentów ochrony integralności UE. Umiem i wiem, jak to zro-bić. Polska potrzebuje odbudowania mostu między Brukselą a Warszawą i potrzebuje ludzi, którzy znają realia funkcjonowania UE, znają prawo europejskie, potrafią na-wiązać relacje z Europą Zachodnią. Europa po doświadczeniach z Polską i Węgrami po-trzebuje też nowych instrumentów ochro-ny wartości, w szczególności praworządno-ści, bo te, którymi dysponuje, nie są wystar-czające. Traktaty europejskie były szyte na inną miarę, nikt nie przypuszczał, że doj-dzie do tak brutalnego ataku na fundamen-ty UE. Na razie wyjeżdżam na kilka miesię-cy na stypendium do Waszyngtonu. Będę pracował nad instruktażem dla innych kra-jów, jak uniknąć odwrotu demokracji. Na przykładzie Polski pokażę proces niszczenia praworządności i na jakie elementy zwracać uwagę, by zapobiec rozwojowi tego pro-cesu. Czyli – kiedy powinna zapalić się nam czerwona lampka. ●



16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

POZNAŃ | 7-21.10.2022

www.konkurs.wieniawski.pl
WIENIAWSKI SOCIETY

Za co ta premia?

Nie wszyscy mamy takie same zdolności i możliwości. Ci, którzy dostali od losu więcej, powinni myśleć o tych, którzy są w gorszym położeniu

Wielowieyska



Między starszym pokoleniem liberałów a młodą lewicą toczy się spór o to, jak mamy pracować.

Czy żądać bezwzględnie przestrzegania kodeksu pracy i po ośmiu godzinach wychodzić do domu, czy też uznawać, że regułą powinna być ciężka praca, by osiągnąć sukces. Spór rozgorzał na nowo po rozmowie Waldemara Pasia z Grażyną Kulczyk.

– My (...) pracowaliśmy dzień i noc, sprawiało nam to ogromną frajdę. Dziś w oczach przedstawicieli młodego pokolenia nie widzę tego błysku, zapалу. Młodzi zerkają na zegarek, nie chcą pracować dłużej, niż przewiduje ustawa. Jesteśmy w trakcie robienia czegoś fantastycznego, a ktoś nagle wychodzi do domu. Nie dlatego, że się źle czuje czy że ma dziecko, tylko po prostu – wyczerpał swój czas pracy. Ja tak nie umiem – stwierdza Kulczyk i dodaje, że pracowała nawet 20 godzin na dobę.

Za podobne słowa prof. Marcin Matczak dostał w internecie tęgę lanie od młodego pokolenia – zauważa Paś i do-

Pan w takie upraszczające tezy? Rentier będzie pracował godzinę w tygodniu, a ratownik medyczny 60 godzin, żeby się utrzymać na dobrym poziomie – i rentier może nie mieć pretensji do świata, a ratownik może mieć. Itp. itd.”.

A posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska dodała: „Zawsze mnie zastanawiało, jak można twierdzić, że się wychowało dziecko (na okładce ojciec z synem, matka nieobecna), kiedy się deklaruje, że było się (w przeciwieństwie do leni) »gotowym pracować po 16 godzin na dobę, by osiągnąć sukces«. Telepatycznie przez sen?”.

Pierwszą pułapką w tej debacie jest patrzenie na pracę innych przez pryzmat własnych doświadczeń. Ja też mam do tego skłonność, bo ten spór jest sporem pokoleniowym. W dzieciństwie moja rodzina wielodzietna żyła skromnie, szynkę jedliśmy dwa razy do roku na święta, więc myślę sobie: nie doceniacie tego, co macie. Co młodzi kwitują uśmiechem politowania. A nasi rodzice też uważali, że nam się poprzewracało w głowie i gdybyśmy w ramach prac społecznych poprzeczali trochę gruzu w zrujnowanej Warszawie, toby się nam od razu obraz świata wyklarował.

W liceum i na studiach pracowałam w różnych rolach: pomocniczka murarza, niańka, sprzątaczką, roznosicielką reklam, zbieraczką owoców. Poza tym pomagałam mamie w polu (za czym nie przepadałam) i gdy ktoś młodszy ode mnie mówił, że musiał na studiach dorabiać pracą fizyczną, i uznawał to za

To prawda i wiem, że wiele osób miało trudniejszy start niż ja.

A spowiadam się, żeby pokazać, że mentalnie jest mi bliżej do Matczaka; mam wpojony szacunek dla pracy, uważam, że warto czasem w nią zainvestować więcej, niż przewiduje kodeks pracy, choć szukałam też pewnej równowagi w życiu. Niemniej moje doświadczenia nie mogą służyć do twórczenia jakichkolwiek ogólnych teorii czy być bazą do formułowania zaleceń pod adresem kogokolwiek. Choćby dlatego, że dotyczą wolnego zawodu, który wymaga kreatywności i elastyczności. Albo dlatego, że przychodzimy z różnych miejsc i z różnym bagażem.

Gdy czytałam kolejne opinie, narastało we mnie przekonanie, że cała ta dyskusja toczy się na tak dużym poziomie ogólności, iż oderwała się od realiów. Podstawowy problem polega na tym, że rodzaje wykonywanej pracy są bardzo różne! I w zależności od tego możemy roztrząsać, jak powinna wyglądać kultura pracy.

Ludzie, którzy mają niewielkie czy większe firmy, zawsze będą pracować więcej niż osiem godzin dziennie, bo inaczej tej firmy nie utrzymają. Ale też mają szansę na większe zyski niż przeciętna, choć nie jest to regułą. W przypadku pracowników fizycznych czas pracy jest kluczowy. Praca urzędnika ma inny charakter. W korporacjach istnieje zagrożenie, że wyścig szczurów powoduje wyjąłowanie ludzi, rujnowanie relacji rodzinnych i przyjacielskich.

A przede wszystkim kluczowe jest to, jak szef, pracodawca współpracuje z ludźmi i na ile szanuje ich potrzeby. Przypominam, że istnieje instytucja nadgodzin, które powinny być płacone. Nie ma uniwersalnej recepty: pracownicy są różni, jedni mniej wydajni, inni bardziej, jedni są rzetelni, inni nie. Zarządzam się, żeby nie ryzykować stwierdzenia, że w bardzo wielu przypadkach rozsądny pracodawca zrobi wszystko, aby zatrzymać sprawnego, uczciwego, rzetelnego pracownika, zapewnić mu dobrą pensję i stworzyć warunki, które pozwolą mu utrzymać równowagę pomiędzy życiem rodzinnym a zawodowymi obowiązkami.

I jeszcze jedna rzecz: nasz stosunek do pracy jest częścią systemu naczyń połączonych, o czym wiele osób nie chce pamiętać. Nie chcę dostrzec związku pomiędzy poziomem usług publicznych, systemem zabezpieczeń społecznych a wydajnością pracy Polaków. I w tym aspekcie znów jest mi bliżej do prof. Matczaka. Zamożność państwa zależy od nas wszystkich. Zgadza się, że osoby lepiej zarabiające powinny do wspólnej kasy dokładać o wiele więcej niż ci, którzy zarabiają mało. Nie wszyscy mamy takie same zdolności i możliwości. Ci, którzy dostali od losu więcej, powinni myśleć o tych, którzy są w gorszym położeniu. A na najzamożniejszych przedsiębiorcach spoczywa olbrzymia odpowiedzialność moralna, którą nie wszyscy zdają się rozumieć.

Elity, które nie dostrzegają potrzeb ludzi znajdujących się niżej w hierar-



daje, że młode pokolenie odrzuca „kulturę zapierdolu”. – Nic się nie dzieje natychmiast. Młodzi chcieliby, żeby efekty były zaraz, głównie finansowe – odpowiada Kulczyk.

W mediach społecznościowych pojawiły się liczne głosy oburzenia, które streściła w TOK FM Agata Szczęśniak z OKO.press, komentując, że to oczywiście, że miliarderka chce, aby jej pracownicy dłużej na nią pracowali, by tych miliardów miała więcej. Komentatorzy zauważali, że Kulczykowie odziedziczyli spore pieniądze i na bazie tego kapitału rozwijali biznes w wolnej Polsce, a taki start był udziałem nielicznych.

Z kolei prof. Matczak napisał na Twitterze: „Pracujcie sobie godzinę dziennie albo nie pracujcie wcale, jak nie chcecie. Tylko nie miejcie potem do nikogo pretensji, że świat lub wasze życie nie wyglądają tak, jak chcielibyście, żeby wyglądały”. Odpowiedział mu publicysta Tomasz Sawczuk: „Panie Profesorze, tylko dlaczego kolejny raz idzie

dowód patologii obecnego systemu, byłam zdziwiona.

Uważam, że trzeba mieć szacunek dla pracy. Każdej. A najwięcej tego szacunku nabiera się wtedy, gdy w młodości wykonuje się zajęcia wymagające wysiłku fizycznego. Osobna kwestia, w jakich warunkach ta praca się odbywa, czy nie jest ponad nasze siły i czy nie jesteśmy ofiarami wyzysku.

Na początku kariery pracowałam bardzo dużo, ale nie 16-20 godzin każdego dnia. Chodziło raczej o elastyczność: jak coś się działo, to nikt nie patrzył na godzinę. Długo czekałam na jakąkolwiek umowę, a potem na etat. Później zwolniłam tempo ze względu na dzieci. Proponowano mi kierownicze stanowiska, odmawiałam, bo uznawałam, że potrzebuję więcej swobody w pracy i czasu dla rodziny.

Ktoś może mi zarzucić, że miałam lepszy start, bo pochodziłam z rodziny niezamożnej, ale za to z dużym kapitałem społecznym i edukacyjnym.

Niektórzy lewicowi publicyści nie mają pojęcia, w jakich warunkach funkcjonuje właściciel prywatnej firmy

A toksyczni szefowie czy pracodawcy wymuszają na ludziach poświęcenie, które odbija się na ich zdrowiu.

Kultura prawna oraz kodeks pracy powinny chronić nas przed takimi patologicznymi stosunkami. A jest oczywiście, że takie przypadki się zdarzają. W korporacjach mamy do czynienia ze zwyczajną niesprawiedliwością, którą wielu z nas obserwuje. Pracownik za niewielkie pieniądze wykonuje czasochłonną pracę, bo nie jest na tyle asertywny, by się postawić, a menedżer dostaje premię. Za co? Za to, że zorganizował sobie taki system pracy podwładnych, który generuje mało kosztów. Albo za to, że zwolnił dostatecznie dużo ludzi i rentowność się poprawiła. To prowokuje bunt młodego pokolenia, które jeszcze na dodatek ma poczucie, że kanały awansu są zablokowane.

I są też inne przypadki: pracodawca szanuje potrzeby pracownika, oboje są elastyczni, czasem trzeba włożyć w coś więcej wysiłku i czasu, ale pracodawca wie, że trzeba odpuścić, że pracownik musi mieć czas na odpoczynek albo znalazł się w trudnej sytuacji. Kluczowe jest to, aby ludzie mieli wybór realny, jaką drogą chcą pójść: intensywna praca, za którą dostaje się większe wynagrodzenie czy szansę na sukces, albo zwyczajowe obowiązki, które nie wymagają nadzwyczajnych poświęceń, natomiast gwarantują godziwą płacę i stabilne zatrudnienie.

chii finansowej, które masowo unikają płacenia podatków, nadużywają przywilejów i władzy, doprowadzają do eksplozji nieracjonalnego populizmu. A to już prosta droga do nieszczęścia. I w tym sensie elity są za nie współodpowiedzialne. Tu wściekłość młodych na tłuste koty na wysokich stanowiskach ma aspekt ozdrowieńczy, powinna wymusić na nich refleksję: na ile system w twojej firmie jest sprawiedliwy? Obrzydliwie są memy z czekającym wyborcą PiS, któremu polityk wymachuje 500+ i mówi „daj głos”. Te same osoby zamożne, które podają dalej ten dowcip, bywają zakłamanie, bo same także głosują zgodnie ze swoimi finansowymi interesami. Jest coś niesmacznego w tym, że człowiek zamożny krytykuje każde „rozdawnictwo”. Są wydatki socjalne, które są inwestycją w kapitał społeczny.

Co do podatków płaconych przez zamożnych: kwestią umowy społecznej jest to, gdzie znajduje się punkt równowagi, w którym ciężary podatkowe nie zniechęcają do inwestycji i kreatywności oraz pracowitości. W pewnym momencie uniwersalna recepta lewicy: „to bardziej opodatkujmy bogatych”, przestaje działać. Tak jak i nie można się w nieskończoność zadłużać. Mam wrażenie, że niektórzy lewicowi publicyści nie mają pojęcia, w jakich warunkach funkcjonuje właściciel prywatnej firmy, z jakimi trudnościami i ryzykiem się

mierzy. Dziś ma niezłe zyski, ale jutro rynek spowoduje, że zanotuje potężne straty. Pamiętam, że pewien lewicowy think tank, głoszący wiele szlachetnych idei, dostał w dzierżawę kawiarnię. I nagle działacze się zorientowali, że stoją przed okropną alternatywą: albo zaproponują kelnerom skromne umowy-zlecenia zamiast etatu, albo kawa będzie musiała być dwa razy droższa, co po- tężnie uderzałoby w niezbyt zamożnych fa- nów tego think tanku, którzy chcieli w owej kawiarni przesiadywać. Dlatego każdemu lewicowemu działaczowi zalecam: niech przez chwilę poprowadzi niewielką firmę z kilkoma pracownikami, niech poczuje i zrozumie, jak to naprawdę działa. Oczywiście istotne jest, by państwa by- ły skuteczne w ściąganiu podatków. Projekt minimalnego podatku od korporacji mię- dzynarodowych jeszcze niedawno w Unii blokował PiS w ramach szantażu – rząd chciał wymusić akceptację KPO. Mam na- dzieję, że niedługo ten podatek zadziałała, bo i Unia, i USA są bardzo zdeterminowane.

Niemniej to, ile mamy pieniędzy w naszym budżecie, także na to, by wspomagać oso- by z niepełnosprawnościami, starsze i cho- re, rodziny z dziećmi, zależy od nas i naszej pracy jako społeczeństwa. Ale PiS wmawia ludziom, że można krócej i mniej pracować i wyrosnąć na potęgę gospodarczą oraz mi- litarną. Że można być potęgą polityczną w Europie na zasadzie: głośno krzyknęli- śmy i wstaliśmy z kolan. Nie, tak to nie działa. Najwięcej do powie- dzenia mają ci, którzy mają silne, konkuren- cyjne gospodarki. Wzrost wydajności pra- cy jest uważany za główne źródło postępu gospodarczego, a w konsekwencji dobroby- tu. A więc kluczowa jest praca całego społe- czeństwa i uczciwe płacenie podatków. Słyszymy, że ci okropni neoliberalowie nie widzą, iż Polacy są jedną z najciężej pracujących nacji. Owszem, lecz dane o na- szej wydajności pracy są optymistyczne i niezadowolające zarazem. Chodzi o pro- duktywność w Polsce definiowaną jako PKB przypadające na jedną godzinę pracy. Optymistyczne, bo w ostatniej deka- dzie, a więc w latach 2010-20, według Eu- rostatu nasza produktywność wzrosła o aż 25,8 proc. i to czwarty wynik w Europie, po Irlandii, Rumunii i Litwie. Ale (według sza- cunków Business Insider, również na pod- stawie danych Eurostatu) w 2020 roku prze- ciętny Polak mógł się pochwalić produktyw- nością na poziomie 66,3 proc. średniej unij- nej z uwzględnieniem przepracowanych go- dzin. Dla porównania, Niemiec wykonywał w ciągu godziny pracę na poziomie około 122,4 proc. średniej unijnej. To pokazuje, jaka przepaść nas wciąż dzieli mimo tylu lat pogoni. Tak, nasza cięż- sza praca i lepsza wydajność oznaczałaby, że moglibyśmy więcej z naszych podatków za- płacić nauczycielom, pielęgniarkom i ra- townikom, ale wiele osób nie chce wiązać tych kwestii. Woli magiczne myślenie, że te pensje zaniżają jacyś źli, abstrakcyjni „oni”. Rozumiem, że otoczenie pracy się zmie- nia, że automatyzacja zmienia nasze życie. Że ludzie chcą zachowywać równowagę po- między pracą a życiem rodzinnym, realiza- cją własnych pasji. Pracownicy mają do te- go prawo, ale też oczekiwania co do warun- ków życia powinny być dostosowane do wła- snych wyborów. Zdrowi i w pełni sił obywa- tele nie mogą oczekiwać, że inni na nich bę- dą pracować. Bo to też klóci się z poczuciem sprawiedliwości. I nie chciałabym, abyśmy budowali kulturę, w której praca z założenia uważana jest za zło i opresję. ●

Dominika Wielowiejska

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomas Venclova*

Kawiarnia nad Wełtawą, 1923

1
*w tej kawiarni
często myślę o tym co
mogło się stać
choć zapewne się nie stało*

*tutaj
gdzie ani lip ani kasztanów nie dotknęła
dopiero co zakończona wojna
dokąd jeszcze nie dotarły wiadomości
o listopadowych zamieszkach przy Hofgardenie
o śmiertelnie chorym dyktatorze
w majątku pod stolicą*

ot, kawiarnia

*koniecznie stukot końskich kopyt za oknem
skrzypiące tramwaje
może też pierwsze krople na barokowych posągach na moście*

2
*kobieta siedzi w kącie
przy marmurowym stoliku
odrzuca dużą głowę
z włosami przyciętymi równo nad czołem
przyprószonymi srebrem
ścisnęła ustnik papierosa
w męskich palcach*

*plócienny daszek
osłania szkło
pomiędzy agawami połyskują kajaki
kojąca zieleń wzgórza które
jeszcze nie stało się jej górą*

*zasadniczo to obce miasto
choćby nie wiem jak piękne*

*przychodzi tu tylko raz na tydzień
zamówić kawę
honorarium zapewnia gazeta
obmyślona przez kilku emigrantów*

*życie niczym przystanek
wyciągać rzeczy nie warto*

3
*przez most przechodzi mężczyzna
z trudem wspina się stromą ulicą*

*jak mówiła
chodnik jak szachownica
czarne i białe kwadraty
nie wiadomo kim jest szachista*

*kaszel wymęczył ale
tramwaj przyjechał o czasie*

*wysoka sylwetka nieuchwytny wzrok
staranny ubiór jaki przystoi urzędnikowi
już dokonał wszystkiego co najważniejsze
już doświadczył jedynej krótkiej pieśnyczoty Mileny
już nie raz umarł*

*zdecydował
o spaleniu swoich pism
bo nie dają nadziei*

to życzenie nie będzie wysłuchane

*ona przeczyta jego książki dopiero
gdy się spełnią*

4
*przeprasza przechodzi koło stolika kobiety
zamawia kieliszek wina
kelner proponuje gazetę mężczyzna odmawia gestem
obchodzi go tylko kształt chmury
nie patrzy na przycięte loki
a ona akurat klóci się z córką*

może mijali się na ulicy już wcześniej

*jego język zna wielkie litery
jej język krzyk i szept*

*to oni oboje w tym mieście
najlepiej widzą świat
i zapłacić za to*

*jego gardło zadusi gorycz
jej gardło pętla*

*Milena umrze
na obozowych deskach
nie pamiętając
jak jego głowa
dotykała jej ramienia*

*a ojcu córki która sączy kawę
w piwnicy kulka
roztrzaska potylicę*

*ale szachista będzie łaskawy
nie da tego doczekać*

5
*on podnosi się i wychodzi na ulicę
uśmiechając się bezwiednie*

*mija stolik patrzy na arkady
parabole w lustrach
biały gipsowy pilaster*

*ona widzi tylko cień za drzwiami
dopija kawę
mówi do córki „no cóż, już czas”*

*chciałbym żeby
zobaczyli się nawzajem
porozmawiali
zetknęli dłońmi*

jakby to miało cokolwiek zmienić
przeł. Beata Kalęba



***Tomas Venclova** - ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent, obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna.

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

NIECH SOBIE JADĄ, TE PEDERASTY

Kreml nie przejmuj się uciekającymi poborowymi. Z hipsterów, informatyków, menedżerów i tak nie ma pożytku na froncie

Z **JULIĄ MENDEL**, UKRAIŃSKĄ DZIENNIKARKĄ, BYŁĄ RZECZNICZKĄ PREZYDENTA ZEŁEŃSKIEGO I WIELOLETNIM KORESPONDENTEM „WYBORCZEJ” W MOSKWIE **WACŁAWEM RADZIWINOWICZEM** ROZMAWIAJĄ W KLUBIE „WYBORCZEJ” **DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF** I **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**. TŁUMACZY **ANNA ROSIAK**

BARTOSZ WIELIŃSKI: Rosja to wciąż potężny kraj. Może musiała wycofać się z charkowszczyzny, ale mobilizuje setki tysięcy żołnierzy i może prowadzić wojnę na wyniszczenie. Ukraińcy to wytrzymają?

JULIA MENDEL: Muszą wytrzymać. Nie mają wyboru. Z kobiecej perspektywy – w każdej chwili spodziewam się, że mój mąż zostanie powołany, a im dłużej trwa wojna, tym oczekiwanie jest trudniejsze. Ale łagodzą ją takie obrazki jak te, kiedy rosyjscy żołnierze opatrują rany damskimi produktami higienicznymi. To coś mówi o kondycji ich armii i we właściwym świetle stawia obietnice Putina, że zwiększy budżet wojskowy o 40 proc.

B.W.: Dowodem na rychłe bankructwo reżimu są chyba również te kolejki mężczyzn na granicy z Gruzją, Mongolią, Finlandią, którzy porzucają samochody i idą pieszo, byle tylko uciec przed mobilizacją.

WACŁAW RADZIWINOWICZ: Rosja to naród wojujący od lat – w 2014 roku był Krym, potem Syria. Tylko że Krym to było coś pięknego. Szybka akcja, świetnie umundurowani, zdyscyplinowani żołnierze, obrazki typu żołnierz podaje małej dziewczynce kotka, samolot leci wysoko nad Syrią, robi „bum”, a spiker mówi, że właśnie zniszczyliśmy dwustu terrorystów. Siedzi człowiek na tapczanie, ogląda w telewizorze bezkrawawą, piękną wojnę, więc nakręca się emocjonalnie, jak kibic, który ogląda wspaniały mecz bokserski. Aż tu nagle biorą tego człowieka znad piwa czy wina, z kanapy, stawiają w ringu, a z drugiej strony jest Kliczko. Więc Rosjanin jest z lekka zaambarasowany.

Tylko że nie mówimy o powszechnej ucieczce. Ucieka ten, co ma możliwości. To są hipsterzy, wolne zawody, klasa średnia, lu-

dzie, którzy znają języki, mają dobrego zawód i pieniądze, żeby się urządzić, mają jakąś perspektywę. A dowódców i polityków to specjalnie nie trąca, bo wychodzą z założenia, że niech sobie te – jak mówi Strielkow, w 2015 szara eminencja inwazji na Donbas, a dziś ważny ideolog militarnego imperia-lizmu – „liberały i pederasty” jadą, a naród i tak pójdzie. Bo nie rozumie, bo wierzy albo nie ma wyboru.

B.W.: Ale naród się buntuje, w Dagestanie, w Buriacji.

W.R.: A to jest zupełnie odrębna kwestia. Tu trzeba rozumieć, jak działa rosyjski aparat urzędniczy. Urzędnik od poboru, „wojenkom”, czyli komisarz wojenny, stawia sobie trzy cele. Jeden - wykonać normę, kazali milion, trzeba zebrać milion. Drugi – zarobić. A na kim? Na tych, których stać, żeby się wykupić. Trzeci – jakoś w tym wszystkim pomóc swoim. Dagestan świetnie pokazuje, jak to działa. We wsi 97 procent ludzi to Kumycy, 3 procent Rosjanie. „Wojenkom” jest z Kumyców. Więc od swoich bierze łapówkę i ich chroni, a do Ukrainy wysyła tych kilku Rosjan.

To aparat tak psuje mobilizację. I możemy być pewni, i my, i Putin, że będzie psuł ją dalej. Będą wypełniać normy chorymi albo zmarłymi, a zdrowych wypuszczają.

DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF: Oprócz aparatu urzędniczego jest jeszcze aparat propagandy, w którym też coś zgryzta. Jeśli sama Margarita Simonian, szefowa Russia Today, krytykuje pobór ludzi chorych, niezdolnych do służby, samotnych matek – oczywiście zastrzegając, że to wypaczenia, a sam pomysł jest słuszny – to jakoś musi wpływać na nastroje.

J.M.: Tak, to jest sygnał. Ona się pozycjonowała jako bardzo silna kobieta, twarz propagandy, bliska Putinowi, powtarzała jego narrację.

Przez dekady Rosja Putina budowała wizerunek silnego państwa i nagle okazuje się, że armia, aparat państwowy, propagandowy – wszystko to, co niby Putin odbudował, unowocześnił, zorganizował – jest po staremu. A na pewno dużo słabsze, niż nam się wydawało.

W.R.: A ja obawiam się, że Simonian to wariant starej rosyjskiej bajki o dobrym carze i złych bojarach. Kiedy bojarzy z komisji uzupełnień robią te swoje świństwa, przekrety, uderzymy w nich w imieniu dobrego cara, który nie wiedział, ale zaraz wszystko naprawi. Władimir Solowjow, największy celebryta propagandy, dopiero co krzyczał na antenie, że co trzeciego „wojenkoma” to on by rozstrzelał. Następnego dnia na Syberii chłopak postrzelił „wojenkoma”, zgodnie z tym, co mu powiedział telewizor.

Tym ludziom nie zależy na niczym tak na serio, może poza willą nad jeziorem Como. Teraz jest zamówienie na sekowanie złych bojarów, to sekują. Jutro Putina ktoś rozstrzela i przyjdzie nowy, to będą mówili, jaki zły był Putin.

B.W.: Teraz jest też zamówienie na straszenie Zachodu bronią atomową. Rosyjskie media analizują wręcz, jakie cele należy



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

w pierwszej kolejności zniszczyć. Ostatnio któryś ekspert żałował, że nie wykorzystano pogrzebu Elżbiety II do uderzenia w Londyn, żeby za jednym zamachem zabić wszystkich wrogów Rosji. Można się śmiać z takiej propagandy, ale czy ona jednak nie przyczynia się – osławiając Rosjan z myślą o wojnie jądrowej – do tragicznej eskalacji?

W.R.: To nic nowego. Straszenie atomem było już podczas aneksji Krymu, a jeszcze wcześniej konseksjonowany przeciwnik Kremla, komunista Żyrynowski mówił, że Polska stanie się radioaktywnym popiołem. To stały element rosyjskiej narracji – użyjemy strategicznej, a taktycznej to już na pewno.

D.W.-S.: Tylko wtedy Rosja miała sukcesy, a teraz przegrywa. Motywacja jest inna i bardziej serio.

W.R.: Nasz wielki problem polega na tym, że mamy do czynienia z jednym człowiekiem, który wokół siebie nie ma nikogo, kto powiedziałby mu: weź przestań. Jak na każdym dworze satrapy, wszyscy podbijają mu bębenka, żeby był zadowolony. Więc nasz los zależy od jego nastroju – a on potwornie boi się podzielić los Kaddafiego czy Saddama.

Cały świat zgaduje, czy on choruje, na co choruje, jak rozumuje – ale to są domysły, a pewna jest jedna rzecz, którą sam wyznał la-

ta temu, kiedy zostawał prezydentem. Że w szkole KGB po badaniach psychologicznych został praktycznie zdyskwalifikowany, bo komisja stwierdziła, że ma obniżony próg rozpoznawania niebezpieczeństwa, jest ryzykantem. Dlatego mądrzy szefowie KGB trzymali go na ostatnim stanowisku.

J.M.: Ukraińcy traktują te groźby serio. Strona z informacjami, jak się przygotować i działać podczas ataku jądrowego, odnotowała wzrost odsłon o 900 procent.

D.W.-S.: Nawet jeśli Putin tylko szantażuje, jest niebezpieczeństwo, że pogrążona w energetycznym kryzysie i ogólnie zmęczona Europa mu odpuści.

W.R.: Kilka dni temu Moskwa miała wielkie święto. Bardzo ją ucieszył wynik włoskich wyborów. Bar-

dziej im się podoba, że za plecami Giorgii Meloni wracają Salvini i Berlusconi, sympatycy i kumple Putina. Dla Kremla front europejski jest równie ważny, co ukraiński. Polaków i narody bałtyckie odpuścili, „tych zwariowanych rusofobów nie złamiemy”, natomiast liczą, że burzujący francuski czy włoski jest delikatny i jak mu dwa stopnie spadnie temperatura w mieszkaniu, to wyjdzie na ulicę i każe swoim władzom porzucić Ukrainę, dogadać się z Putinem. Rosji generał Mróz nieraz pomógł wygrać wojnę i teraz też na niego liczą.

D.W.-S.: Na terenach okupowanych odbywają się referenda, w których „przylaczającą większość głosów” ludność opowiada się za przyłączeniem do Rosji. Za kilka dni Krem ogłosi, że to jest Rosja, i kiedy Ukraina będzie chciała odbić swoje ziemie z pomocą broni z Zachodu, Putin może stwierdzić, że proszę, nie myliłem się w przestrofach, NATO zaatakowało.

W.R.: Putin jest rekonstruktorem. Rekonstruuje Wielką Wojnę Ojczyźnianą. A żeby porządnie ją zrekonstruować, trzeba pokazać narodowi, że zostaliśmy zaatakowani, wróg jest na naszej ziemi. Skoro wojna nie chciała przyjść na ziemię rosyjskie – ukraińscy dowódcy bardzo uważali – to ziemie rosyjskie muszą pójść do wojny.

W najbliższych dniach zbierze się Duma i najpewniej formalnie wypowie wojnę Ukrainie – właśnie po to, żeby móc rzucić wszystko na front. Jak daleko posuną się wobec nas, NATO, Zachodu – trudno powiedzieć. Ale po tych referendach Putin już nie może niczego oddać. Z premedytacją spalił za sobą mosty.

J.M.: To prawda, że Rosja jest nieprzewidywalna, ale jeżeli spojrzymy na aktywa, z pomocą których może realizować te nieprzewidywalne decyzje – instytucje, armię, sprzęt – to w zestawieniu z aktywami krajów NATO okazuje się słabym dzieckiem. Putin wie, że szan-

se wygrania otwartej wojny z Zachodem ma nikłe, problem w tym, że pragmatyzm to jedno, emocje to drugie. A jego główna emocja, prócz irytacji, to strach przed upokorzeniem. Przed osobistą porażką.

B.W.: Słysząc głosy, że aby Putin zachował twarz i mógł się wycofać, ogłaszając narodowi zwycięstwo, Ukraina powinna machnąć ręką na Donbas, i tak zniszczony, generujący potworne koszty odbudowy. Z jednej strony, po takich poświęceniach, to dla Ukraińców niewyobrażalne, z drugiej, gdy pomyślimy o przyszłej rzece krwi, może to jakieś rozwiązanie?

J.M.: Większość analityków zgadza się z tym, co czują zwykli Ukraińcy – że jeżeli zatrzymamy się w pół kroku, to on uzna to za słabość i jeśli nie za rok, to za dwa, trzy lata spróbuje znowu.

W.R.: Ja bym mówił nie o zwycięstwie Ukrainy, ale o zwycięstwie nas wszystkich. Zwycięstwo będzie naprawdę, jeśli Rosjanie rozejrzą się i zrozumieją, że nie muszą brać rewanżu za rok 1918 i lata 1989-91, skoro mają u siebie ledwo zagospodarowane 17 mln kilometrów kwadratowych. Że nie muszą kraść sedesu z ukraińskiego mieszkania, bo mają u siebie takie skarby, że jeśli się postarają, sami sobie kupią te sedesy. ●

W Klubie „Wyborczej” gościliśmy już m.in.: Swiatłanę Cichanouską, Anne Applebaum, Timothy’ego Snydera, Donalda Tuska, Wacława Radziwinowicza, Katarzynę Kłosińską i Michała Rusinkę, Adama Bodnara, Adama Wajraka, Jacka Dukaja, ekipę dziennikarzy śledczych oraz reporterów sejmowych „Wyborczej”, himalaistę Nimsdaia Purję, a także opozycjonistów rosyjskich. Wszystkie spotkania możecie państwo obejrzeć lub przeczytać na Wyborcza.pl/klub.

Jeśli chcecie państwo czytać wszystkie teksty „Wyborczej” i brać udział w takich spotkaniach, zapraszamy do zakupu pakietu klubowego prenumeraty cyfrowej Wyborcza.pl.

„Walka naszego życia”, Julia Mendel, tłum. Michał Lipa, **„Gogol w czasach Google’a”, „Crème de la Kreml”,** Wacław Radziwinowicz. Książki dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie ebooka na Publio.pl



Stop putinizmowi w Europie

Putinizm to traktowanie społeczeństwa obywatelskiego jako „piątej kolumny”, która osłabia państwo.

Adam Bodnar*



Na konferencji OBWE zaprezentowany został raport o społeczeństwie obywatelskim w Rosji prof. Angeliki Nussberger, bylej wiceprezeski Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Raport został przygotowany w ramach mechanizmu moskiewskiego OBWE z 1991 r., który pozwala na weryfikację przestrzegania zobowiązań w ramach tzw. wymiaru ludzkiego. Nussberger badała, co doprowadziło do sytuacji w Rosji, do ograniczeń praw i wolności politycznych, standardów praworządności oraz możliwości działania organizacji pozarządowych. Jednak Rosja odmówiła współpracy przy przygotowaniu raportu – nie odpowiadała na pisma, nie stworzyła możliwości wizyty w kraju, ale z prof. Nussberger współpracowali niezależni działacze rosyjscy.

Raport prof. Nussberger ma istotne znaczenie dla zrozumienia sytuacji w Rosji i odpowiedzi na pytanie, czy jest szansa na zakończenie okresu nazywanego putinizmem, a jest to zależne od siły przetrwania oraz mobilizacji społeczeństwa obywatelskiego.

Raport szczegółowo i detalicznie dokumentuje czas przemian w latach 90., ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich 10 lat w Rosji. Punktem przełomo-

wym w raporcie są wydarzenia na placu Błotnym w Moskwie w 2012 r. Agresywne stłumienie demonstracji i aresztowanie uczestników stanowiło przełom w podejściu władz Federacji Rosyjskiej do niezależnych organizacji pozarządowych i mediów. Towarzyszył temu proces absolutnej centralizacji i podporządkowania władzy jednemu ośrodkowi politycznemu. Organizacje społeczne zostały odcięte od niezależnych źródeł finansowania, zwłaszcza tych pochodzących z zagranicy. Nakazano im określanie siebie jako „agentów zagranicznych” oraz poddano skrupulatnej kontroli ze strony służb państwowych. Wolność słowa była ograniczana poprzez różnego rodzaju przepisy ustawowe dotyczące walki z „fake newsami”, ochrony informacji niejawnych, ochrony przed wypowiedziami ekstremistycznymi, dbałości o pamięć historyczną, zakazu propagandy związków nieheteronormatywnych czy ochrony uczuć religijnych.

Władze rosyjskie wprowadziły także regulacje ograniczające wolność działalności niezależnych mediów, a niektóre instytucje medialne zostały uznane za niepożądane lub ekstremistyczne. Prawo o zgromadzeniach było zmieniane aż 13 razy, a COVID-19 stał się wygodnym wytłumaczeniem stosowania różnych represji. Autorka raportu konkluduje, że podejście władz zmierza do traktowania społeczeństwa obywatelskiego jako „piątej kolumny”, która osłabia państwo. Tym samym nie jest to zgodne ze standardami OBWE.

Lektura raportu ciekawie koresponduje z książką Timothy’ego Snydera „Droga do niewolności”. W 2018 r. Snyder opisał, jak autorytaryzm wrócił do Rosji, pokazywał, jakie stosuje metody, jakie znaczenie miała aneksja Krymu oraz wojna w Donbasie, czemu służyły mordy polityczne oraz jak reżim Putina zapewnia sobie wsparcie i sympatię na Zachodzie. Cztery lata później jesteśmy w zupełnie innym miejscu. Współpraca Putina z Zachodem runęła (choć wciąż ma sympatyków w niektórych państwach), a poziom represji w stosunku do organizacji społecznych

tylko wzrósł. Zresztą prof. Nussberger sporo miejsca poświęca temu, jak reżim zaostrzył swoje działania w stosunku do społeczeństwa obywatelskiego po rozpoczęciu wojny. Przykładem są ustawy kryminalizujące jakąkolwiek krytykę rozpoczęcia wojny czy aresztowania za demonstracje w obronie pokoju (nawet jednoosobowe).

Raport ma także znaczenie dla Polski. Po pierwsze, ze względu na sytuację geopolityczną i bezpieczeństwo powinniśmy pilnie studiować wszystko, co dotyczy wewnętrznej sytuacji w Rosji. Po drugie, w Polsce pojawiać się będzie coraz więcej osób z Rosji poszukujących ochrony.

W Polsce doświadczyliśmy kalki podobnych jak w Rosji działań ze strony organów władzy publicznej

Reakcja na powszechną mobilizację pokazuje, że wiele osób będzie chciało Rosję opuścić. Raport może okazać się pomocny dla polskich władz i sądów przy ocenie, czy dana osoba ubiegająca się o opiekę międzynarodową rzeczywiście była zaangażowana w działalność niezależnego społeczeństwa obywatelskiego. Po trzecie, raport zawiera postulat, aby państwa członkowskie OBWE udzielały wsparcia niezależnym organizacjom z Rosji. Już teraz w Wilnie i w Rydze zlokalizowane są niezależne redakcje oraz siedziby głównych organizacji pozarządowych z Rosji.

Ale na raport powinniśmy spojrzeć także z innej perspektywy. Tych 10 lat zmian w Rosji to kronika postępujących represji, ograniczeń, zmian narracji i podejścia do społeczeństwa obywatelskiego. Niestety, w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat doświadczyliśmy kalki podobnych dzia-

łań ze strony organów władzy publicznej. W największym skrócie warto wspomnieć o nagonce na organizacje społeczne, zwłaszcza LGBT+, oraz walczące o prawa kobiet; dążeniu do ograniczenia wolności słowa; złamaniu niezależności sądów; propozycjach wprowadzenia ograniczeń dla finansowania organizacji społecznych ze środków pochodzących spoza Polski na wzór rosyjskiej ustawy; inwigilowaniu niezależnych działaczy, adwokatów i polityków za pomocą systemu Pegasus; szykanowaniu liderów organizacji społecznych i aktywistów za pomocą pozwów.

Polskie społeczeństwo obywatelskie jak dotąd wytrzymało presję. Zapewnia przestrzeń do debaty, poszukuje niezależnych źródeł finansowania. Jednak lektura raportu skłania do pytania, jak długo ten opór będzie trwał? Czy miałby taką siłę, gdyby została ograniczona niezależność mediów, złamana autonomia uniwersytetów, gdyby zaciśnięto pętlę na niezależności samorządów lokalnych?

Jeszcze 10 lat temu, kiedy tłumione były demonstracje na placu Błotnym, można było względnie normalnie jeździć do Rosji i współpracować z niezależnymi organizacjami społecznymi. Państwo autorytarne stwarzało pozory normalności. Teraz panuje nowy system – putinizm. I w naszym interesie jest, aby mu się sprzeciwiać, ale także, aby nie doprowadzać do rozprzestrzeniania tej metody rządów w innych częściach Europy. ●

***Adam Bodnar**, dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, prowadzący audycję „BOS” w Radiu TOK FM



„Jan jest szczery, nawet bardzo. Wobec czytelnika i wobec siebie samego. Dla mnie to poruszająca opowieść o marzeniu, o sile, o determinacji. Także o stawaniu się dojrzałym i odpowiedzialnym. I o prawdziwej miłości, która zjawia się w porę. Przede wszystkim jednak o wolności! Ważna i prawdziwa do bólu rozmowa!

OLAF LUBASZENKO

PIERWSZA BIOGRAFIA LEGENDY POLSKIEGO ROCKA

• Dwuletni Jarosław Kurski z mamą Anną na werandzie ich gdańskiego mieszkania

FOT. WITOLD KURSKI, ARCHIWUM RODZINNE

Z **JAROSŁAWEM KURSKIM**,
AUTOREM KSIĄŻKI „DZIADY I DYBUKI”,
ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Tvoja rodzinna historia pokazuje, że los pisze nieprawdopodobne scenariusze. Gdyby nie zdanie, wypowiedziane w złości przez twojego byłego szefa, Lecha Wałęsę, być może nigdy nie dowiedziałbyś się o własnych korzeniach...

– Z pewnością bym tego nie drażył. Coś, wokół żydowskich tematów, narastało w domu od lat... Była niegroźna małżeńska gra, którą tata prowadził z mamą, jakieś docinki, aluzje. Przyszan, że mnie to nie obchodziło.

Rzeczywiście, wszystko zaczęło się od sceny w samolocie, którą otwieram książkę. W czerwcu 1990 roku lecieliśmy z Lechem Wałęsą do Warszawy na spotkanie z abp. Agostinem Casarolim, nuncjuszem apostolskim w Polsce. Byłem wtedy rzecznikiem prasowym Lecha. Towarzyszył nam w tej podróży Bronisław Geremek. Przyleciał po nas do Gdańska, by porozmawiać z Lechem szczerze.

Był to już czas „wojny na górze”. Parszywy dla „Solidarności”. Wałęsa chciał zostać prezydentem i zmierzał do tego dziarskim krokiem. Droczył się z Geremkiem, który próbował gasić napięcia, i nagle Lechu wystrzelił, że nie powinien być słuchać Żydów, że już dawno go przed Żydami przestrzegano, pytał, dlaczego Żydzi w rządzie Mazowieckiego nie chcą się ujawnić i że gdyby on sam był Żydem, to byłby z tego dumny. Geremek powiedział, że „pan przewodniczący najadł się szaleju”, i zamilkł. Dwa nieprzenikające się światy.

W akcie rozpaczcy powiedziałem: „Lechu, co ty opowiadasz? Przecież w Polsce właściwie o każdym można powiedzieć, że ma jakiegoś znajomego Żyda albo sam jest Żydem. Tu się wszystko mieszało, to jest Polska. Sam zresztą mówiłeś o mojej mamie, że jest Żydówką, bo w tym czasie była w »Gwiazdod zbiorze« – walczącej z tobą frakcji Andrzeja Gwiazdy”.

Ten zupełnie niewinny – jak mi się zdawało – epizod chciałem zamieścić w książce „Wódz”, którą napisałem po rozstaniu z Wałęsą. Przed oddaniem jej do druku dałem mamie maszynopis. O trzeciej nad ranem obudziło mnie walenie do drzwi. Wpadła do środka: „Ja stąd nie wyjdę, dopóki mi nie obiecasz, że to wykreślisz”. Chodziło o zdanie, że „zwolennicy Lecha szeptali, że jesteś Żydówką”. „Ja jestem Polką! Polką! Polką!” – krzyczała.

W oczach mamy zobaczyłem egzystencjalne przerażenie. Powiedziała mi, że nie wiem, co robię ani jaki los szykuję sobie i swoim dzieciom: „Bo ty nie wiesz, jaki jest w Polsce antysemityzm”.

Zrozumiałem wtedy, że ja nie znam własnej matki, że ona przez całe lata skrywała lęki, do których być może nigdy nie będę w stanie dotrzeć. Wtedy zacząłem szukać. To, co było anegdotą, nagle stało się ważne. Zagłada stała się sprawą osobistą.

Zdanie wykreśliłeś.

– Ustąpiłem z miłości do mamy. Ale to ona miała rację. Ja jeszcze niczego nie rozumiałem.

Piszesz w „Dziadach i dybukach”, że gdy się urodziłeś, dziadek Longin Kurski spojrzal i powiedział: „No, dziecko ładne, ale ten nosek taki starozakonny”.

– Mama się na to bardzo oburzała, nie rozumiejąc, że chodzi w istocie nie o mój, ale o jej nos. Takie uwagi pojawiały się w czasie rodzinnych spotkań, ale nienachalnie, nie codziennie. I mówiąc szczerze, dopiero reminiscencje spowodowały, że zdałem



DYBUK MNIE GNIÓTŁ

Moją książką z pewnością niweczę wznoszony od pokoleń gmach asymilacji żydowskiej części mojej rodziny.

sobie sprawę, w jakiej atmosferze wyrastałem. Nie był to antysemityzm, raczej taka wyższościowa pobłażliwość.

„Dziady i dybuki” to opowieść o tożsamości. Mama stanowczo określiła się jako Polka. Ale w kategoriach nazistowskich ustaw norymberskich była Żydówką – bo była pół krwi Polką (po ojcu), pół krwi Żydówką (po matce). Ja te kategorie odrzucam. Ale nie wszyscy Polacy je odrzucają ani nie wszyscy Żydzi je odrzucają. Dziwnie się składa, że jak pisał Julian Tuwim, zarówno „aryjskie rzeczoznawce, wypierdy germańskiego ducha”, jak i ortodoksyjni rabini zgodnie będą mnie uważali za Żyda. Jedni, bo mam domieszkę trującej semickiej rasy, drudzy, bo niby żydowską tożsamość dziedziczy się po matce.

Tym, którzy „tropią”, oraz innym, którzy powołują się na kwestię religii, to wystarczy.

– A ja dziękuję. Postoję. Pozostanę tym, kim się czuję. Widzisz, co za polski paradoks.

Ciebie nikt nie pyta, czy się czujesz Polakiem, a ja już teraz muszę o tym zapewniać. I to mnie, oględnie mówiąc, złości. Tak, jestem Polakiem, ale na moich, a nie Romana Dmowskiego warunkach. Polakiem, który otwarcie mówi o swych żydowskich parantelach. Bo polskość jest z natury rzeczy hybrydowa. Co zresztą stanowi o jej bogactwie i atrakcyjności.

Ale twoja mama tak nie uważała.

– Stała na stanowisku, że Polacy i katolicy w hierarchii społecznej stoją najwyżej, i do tego aspirowała. Może stąd między innymi jej gorący patriotyzm. Mama swoim ziemiańskim pochodzeniem się szczyliła i je pielęgnowała. Swego żydostwa się wstydzila i je wypierała. Ja tę hierarchię odrzucam. Uważam ją za upokarzającą, niszczącą i fałszywą. Na tym polegał nasz spór. Mama swoim pochodzeniem, swoimi przodkami interesowała się po cichu. Tak, żeby nikt nie widział, nie słyszał, nie komentował, żeby się o tym nie mówiło. Dlatego musiałem jej przysiąc, że tę książkę opublikuję po jej



śmierci. Słowa dotrzymałem. Mama odeszła sześć lat temu.

To może lepiej było nie pisać?

– Dybuk mnie gniótł. Musiałem się z nim rozprawić. Pisałem to terapeutycznie. Samą prawdę i tylko prawdę. Nie można inaczej. Czytelnik zaraz wyczuje fałszywą nutę. Ale zdaję sobie sprawę, że w kraju, w którym dyskurs antysemicki ma się naprawdę dobrze, gdzie nawet w publicznej telewizji mówią o „parchach”, przyznanie się do swoich żydowskich korzeni nie idzie tylko na mój rachunek i że narażam bliskich. Moja cioteczna siostra, która mi bardzo kibicuje, czytała tę książkę, emocjonowała się nią i udzieliła mi bardzo wielu istotnych informacji, pokazała sporo rodzinnych listów, była w gruncie rzeczy przeciwna publikacji „Dziadów i dybuków”. Pytała, po co nam ten hejt.

Mogą na przykład narysować gwiazdę Dawida na grobie twojej mamy?

– Na przykład. A to takie trudne w Polsce? Grób rodziców Adama Michnika został zbezczeszczoney dwa razy, jeśli nie więcej. A Adam się uważa za Polaka. To jest ten sartréowski paradoks, że Żydem jest ten, kogo inni uważają za Żyda. To się w naszym kraju sprawdza. Czujesz się Polakiem, wybierasz polskość, ale i tak będziesz Żydem, bo tak mówią o tobie inni. To jest to ciągle wyrzucanie poza nawias polskości. Straszne i obrzydliwe.

Na prośbę mamy wykreśliłeś z „Wodza” zdanie, które ją przeraziło, ale jego konsekwencji nie dało się już wymazać.

– Ono wywróciło do góry nogami naszą rodzinną opowieść. Wyrastaliśmy w poczuciu dumy z pradziadka Justyna, żołnierza napoleońskiego i powstańca listopadowego, i jego syna, Narcyza, więźnia stanu z okresu Wiosny Ludów i powstańca styczniowego.

I oto wkroczyłem na nieznane pole. Sam, bo mama nigdy nie wzięła się z tym tematem za bary, tata, owszem, słuchał moich opowieści, ale Jacek odrzucał to całkowicie. Stałem się outsiderem wystawionym na pastwę dziadów i dybuków. Jedynie moja cioteczna siostra Jadwiga, o której już wspominałem, była mi wsparciem.

I tak było aż do napisania książki?

– Mama w pewnym momencie zaczęła wyrażać zainteresowanie. Górę u niej wzięły ciekawość, nostalgia, chęć zrozumienia swojej matki i babki, które wybrały polskość. Znosiłem jak skarby kolejne informacje i nagle zorientowałem się, że wiem więcej niż ona. Słuchała z ciekawością. Ale zasadniczej rozmowy nigdy nie odbyliśmy.

Dybuk wlaźł we mnie głęboko i dźwiganie go w pojedynkę nie było łatwe. Z czasem zacząłem być uciążliwy dla otoczenia. Miałem potrzebę dzielenia się wszystkim, co przeczytałem. Pawłowi Śpiwakowi powiedziałem pewnego razu, że jestem potomkiem Gaona z Wilna. On to natychmiast powiedział w jakimś wywiadzie i sprawa stała się publiczna.

Twoja opowieść wpisuje się w opowieść o Żydach, którzy rządzą światem, a zwłaszcza mediami.

– No tak, i jeszcze ten Lewis Bernstein Namier, brat mojej babci. Był doradcą Davida Lloyd George’a, premiera Wielkiej Brytanii, osobistym wrogiem Romana Dmowskiego, syjonistą i współtwórcą linii Curzo-

na. Dla kogoś, kto na świat patrzy w kategoriach żydowskiego spisku, to koronny dowód na żydowskie machinacje, prezent podany na tacy.

Dla mnie „Dziady i dybuki” to opowieść o odkrywaniu prawdy, zdzieraniu kolejnych warstw starej farby. Albo inaczej opowieść o Żydach z piątego destylatu. Najpierw była Zagłada. Potem, zaraz po wojnie, ci, którzy przeżyli, opuścili Polskę, gdy narastała atmosfera pogromowa, albo w 1956 roku, bo sami określili się jako Żydzi. Potem przyszedł Marzec ’68 i narodowi komuniści wygnali z kraju tych Polaków, których zidentyfikowali jako Żydów. Resztki, które dotwały do 1989 roku, zaczęły otwarcie mówić o sobie, że są Żydami. Stanowią już niestety margines marginesu. A ja piszę o Żydach w Polakach, którzy milczą, tak jak milczała moja mama. Uważam, że są ich tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy – oni się odnajdą w mojej opowieści. Może przemówią tak jak ja i obrócą w proch ten endecki, rasistowski model polskości. To także dla nich jest ta książka – dla tych Polaków, którzy chcą otwarcie, bez strachu mówić o swoich korzeniach.

Myślisz, że to możliwe.

– Mimo że mama i babcia powiedziałyby: „Nie rób tego, będziesz żałował”. Ja chcę wierzyć, że w mojej ojczyźnie powinniśmy tak myśleć i mówić. Ale jestem pesymistą.

Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego. Bo faszysty od Bąkiewicza i pogrobowcy Dmowskiego oraz instytucje jego imienia dostają od państwa PiS sute dotacje; bo przez zburzoną przez hitlerowców stolicę idą 11 listopada wielotyśne narodowe marsze; bo leje się błoto z internetu i z antysemickich broszurek, z kruch i stadionów; bo władza publiczna nic z tym nie robi, szczuje i wydobywa z ludzi wszystko, co najgorsze, a ksiądz na to

kropi wodą święconą; bo na grobie Eligiusza Niewiadomskiego, mordercy prezydenta Gabriela Narutowicza, płoną znicze i leżą świeże kwiaty... Mogę tak jeszcze długo.

W 2018 roku słowami wypowiedzianymi w Monachium – o „żydowskich sprawcach” – premier Morawiecki doprowadził do ochłodzenia w relacjach polsko-izraelskich, a treści jawnie antysemickie, dolewające oliwy do ognia, pojawiały się regularnie na antenie TVP. Kierował nią wtedy Jacek Kurski. Po lekturze „Dziadów i dybuków” zacząłem się zastanawiać, jak mógł na to pozwalać.

– To jest pytanie do niego. Ja nie znam na nie odpowiedzi.

Napisałeś o przodkach, a tych znaleźć można m.in. wśród bohaterów... „Ksiąg Jakubowych” Olgi Tokarczuk.

– Wszystko zaczęło się od niejakiego Mendla z Niemirowa, miasta w Ukrainie opodal Winnicy, który pod koniec XVIII wieku przyjął chrzest w katedrze lwowskiej i stał się Tadeuszem Niemirowskim. Był jednym z wyznawców sekty Jakuba Franka. Chrzest, jak mawiał Marian Hemar, najwyraźniej się nie przyjął, bo jeden z potomków Mendla, mój prapradziadek Jakub Bernstein, nie tylko był wyznania mojżeszowego, ale też bardzo aktywnie udzielał się w reformowanej synagodze w Warszawie. To była warszawsko-żydowska plutokracja – właściciele kantorów bankowych, cukrowni, sklepów etc. Myślę jednak, że cała rodzina Bernsteinów, którzy

później w części powrócili do nazwiska Niemirowski nadanego Mendlowi we Lwowie, padła ofiarą pewnej iluzji.

Jakiej iluzji?

– Że można być Polakiem wyznania mojżeszowego. W okresie powstania styczniowego mniej więcej do lat 90. XIX wieku dawało się jeszcze żyć złudzeniami. I oni bardzo tego pragnęli. Jakub brał udział w powstaniu, za co został uwięziony i stracił dużą część majątku. Ale później przyszedł Roman Dmowski wraz ze swoją koncepcją etnicznie czystego, narodowego i katolickiego Polaka. Brakowało w niej miejsca dla konwertytów, których jako obcych rasowo w szczególności nie znosił i uważał za największych trucieli polskości. Moja rodzina została z niczym. Na ziemi niczyjej. Nie byli już Żydami, ale nie zdążyli zostać Polakami. Żydzi odrzucali ich jako zdrójców. Polacy traktowali z wyższością i pogardą. Dobrze się czuli jedynie pośród siebie podobnych. W tym kręgu zresztą żenili się i pobierali.

Wspomniałeś o bracie swojej babki, o sir Lewisie Bernsteinie Namierze. On się z tego procesu asymilacyjnego wyłamał?

– Ludwik (to jego dybuka w sobie nosilem) odrzucił drogę swojej rodziny, w szczególności ojca, który mimo upokorzeń, szyderstw i klód rzucanych pod nogi przez Polaków uparł się być Polakiem. Lewis uznał tę drogę za upokarzającą i wybrał pozostać przy żydostwie. Myślał, że w ten sposób wyzwoli się z tej tożsamościowej pułapki, ale i to okazało się dla niego źródłem udręki. Był już bowiem mocno zasymilowany, ukształtowany na polskiego ziemianina, nie znał ani jidysz, ani hebrajskiego, nie mówiąc o tradycji żydowskiej. Syjoniści Chaim Weizman, pierwszy prezydent Izraela, oraz Dawid Ben Gurion, pierwszy premier tego kraju, mimo przyjaźni z Ludwikiem nie uważali go do końca za swego.

Dlaczego Ludwik zbuntował się przeciw woli ojca?

– W „Dziadach i dybukach” opisuję moment jego przemiany. Lewisa, wówczas jeszcze Ludwika, jedzie pociągiem na studia do Lwowa, siedzi przy oknie w przedziale, do którego wsiada trzech uczestników polowania, którzy właśnie gościli u jego ojca. Nieświadomi niedyskrecji drwią i szydzą z gospodarza, nazywają go „hrabią jerozolimskim”, przyznają, że jakkolwiek by się Niemirowski starał, to i tak „Żyd z niego wyjdzie”. Ludwik słuchał, milczał. To było jak tortura. Wsiadał do pociągu linii Jassy-Czerniowce-Lwów jako Polak, pilsudczyk, polski patriota i socjalista, a wysiadł jako Żyd, syjonista z postanowieniem, że wyjeżdża z Polski. Zaczął studia na Oksfordzie.

Nawet teraz, opowiadając o tym, jestem rozdarty. Z jednej strony wiem, jak ogromną stratę poniosła Polska, odrzucając młodego Ludwika, a z drugiej – świetnie go rozumiem. Ile upokorzeń można znieść? Upokorzenie to najgorszy rodzaj emocji, odkłada się osadem do końca życia, przekształcając w resentment. A jeśli jeszcze ów resentment wzmocniony jest siłą intelektu (Ludwik był wybitny, odziedziczył chyba część geniuszu po Gaonie z Wilna), to daje to niezwykłą siłę. Można ją było wykorzystać dla Polski. Edward Raczynski, prezydent RP na uchodźstwie, który się z Ludwikiem przyjaźnił, skonkludował to słowami: „Tak właśnie szkodzi Polsce jej endecki nacjonalizm”.

I jak mu wielokrotnie zarzucano, jako ten „mściwy Żyd” nakreślił linię Curzona, co doprowadziło do odcięcia Lwowa od Polski.

– On ją wykreślił, ale przecież do tego nie doprowadził. To antysemicki nonsens. O kształcie naszych granic decydowały wielkie mocarstwa, a nie jakiś „galicyjski żydek”, jak Dmowski nazywał Namiera.

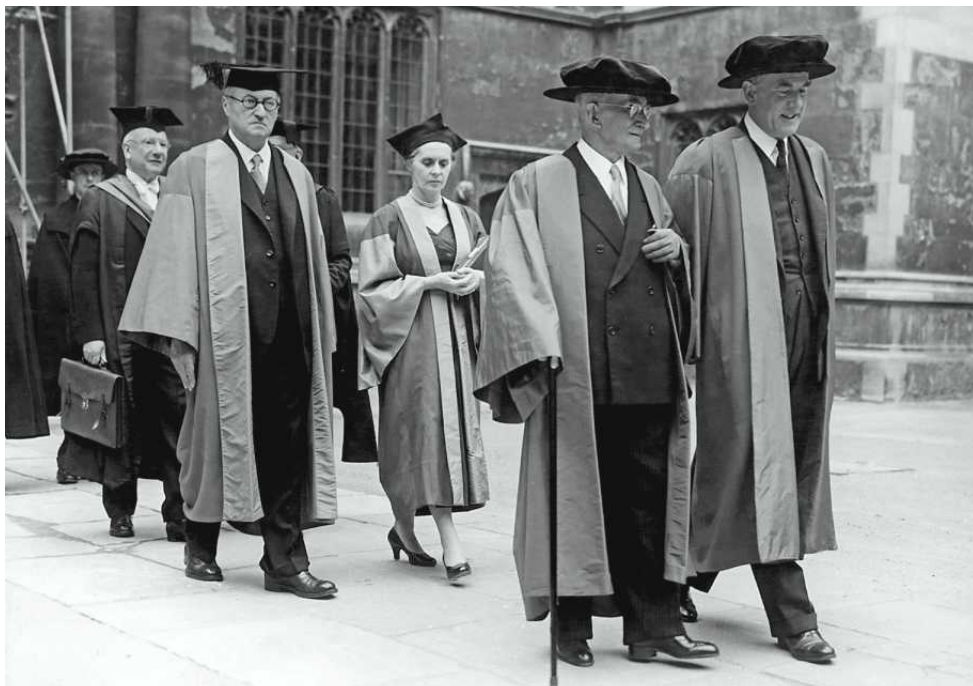
Nie można Ludwikowi czynić zarzutu apostazji narodowej. On nie uważał się za Polaka. Co okazało się znacznie bardziej istotne od faktu, że urodził się w Woli Okrzejskiej, majątku Henryka Sienkiewicza. To jego rodzice i siostra, a moja babka, dokonali konwersji. On pozostał Żydem i wybrał obywatelstwo brytyjskie. Polska okazała się dla niego jedynym krajem, w którym nie mógł być Polakiem. Wstąpił do brytyjskiej armii, pracował w Foreign Office. Polska przestała być dla niego najważniejsza.

Jak zatem wyglądał proces stawania się Polakami tych, którzy zdecydowali się na konwersję i trwali przy tym wyborze do końca – twoich pradziadków, babci i mamy? Piszesz wprost: w Polskę trzeba było się wkupić.

– Trzeba było w dwójnasób, trójnasób zaświadczyć, że jest się neoficką Polką, neofickim Polakiem, tak jakby czuli, że w oczach Polaków muszą na to sobie zasłużyć. A i tak zawsze było mało.

Przecież ojciec Ludwika, mój prapradziadek Józef Niemirowski, udostępnił w 1919 roku polskiemu wywiadowi, tzw. Dwójce, prywatny list od syna, dlatego że były w nim fragmenty dotyczące brytyjskich planów wobec Galicji Wschodniej. Tego jego zdaniem wymagała lojalność wobec odrodzonej Polski!

Babcia Teodora we wrześniu 1939 roku miała kilkanaście kilometrów do granicy z Rumunią. Uciekinierzy z Warszawy i Mościsk namawiali ją: „Pani dziedzicz-



• Wybitny brytyjski historyk sir Lewis Bernstein Namier, wcześniej Ludwik Namierowski (czwarty od prawej) w czerwcu 1955 roku odbiera doktorat honoris causa na Oxfordzie. Jarosław Kurski: – To jego dybuka nosiłem w sobie
FOT. KEYSTONE/HULTON
ARCHIVE/GETTY IMAGES

ko, Polski już nie ma. Proszę z nami jechać”. Ale ona odpowiedziała, że „będzie dzielić – uwaga – los swojego narodu...”.

A i tak gdzieś ciągle były szyderstwo i pogarda ze strony wielu polskich szlagonów, w tym rodziny męża babci – dziadka Modzelewskiego, ziemianina herbu Trzywdar.

Jest w książce scena idealnie pasująca do określenia „wkupić się w polskość”. Opisziesz niezwykle racjonalne zachowanie twojej babki Teodory, która – by obejść ustawy norymberskie i wydostać się z piekła podejrzeń o własne pochodzenie – zdecyduje się w czasie

padeku. A przez sen krzyczała, by „zapłacić temu człowiekowi”.

O wszystkim wiedziała Klara, mamy starsza siostra, która zmarła jednak, zanim zacząłem tę rodzinną historię odkrywać. Odtworzyłem ją zatem z listów, z książek, dzięki rozmaitym kontaktom i ogromnej pomocy dr. Andrzeja Zięby, etnologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. To on jako pierwszy pokazał mi drzewo genealogiczne Bernsteinów i Sommersteinów.

Piszesz w „Dziadach i dybukach”: „Golem mojej mamy wypowiedział posłuszeństwo żydowskiemu przodkom. Mama ostentacyjnie deklamo-

nikiem tak rozumianej polskości jest antysemityzm.

A ja wobec antysemityzmu jak jeź stawiam kolce. Uważam, że trzeba go głośno piętnować. Mama milczała.

Na pewno pojawią się głosy, że choć miałeś zgodę mamy na napisanie tej książki po jej śmierci, to jednak nie powinieneś pisać z uwagi na jej pamięć.

– Pojawią się z pewnością. Ale to odwieczne pytanie: co jesteśmy winni naszym rodzicom? I do którego momentu? Czyli: czy wybór naszych rodziców jest dla nas obowiązujący? Czy wola rodziców może iść tak daleko, że odbiera nam naszą własną podmiotowość? Dotrzymałem słowa. Mama doskonale wiedziała, że nie może mi zabronić opublikowania tej książki, gdy już jej zabraknie, i nigdy tego nie zrobiła.

Mam świadomość, że „Dziadami i dybukami” niweczę wznoszony cierpliwie latami gmach asymilacji żydowskiej części mojej rodziny. Obracam wniwecz wysiłek kilku pokoleń: kupowanie majątków, zmianę nazwiska, udział w powstaniach, gorliwy patriotyzm babci i mamy... Robię to z pełną świadomością, bo poczuwam się do polskości obywatelskiej, republikańskiej i inkluzywnej. Wiemy, że między patriotyzmem, który jest uczuciem wzniosłym, a ksenofobicznym nacjonalizmem i narodową megalomanią przebiega jedynie cienka czerwona linia. Łatwo jej nie zauważyć.

Czy dybuk cię opuścił?

– Skończyłem tę książkę 8 maja. I będę się z nim żegnał, bo nie jestem już z tym sam. ●

Jarosław Kurski



„Dziady i dybuki”

Wydawnictwo
Agora

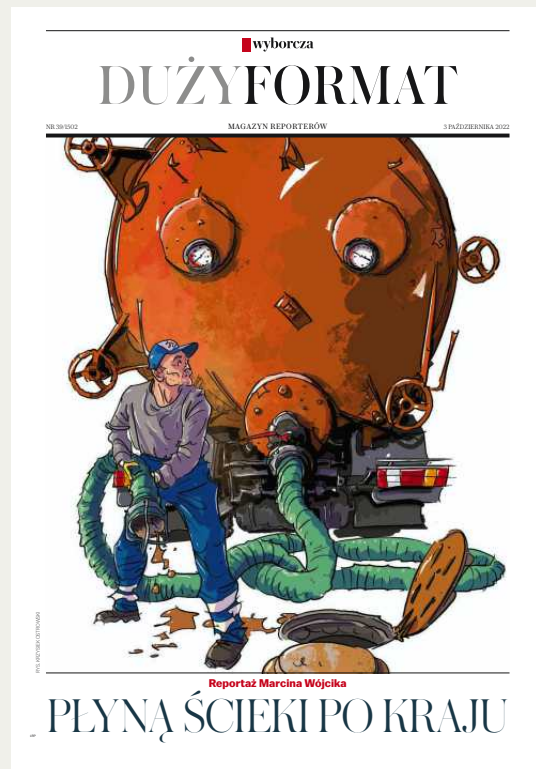
Premiera 12 października.
Dostępna w przedsprzedaży
na kulturalnysklep.pl.

**Spotkanie online
w Klubie „Wyborczej”**

Jarosław Kurski i Adam Michnik będą gośćmi klubu we wtorek, 11 października, o godz. 20 – zapraszamy na Wyborcza.pl

Otwarte spotkanie z Jarosławem Kurskim 26 października o godz. 18 w Sali Audytorium Muzeum Polin.

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



PLYNĄ ŚCIEKI PO KRAJU

1 DLACZEGO
KROWY
ŻUJĄ PAPIER
TOALETOWY?
Reportaż
Marcina Wójcika

2 DZIESIĘĆ OSÓB
ODESZŁO
Z KWITKIEM.
Jak wzrosły ceny
pokojów dla
studentów?

3 ŻYCIE
SEKSUALNE
PŁODÓW.
Rozmowa
o masturbacji
dziecięcej

wojny kupić działkę w Warszawie. Chodziło o to, by być „czystą”, bo przecież nikt w okupowanej Polsce z Żydówką takiej transakcji by nie przeprowadził...

– Stawiające się przed notariuszem strony musiały zaświadczać, że „nie są żydowskiego pochodzenia”. Ta nieruchomość w Warszawie nie była babci do niczego potrzebna, chodziło o dowód materialny, o glejt na aryjskość. Tylko to się w tym czasie liczyło.

We Lwowie karmiła wszy w instytucie prowadzonym przez profesora Weigla, bo to zapewniało ausweis – no przecież wszy nie mogły pić żydowskiej krwi!

Trzeba było jednak z tego Lwowa wyjeżdżać, zbyt wiele osób wiedziało. Atmosfera wokół kuzynostwa Wiśniewskich, którzy gościli babcię Teodorę, ciocię Klarę i mamę, gęstniała. A Chominowych [Zofia Chominowa, dozorczyńni, która doniosła na poetkę Zuzannę Ginczanek] we Lwowie było wtedy wiele. Mama, wówczas radosna blondyneczka, nie zdawała sobie sprawy z całej grozy i dziejących się we Lwowie potworności. Była chroniona. Niewiele jej mówiono, by w sytuacji, która mogłaby decydować o życiu i śmierci, niczego nie mogła ujawnić.

Ale babcia do końca życia kładła się spać z przepaską, w której miała jakieś kosztowności na wszelki wy-

wała w towarzystwie, że nie znosi czosnku, choć nigdy go nie wyczuwała, gdy dodawany był do potraw”.

– Był to bez wątpienia jeden z leitmotivów jej rozmów. Moim siostrzom cioteczny, a swoim siostrzenicom, zdradzała, że taka czy inna koleżanka opowiadała w jej towarzystwie antysemickie szmoncesy i nie zdawała sobie sprawy z tego, w czyjej obecności to robi. Powtarzała czasem: „Jak one mogą patrzeć na mnie i nie widzieć?”. Odczuwała nawet swoją satysfakcję, że mimikra poszła tak daleko, że niczego nie zauważyły i w związku z tym ona była dla nich po prostu Polką, o czym zawsze marzyła. Nawet nie to, że chciała nią zostać, ona się nią czuła od zawsze, tylko że ciągle żyła w przekonaniu, że ktoś na tę polskość Anny Kurskiej dybie, chciałby jej ją odebrać.

Gdyby moja książka ukazała się za jej życia, oznaczałaby odarcie jej z najważniejszego skarbu – poczucia przynależności narodowej podszytego wstydem wynikającym z faktu, że ma się żydowskie pochodzenie.

Przyznam, że nie przepadam za książkami, w których dzieci rachują się z rodzicami, „Dziady i dybuki” także nie będą taką lekturą. Ale nie mogę nie zauważyć, że mama tak głęboko wgrzyzała się w polskość rozumianą, niestety, na sposób endeki, że przyjęła z rezygnacją, że skład-

Gra w przetrwanie

Czy powstańcy warszawscy nie kierowali się podobnymi pobudkami jak obrońcy Ukrainy?

Szczerzek



Kto wie, jak by to było, gdyby Polska w 1939 roku była potraktowana tak jak Ukraina w 2022: gdyby napadł ją tylko jeden sąsiad, a nie dwóch, i gdyby Anglia z Francją, związane z nią przecież sojuszem, skutecznie wysyłały jej uzbrojenie w takiej ilości, w jakiej Zachód (w tym Polska) wysyła je dziś Ukrainie. Oczywiście ze względu na geografie trudne to do wyobrażenia. Ale fascynują nas przecież historie alternatywne, więc możemy sobie powyobrażać.

Możemy też powyobrażać sobie powstanie warszawskie trochę inaczej, niż sobie wyobrażamy. Bo wiadomo, jak to u nas jest z tym powstaniem: jedni, że cudo, super, powstanie z kolan i wieczny szacunek, inni – że bezsensowna rzeź, że miasto w gruzach, że zbrodnia na narodzie dokonana już prawie nawet nie rękami hitlerowców, tylko naszymi własnymi, przywódców powstania. Bardzo to polskie: albo w jedną, albo w drugą.

I tu jednak możemy dziś włączyć perspektywę, którą daje nam patrzeć na wojnę w Ukrainie. Poddać się i czekać, aż nas dorzną, czy jednak próbować się bronić? Zrobić to, co Ukrainie radzą tacy, na przykład Roger Waters, czy inni zachodni „miłośnicy pokoju”, którzy uważają, że jest ważniejszy od geopolityki? Czy jednak próbować się uchronić przed coraz gorszym losem, ryzykując wszystko? Bo w końcu tak było w Warszawie. Zaryzykowała wszystko i przegrała wszystko. A czy mogła wygrać? Nie wiadomo. Powstanie paryskie wyglądało inaczej. Niemcy uciekli, wkroczyli alianci. Rosjanie też byli aliantami. Trudno się było po Stalinie spodziewać takiego skurwysyństwa, jakiego się dopuścił.

A co by było, gdyby nie było powstania? Ano, cóż. To samo co w Ukrainie, gdyby się poddała. Ze dwie Bucze albo i trzy. Do tego z pięć Iziumów. Trochę terroru, jak zwykle. Parę ludzi więcej torturowanych w kazamatach. Trochę więcej ludzi prześladowanych za to, że należą do narodu, któremu – według napastników – trzeba wpoić podległość narodowi dominującemu albo który trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi.

Czy to wszystko usprawiedliwia powstanie warszawskie? Pewnie nie. Pewnie nie trzeba było dopuszczać do tego, by przeklinali powstańców zwykli cywile, którym na głowy spadały sufitu ich własnych mieszkań. Albo ci zasypani w piwnicach, słyszający przed śmiercią ryk bomb i lament litanii modlących się do Boga, przerażonych ludzi. Ale czy powstańcy nie kierowali się – mimo wszystko – podobnymi pobudkami jak obrońcy Ukrainy? Owszem, mo-

żemy się poddać i zobaczyć, jakoś to będzie. Mogli tak powiedzieć, i dziś Ukraina byłaby drugą Białorusią, a wszyscy znani ukraińscy pisarze, ludzie kultury, działacze, dziennikarze itd. musieliby z niej wyjechać jak carska emigracja po zwycięstwie komunistycznej rewolucji. Czy jak polska Wielka Emigracja po powstaniu listopadowym.

Mogli też walczyć – i to wybrali. Również nie będąc pewnymi efektywności zachodniej pomocy i również nie wiedząc, czy – jako naród – nie ryzykują, podejmując walkę, czegoś o wiele gorszego niż to, co mogłoby ich spotkać, gdyby się poddali. Nie mieli kryształowej kuli, choć straszny los ukraińskich elit intelektualnych i kulturalnych był raczej przesądzony już nawet na podstawie doniesień CIA jeszcze przed wojną.

Ale Zachód im pomógł, a rosyjska armia okazała się armią, która bardziej sama siebie wyobrażała jako potęgę, niż nią była. Tak to jest, gdy wierzy się we własną propagandę. Tak to jest, gdy tworzy się państwo od góry, a nie od dołu, i dla tych z góry, a nie dla tych z dołu. Bo wystarczyło trochę pragmatyzmu i trzeźwej oceny sytuacji ze strony zachodnich sojuszników, którzy nie żyją w światach „lepszycy”, bo wyobrażonych, tylko realizują, jak się da, te lepsze światy dla tych, którzy żyją tu i teraz. I skończyło się to absolutnym pogromem tego wojska, które poszło na trudną wojnę mniej więcej w ten sposób, w jaki członkowie sekty opętani przez psychopatycznego, lecz charyzmatycznego guru idą na samobójstwo.

Skończyło się to wszystko zupełnie przeciwnie, niż chciał Putin: chaotyczną mobilizacją w Rosji, bezduszną pacyfikacją rozwścieczonych i rozpaczonych ludzi próbujących tę mobilizację powstrzymać, pakowaniem mięsa armatniego do nor bez podstawowych sprzętów takich jak na przykład łózko, wyposażaniem ich w strupiałą broń sprzed eonów. Nie wspominając o przeciwności swojej polityki wobec Ukrainy, która w wyniku rosyjskiego ataku okrzepla, a nie osłabła, i NATO, które miało być „zdegenerowane i zepsute”, a okazało się potężne i wyjdzie z całej tej awantury rozszerzone. Przeciwność to zresztą charakterystyczna cecha tego typu reżimów, które wstając z kolan głupio, niedojrzale, konfliktowo i teoretycznie osłabiają swoją międzynarodową pozycję, a nie wzmacniają.

Powstanie, cóż, też okazało się przeciwskuteczne. A Stalin okazał się lepszym strategiem niż Putin. I zapewne bardziej bezwzględny. Ale trudno było się spodziewać, że Stalin – aliancki w końcu przywódca, współdecydujący w Jalcie o przyszłych losach świata – zrobi coś tak podłego jak zatrzymanie frontu i patrzeć, jak wrogowie także jego kraju mordują obywateli sprzymierzonego państwa i zrównują z ziemią jego stolicę. Jak również i tego, że zachodni sojusznicy nie będą w stanie go przed tym powstrzymać.

Owszem, można mówić, że powstrzymywała ich wszystkich od tego kontrskuteczna, bo niezmiennie konfliktowa, nieustępliwa i niepotrafiąca znaleźć choć minimum porozumienia z kimkolwiek polityka ówczesnego przywództwa Polski na uchodźstwie. Mało kto o tym w Polsce mówi, ale choć polski żołnierz był niejednokrotnie dla sojuszników zbawieniem i balsamem, to polski uchodźczy rząd wręcz przeciwnie: nie pozwalał przejść do kolejnych etapów planowania bez uwzględ-

USA grają na osłabienie Chin, Ukraina na dołączenie do Zachodu, a w co gra pisowska Polska?

nienia swoich – nierzadko nierealistycznych, a czasem zwyczajnie niesprawiedliwych (jak „nienaruszalna” granica ryska) – żądań. Nie, w żaden sposób nie usprawiedliwia to ani Stalina, ani tych, którzy nie umieli go zmusić do działania. Ale daje do myślenia na temat skutków głupich i kontrskutecznych decyzji. Dość powiedzieć, że mieliśmy, na przykład, szanse na Lwów kosztem dobrowolnej rezygnacji z części „ryskich” terytoriów na wschodzie, tzw. Kresach. Chcieliśmy jednak wszystko. A nie mając w ręku żadnych kart – nie dostaliśmy za linią Curzona nic. I trzeba naprawdę się cieszyć, że naddano nam chociaż poniemieckie ziemie na zachodzie kraju, żebyśmy nie stracili również, razem z Kresami, statusu dużego europejskiego kraju, jak to się stało na przykład z Węgrami po traktacie w Trianon.

Dziś cała ta wojna także uruchomiła odwieczną grę interesów. USA i Wielka Brytania grają na osłabienie

partnera Chin w przyszłej rozgrywce między Zachodem a Pekinem: takie dwa nowe, a silne „państwa centralne”, oparte plecy w plecy, mogłyby mocno namieszać na świecie. A Rosja sama wyskoczyła pierwsza i bardzo możliwe, że zostanie bęcki, jakich się nie spodziewała, i na jakiś czas odechce jej się wojaczki. Ukraina, wiadomo, gra na dołączenie do Zachodu. Jak będzie z Unią Europejską i NATO – nie wiadomo, ale to właśnie za możliwość uczestniczenia w tych dwóch jednoczących Zachód, demokratycznych blokach Ukraińcy giną w walce z Rosją.

A w co gra pisowska Polska? Owszem, również na osłabienie Rosji: wysyła Ukraińcom uzbrojenie, przykmuje uchodźców. Ale jednocześnie – razem z sojusznikami albo formalnymi czy nie poplecznikami Rosji i zwolennikami ustroju w niej panującego, jakimi są Orbán czy Marine Le Pen, dawniej Salvini, a dziś Giorgia Meloni – bije także w Unię Europejską. Klóćąc się z nią o możliwość dalszego upartyjniania państwa i autokratyzacji jego polityki, nawet w imię braku uczestnictwa w wielkich – i potrzebnych Polsce – programach finansowych. Na co więc gra PiS? Jak to często PiS, ambitnie, ale bez sensu i bez przemyślenia, na zajęcie miejsca Rosji po jej takim czy innym upadku, na który liczy. Na stanie się stróżem porządku w tej części świata, dotowanym przez Stany Zjednoczone, a najlepiej polityków typu Trumpa. Czy innych, którym nie przeszkadzają autorytaryzm i degradacja demokracji. Najlepiej – z byłymi sojusznikami Rosji, o których już wspominałem. I najlepiej – bez Unii Europejskiej, której akurat autorytaryzm i degradacja demokracji przeszkadzają. ●

Ziemowit Szczerek



By nie zapomnieć.
78. rocznica wybuchu
Powstania Warszawskiego

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl
wysokieobcasy.pl
ODESZLI.pl

PARTNERZY





Gniew kobiet w Iranie

Nie podobają się wam nasze włosy? TO JE ZETNIEMY!

Dla ich rodziców czy dziadków rewolucja islamska to był zwrot ku tożsamości, odzyskanie poczucia godności i sprawczości we własnym kraju. Dla nich to już tylko zwrot w odpychającą przeszłość.

Z DR. **MATEUSZEM KŁAGISZEM**, IRANISTĄ Z UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO, ROZMAWIA **ŁUKASZ GRZYMISŁAWSKI**

Dlaczego tak gwałtowny sprzeciw Iranek* wybuchł akurat teraz, skoro Straż-

nicy Rewolucji działają równie brutalnie od wielu lat?

– Ponieważ doszło do skumulowania wielu czynników. Najczęściej powtarzany powód: Irańczycy nie mają właściwie już nic do stracenia. Sytuacja gospodarcza jest fatalna, korupcja wszechobecna, a zarazem od pewnego czasu jesteśmy świadkami kolejnego przykręcania śruby w różnych dziedzinach, nie tylko obyczajowych – właściwie w każdym aspekcie życia Irańczycy są poddawani surowej kontroli.

Iran to dziś beczka prochu.

Protestujące krzyczą w twarz funkcjonariuszom: „Kobiety, życie, wolność”, ale także: „Śmierć dyktatorowi”. Kogo mają na myśli: ajatollaha Alego Chameneiego, prezydenta Ebrahima Raisiego? Jaka jest właściwie struktura władzy w Iranie, kto i o czym ostatecznie decyduje?

– Hasło „Śmierć dyktatorowi” pojawiała się już nieśmiało w 2009 r., podczas pro-

testów przeciwko sfalszowaniu wyborów prezydenckich. Wtedy było interpretowane jako wymierzone przeciwko najwyższemu przywódcy Alemu Chameneiemu, bo to jest postać najbardziej decyzyjna w całym irańskim systemie. Ten system jest czteroelementowy: nad klasycznym trójpodziałem władzy nabudowana jest jeszcze władza religijna, reprezentowana przez duchowieństwo szyickie. Ale dziś to hasło można już rozszerzyć na cały establishment, który jest powszechnie postrzegany jako nastawiony na zaspokajanie własnych potrzeb.

Zdaniem wielu obserwatorów zamieszki rozejdą się po kościach, jak wiele poprzednich. Duchowny na wygnaniu i były aparatczyk Yaser Mirdamadi powiedział „The Economist”, że reżimowi wystarczy pół miliona lojalnych funkcjonariuszy, by nadal skutecznie kontrolować 84 miliony ludzi.

– Od początku protestów widzimy, że władze podchodzą do nich poważnie, z użyciem nie tylko gazu łzawiącego czy amunicji wodnych, ale i ostrej amunicji oraz masowych aresztowań jako elementu zastraszenia. To znaczy, że chcą te protesty jak najszybciej zdusić. Ale wydaje się, że protestujący przekroczyli pewną psychologiczną granicę, barierę strachu przed represjami, i są zdeterminowani walczyć, na różne sposoby, tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

W ubiegły czwartek prezydent Raisi miał udzielić wywiadu CNN, jednak zażyczył sobie, aby słynna dziennikarka Christiane Amanpour założyła hidżab. Amanpour, urodzona zresztą w Teheranie, odmówiła: „Tu jest Nowy Jork”. Z kolei w Teheranie mnożą się petycje z żądaniem rozwiązania policji obyczajowej, bo nawet konserwatyści nie od dziś mówią, że wymuszanie noszenia

FOT. CORBIS VIA GETTY IMAGES



hidżabu niszczy wizerunek islamu. Pewien wpływowy kleryk ze świętego miasta Kom przekonuje, że „strategicznym błędem jest rozwiązywanie kwestii religii i kultury z pomocą środków bezpieczeństwa”. Czy jest do pomyślenia liberalny islam szyicki w Iranie?

– Hidżab, czyli wiele zasad normujących ubiór, jest jednym z ideologicznych fundamentów republiki islamskiej, to symbol powrotu świeckiego przez dekady państwa do tradycji muzułmańskich. Można wręcz powiedzieć, że władze w Iranie utożsamiają zasłonę z republiką islamską, uważając, że zniesienie obowiązku zasłaniania włosów przez kobiety oznacza jej definitywny koniec. To może się wydawać absurdałne, ale już mniej, gdy ma się w pamięci pierwsze masowe protesty przeciwko obowiązkowej zasłonie, jakie odbywały się już w 1979 r. – mimo entuzjazmu po ucieczce szacha i przejęciu władzy przez ajatollahów.

Czy szyicki islam liberalny w Iranie jest możliwy? Jak najbardziej. Pytanie tylko, jakie muszą wystąpić warunki, by taki nurt zajął pozycję dominującą. Islam z powodu braku centralnego ośrodka doktrynalnego był, jest i będzie w dużym stopniu areną wymiany myśli i poglądów. I nigdy wszyscy duchowni nie będą zgodzali się z oficjalną linią państwową.

Skoro istnieje liberalny nurt w irańskim islamie, to czy ma jakąś reprezentację polityczną?
– Owszem, to duchowni, teolodzy przede wszystkim w dwóch najważniejszych ośrodkach: w Mieszhedzie i Komie. Ale

wszelkie nieortodoksyjne albo rozbieżne z linią polityczną najwyższego przywódcy opinie nie są respektowane, a tolerowane tylko ledwo – liberalniejsi duchowni są intensywnie zachęcani do powściągliwości w wyrażaniu opinii. Niektórzy są objęci aresztami domowymi, a ich wystąpienia cenzurowane. To spotkało niezującego już ajatollaha Hosejna Alego Montazeriego, którego drogi z Chomejnim rozeszły się pod koniec lat 80., a potem został jednym z ostrzejszych krytyków systemu.

W środku jakich geopolitycznych rozgrywek władze dopadł ten protest? Teheran grzmi, że zamieszki inspirowała Arabii Saudyjskiej. Kto jest zainteresowany najbardziej destabilizacją reżimu ajatollahów?

– Iran od kilku lat jest coraz bardziej izolowany gospodarczo, a teraz dodatkowo boryka się z kłopotami geopolitycznymi. Rozgrywki irańsko-saudyjskie się intensyfikują, ich arenami są wojna domowa w Jemenie, Syria czy Irak, ale trzeba też wspomnieć o toczących się w Wiedniu negocjacjach dotyczących powrotu do porozumienia między Iranem a UE, USA, Rosją czy Chinami. Dotyczy ono zewnętrznej kontroli nad irańskim programem nuklearnym w zamian za zniesienie części sankcji.

Ten układ wszedł w życie na początku prezydentury Hasana Rouhaniego, co było jego dużym sukcesem. Ale po dojściu do władzy Trumpa Ameryka się wycofała – i to był gwóźdź do trumny irańskiego zrywu gospodarczego sprzed kilku lat i jeden z powodów, dla których do władzy powrócili konserwatyści, pod hasłami emancypacji i uniezależnienia się Iranu. Wygrali, przekonując, że Zachodowi nie można pod żadnym pozorem ufać.

Program nuklearny ma dla Teheranu wymiar ideologiczny, ponieważ jego powodzenie oznacza sukces związany z bezpieczeństwem narodowym i ekonomicznym, i to wbrew wszelkim przeszkodom.

Ale cena jest wysoka. Nawiazania do programu nuklearnego umieszczono nawet na banknocie o nominale 50 tysięcy riali. Gdy go wypuszczano po raz pierwszy w 2007 r., miał wartość około pięciu dolarów. Dzisiaj – około dolara. A mowa o oficjalnym przeliczniku, bo inflacja naprawdę zjada pensje i oszczędności – stąd protesty przeciw podwyżkom cen benzyny w 2019 r. czy mniejsze protesty nauczycieli sprzed kilku miesięcy.

Przewodniczący parlamentu Norwegii, urodzony w Teheranie Masud Gharahkhani, powiedział: „Gdyby moi rodzice nie podjęli decyzji o ucieczce w 1987 r., byłbym jednym z tych, którzy walczą na ulicach”. No właśnie, ale od rewolucji islamskiej pod koniec lat 70. w Iranie wyrosły już całe pokolenia nieznające innego porządku. Europa z kolei kojarzy Iran z egzotyczną, nieledwie średniowieczną teokracją. Ale pamiętam furorę, jaką zrobił kilkanaście lat temu wydany we Francji komiks „Persepolis” Marjane Satrapi, bo wynikało z niego czarno na białym, że indoeuropejcy Irańczycy mają mentalnościowo znacznie więcej wspólnego z Zachodem niż z islamskim światem arabskim. Co dziś mają w głowach młodzi Irańczycy, skąd biorą wiedzę o świecie i do czego aspirują?

– Nie pamiętają ani monarchii pahlawijskiej, ani zrywu rewolucyjnego z końca lat 70. To pokolenie, dla którego nawet krwawa wojna iracko-irańska z lat 80., jeden z fundamentów tożsamości republiki, to zamierzchła przeszłość. W ich oczach Iran to państwo skoncentrowane na kontrolowaniu obywateli zamiast na zaspokajaniu ich potrzeb czy choćby wspieraniu w tym. Często nie rozumieją idei, które legły u podstaw republiki islamskiej, a nawet jeśli rozumieją, to odrzucają, widząc w nich wyłącznie zwrot ku mitycznej przeszłości islamu, gdy wszystko jakoby świetnie funkcjonowało. Czyli postrzegają to inaczej niż pokolenie ich rodziców czy dziadków – dla

Protestujący przekroczyli pewną psychologiczną granicę, barierę strachu przed represjami, i są zdeterminowani walczyć tak długo, jak tylko będzie to możliwe

nich był to zwrot ku irańskiej tożsamości, odzyskanie narodowej godności i sprawczości we własnym kraju.

Dziś większość Irańczyków dostrzega, że efektem finalnym tego zwrotu jest system, w którym nie potrafią się odnaleźć, zwłaszcza jeśli mają dostęp – ograniczony i kontrolowany, ale jednak – do internetu, do mediów społecznościowych, które pokazują, że poza Iranem żyje się trochę inaczej. No i emigracja: wielu Irańczyków ma w rodzinie kogoś, kto mieszka poza krajem – o tym należy pamiętać, nawet jeśli diaspora nie ma bezpośredniego przełożenia na rzeczywistość polityczną w kraju.

Problemem jest nie tylko kwestia wolności osobistej czy intelektualnej, lecz także ekonomicznej – młodzi marzą o wyjeździe, ponieważ nie mogą realizować własnych pomysłów w swoim państwie. Muszą stale myśleć, jak zabezpieczyć podstawowe potrzeby bytowe, a państwo im w tym nie potrafi pomóc, zwykle wręcz przeszkadza. Narasta rozczarowanie ręcznie sterowaną gospodarką, a przede wszystkim tym, że postulatów rewolucji sprzed 40 lat nie udało się zrealizować. Mam na myśli hasła o solidarności społecznej, hasła wolnościowe, o równości ekonomicznej – to kwestie, które wiodły ludzi do zrywu w latach 70.

Ale, jak rozumiem, cały czas rezonują w tych kolejnych pokoleniach.

– Jak najbardziej. Gdy Irańczycy pod koniec lat 70. parli do wielkiej zmiany, żądali państwa uczciwego, które zadba o obywateli, zapewni im dobrobyt, zagwarantuje wolność na różnych płaszczyznach, czyli to, czego od monarchii pahlawijskiej nie otrzymali. Efekt jest taki jak w przypadku wielu rewolucji: zmieniły się elity, lecz nie przebudowano niesprawnych mechanizmów zarządzania i redystrybucji dóbr. Rewolucja islamska – choć tłumaczy się tym, że wrogi świat rzuca jej kłody pod nogi – nie spełniła nadziei Irańczyków i oni już nie chcą dawać jej kolejnej szansy. A władze są tego w pełni świadome.

Wiele autorytarnych reżimów od lat stawia na coraz bardziej szowinistyczny nacjonalizm w zarządzaniu wewnętrznym, tak jest w Rosji, a jeszcze bardziej w Chinach. Czy tą kartą grają także władze w Teheranie? Kogo zwykły Irańczyk uważa za wroga?

– Świecki nacjonalizm odgrywał w XX w. ważną rolę państwowotwórczą, był czynnikiem jednoczącym, natomiast po rewolucji dodatkowym filarem tożsamości irańskiej stała się religia, islam szyicki, więc liczne mniejszości etniczne, które teoretycznie mają zagwarantowanych w konstytucji wiele przywilejów, zostały zdegradowane

Europa kojarzy Iran z egzotyczną, średniowieczną teokracją, ale Irańczycy mają mentalnościowo znacznie więcej wspólnego z Zachodem niż z islamskim światem arabskim

do drugiej kategorii. Zresztą podobnie było za monarchii. To dotyczy Kurdów, Azerów czy Beludżów, sunnitów, chociaż to oni dominują w świecie muzułmańskim.

Iran jako państwo wieloetniczne od zawsze zastanawiał się, czy może pozwolić sobie na poszerzenie mniejszościom autonomii, nie politycznej, ale kulturowej. Na razie obowiązuje pełna centralizacja wokół etnosu perskiego.

Który stanowi około dwóch trzecich populacji.

– Społeczność perskojęzyczna dominuje i wokół tego języka i jego bogatej kultury buduje się irańską tożsamość, także państwową, sięgając prawie 2,5 tysiąca lat wstecz.

Ale czy ten model jest nadal atrakcyjny dla tej jednej trzeciej nieperskiej ludności Iranu? Czy oni są dobrze zintegrowani z tym państwem?

– Może być atrakcyjny, jeśli jest inkluzywny. Chociaż obecne protesty zaczęły się w irańskim Kurdystanie, na ulice wychodzą wszyscy, niezależnie od przynależności etnicznej. Widać to na przykładzie hasła: „Kobieta, życie, wolność”, którego źródeł należy szukać w kurdyjskich tradycjach polityczno-intelektualnych, a które zostało przełożone z kurdyjskiego na perski i zaadaptowane przez protestujących jako własne.

W latach 80., w czasie wojny z Irakiem, Irańczycy niezależnie od przynależności etnicznej czy religijnej przedstawiali siebie jako obywateli republiki i stawali do walki w jej obronie. Z nadzieją, że ta republika wreszcie uzna ich prawa do samostanowienia. Ale dziś Kurdowie czy Azerowie zaczynają mocniej podkreślać odrębność. To kolejna konsekwencja nieumiejętności władz w Teheranie reagowania na społeczne aspiracje na poziomie lokalnym.

Protesty – jeśli nie ten, to następny – sprawią, że ten skostniały reżim się wewnętrznie zreformuje?

– System polityczny w Iranie ewoluuje cały czas, co najmniej od śmierci Chomejniego w 1989 r. To proces równoległy do tego, co dzieje się na ulicy. Ale to ewolucja w stronę dyktatury wojskowej – zmilitaryzowane służby w postaci Sepahu czy bojówek Basidżów zaczynają odgrywać coraz większą rolę – politycznie i w gospodarce. Bo coraz więcej spółek państwowych jest kontrolowanych albo zarządzanych przez Sepah, albo w jakiś sposób z nim współpracuje.

Z Sepahem, czyli z...

– Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej, militarną, ale niezależną od armii formacją, która początkowo umacniała nowy porządek, a dziś jej zadaniem jest bezpieczeństwo wewnętrzne, czyli przede wszystkim ochrona zdobyczy rewolucyjnych. Ta organizacja od lat coraz mocniej wrasta w struktury ekonomiczne państwa i poprzez to kontroluje Iran.

Wielu uważa, że sprywatyzowany przez Strażników Rewolucji Iran ma już znamiona państwa mafijnego.

– Powiedziałbym, że to państwo w państwie, mające na celu ochronę interesów swoich elit. Iran ma nadal etykietę systemu teokratycznego, ale coraz więcej decyzji należy do przedstawicieli szeroko rozumianego aparatu militarnego. Dyktatura wojskowa powoli wyłania się w Iranie, i to będzie zupełnie nowa jakość.

Od lat system w Iranie działał sinusoidalnie: okresy przykręcania śruby, potem luzowania i ponownego przykręcania – poprzez cenzurę, ściślejszą kontrolę internetu, zastrzanie propagandy i grę resentymentami, a ostatnio pomysły powrotu do segregacji kobiet i mężczyzn w urzędach czy miejscach pracy. Ten ostatni przykład jest dowodem na niezrozumienie procesów społecznych i próbę zawracania rzeki kijem.

W ostatniej dekadzie sposób podejścia do protestów się zmienia. Przedtem działał mechanizm wyhamowywania w obrębie

samej władzy. Rozpoczęły się protesty, była chwila zastanowienia i dopiero zaczęły się działania tłumiące. Teraz od samego początku jesteśmy świadkami brutalnej pacyfikacji, co ma taki skutek, że następuje eskalacja. Zresztą jest ważna nowość: protesty rozlewają się z mniejszych ośrodków do większych, a nie na odwrót. Także dlatego, że kontrola bezpieczeństwa i egzekwowanie fatw są słabsze w mniejszych miastach.

I mężczyźni wychodzą w obronie kobiet, to też nowość.

– Ciekawe i wielopłaszczyznowe zjawisko. Społeczeństwo irańskie jest naprawdę młode, a dziewczęta i kobiety reprezentują jego dobrze wykształconą część. Mimo ogromnego potencjału, biorąc pod uwagę wszystkie obowiązujące je ograniczenia, mają pełne prawo czuć się obywatelami drugiej kategorii.

Pyta pan o zaangażowanie mężczyzn w protesty kobiet – poza potrzebą walki o pewną przestrzeń wolności osobistej to też kwestia kulturowa: tradycyjne skądinąd przekonanie, że mężczyźni mają obowiązek stawiać w obronie swoich sióstr, matek, córek, żon, bo są odpowiedzialni za ich los.

Ale kobiety są już aktywnymi, niezależnymi uczestniczkami, inspirują i same się angażują. Ich symboliczne, publiczne obcinanie włosów ma dwójakie znaczenie. Po pierwsze, odwołuje się do starego zwyczaju gisu-boran, obcinania włosów nad grobem zmarłego, jako wyraz rozpacz po stracie kogoś bliskiego. Po drugie, i taką interpretację wzmacnia fakt, że włosy czasami obcinają także mężczyźni – należy ten gest rozumieć jako potrzebę odcięcia tego, co stanowi źródło kłopotów. Nie podobają się wam nasze włosy? No to je zetniemy.

Dochodzą kwestie ekonomiczne. Społeczeństwo coraz dotkliwiej odczuwa dysproporcje między klasami uprzywilejowa-

nymi i całą resztą, która wiele traci, nie tylko przez sankcje, ale w ogóle na zamkniętym charakterze systemu politycznego.

Nawet rząd zdaje sobie sprawę z problemu, jakim jest wysokie bezrobocie. Jedną z cech irańskiego rynku pracy i interwencjonizmu państwa jest ukrywanie bezrobocia poprzez rozrost aparatu administracyjnego. Ale dziś nawet dobre wykształcenie nie gwarantuje sukcesu zawodowego, więc kto może sobie na to pozwolić, stara się emigrować – drenaż mózgów to kolejny poważny problem reżimu.

I jeszcze jedno, ludzie pamiętający rewolucję islamską z 1979 r. często mi opowiadają, że do pewnego momentu istniał

***Społeczeństwo irańskie
jest naprawdę młode,
a dziewczęta i kobiety
reprezentują jego dobrze
wykształconą część***

wyraźny strach przed dawnym reżimem, aż w pewnym momencie on został przekroczony i wydarzeń nie dało się już powstrzymać. Nie wiem, czy Irańczycy teraz już przekroczyli i tę barierę, natomiast wyraźnie widać, że ewolucja systemu politycznego i ewolucja społeczeństwa mają dwa różne wektory. Telewizja pokazuje więcej poparcia dla władz, a potem oglądamy filmiki przesyłane przez Irańczyków z tych „wieców poparcia” i okazuje się, że to drobne, sztucznie kreowane spędy. Wytarte slogany propagandy, jak „Śmierć Ameryce”, nie mają już tej nośności, co jeszcze 20 lat temu.

Natomiast fascynujące jest to, że protestujący powielają pewne wzorce z koń-

ca lat 70., kiedy Irańczycy wieczorami wychodzili na dachy domów i krzyczeli „Allah akbar”, czyli „Bóg jest najwyższy”. Teraz po zmroku krzyczą z dachów domów: „Marg bar diktator”, czyli „śmierć dyktatorowi” – a to parafraza hasła z końca lat 70., „Marg bar szach”, czyli „śmierć szachowi”, Mohammadowi Rezie Pahlawiemu.

Wspomniał pan o ostrym kryzysie, m.in. wskutek szczelnych zachodnich sankcji. Kto jest dzisiaj głównym partnerem handlowym i politycznym Iranu?

– Chiny, do tego Indie, Turcja. Ale mający największy potencjał Pekin jest zainteresowany punktowymi, pragmatycznymi inwestycjami w sektor naftowy czy logistykę, nie ma mowy o niezbędnym dla Teheranu transferze know-how. To właśnie dlatego Teheran wciąż próbuje negocjować względne zbliżenie z Unią Europejską, bo to jednak ten kierunek, z którego może przyjść stymulacja irańskiej gospodarki do rozwoju.

A Rosja? Putin już dwukrotnie od początku inwazji na Ukrainę spotykał się z prezydentem Iranu. Analitycy uważają, że Moskwa chce się uczyć od Teheranu, jak obchodzić sankcje. Lista sztuczek Irańczyków jest długa, np. tankowce na pełnym morzu wyłączają sygnały lokalizacyjne i wtedy ropa jest przeładowywana na inny statek. Jak pisze „The Wall Street Journal”, liczba takich rosyjskich „statków widm” potroiliła się od początku wojny.

– Ale jest jeszcze lepsza opcja dla Rosji: jeśli Iran dogada się z Zachodem w sprawie programu nuklearnego, embargo na jego ropę zostanie zniesione. Wtedy mógłby importować przez Morze Kaspijskie rosyjską ropę i wykorzystywać ją na własne potrzeby – a w zamian eksportować takie same ilości surowca ze swoich złóż, już nieobjętego sankcjami. ●

*Od dwóch tygodni Irańczycy wychodzą na ulice w niemal całym kraju, by zaprotestować przeciwko brutalności i bezkarności irańskiej policji obyczajowej. Iskrą, która rozpałała największe od 2019 r. protesty, była śmierć Mahsy Amini. Ta 22-letnia Kurdijka została zatrzymana podczas wizyty w Teheranie 13 września, bo miała odsłonięte włosy i obciste spodnie, a irańskie prawo za brak hidżabu, za zbyt luźno zawiązaną chustę albo zbyt mocny makijaż przewiduje karę grzywny, więzienia bądź chłosty. Mahsa została wywieziona na posterunek, gdzie miała przejść obowiązkowy przyspieszony kurs zasad ubierania się. Według policji, kiedy czekała na te przymusowe nauki, straciła przytomność, zapadła w śpiączkę, a 16 września zmarła. Zdaniem krewnych – wskutek pobicia.

Wieść wywołała falę gniewu. Kobiety publicznie palą hidżaby, zamieszki pochłonięty już co najmniej 76 ofiar. Przerwy w dostępie do internetu opóźniają napływ informacji z prowincji i utrudniają ich potwierdzenie, bo jak zwykle w tak gorących momentach władze zablokowały serwisy społecznościowe, od WhatsAppa, Skype’a po TikTok i Telegram. Wiadomo jednak, że giną nie tylko protestujący, ale też funkcjonariusze sił bezpieczeństwa.



Rozmowa odbyła się w ramach podcastu 8:10

Nike

Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

Kto zostanie
26. laureatem
Nagrody
Literackiej
„Nike” 2022?



UROCZYSTA GALA
na wyborcza.pl

NIEDZIELA
2 października,
godz. 20

TEGOROCZNI NOMINOWANI:
Anna Cieplak, Artur Domosławski,
Jerzy Jarniewicz, Joanna Ostrowska,
Edward Pasewicz, Maciej Płaza, Kacper Poblöcki

(HO)SANNA MARIN

Zazdroszczę Finom premierki

Bo ludzie ponurzy w życiu prywatnym są niebezpieczni w życiu publicznym.

Przemysław Urbańczyk*

Upłynęło już trochę czasu od wybuchu „afery” polityczno-etycznej, którą sprowokowała w prawicowych kręgach fińska premierka, ale warto poświęcić jej chwilę. Sanna Marin pokazała bowiem, że Finlandią rządzi nie manekin, lecz człowiek (niestety, ten rzeczownik nie ma jeszcze formy żeńskiej) z krwi i kości. Szefowa rządu tańczy, śpiewa i wygłupia się w młodzieżowym tłumie, więc ponuracy w szaroburych garniturach oburzyli się gremialnie i pryncypialnie.

Tak niedawno napisałem („Wyborcza” z 25 maja), że Polacy powinni wziąć przykład z większości naszych sąsiadów i zacząć głosować na młode kobiety, które urządzą nas dużo nowocześniejszą i dynamiczniejszą niż zaskorupiałą niemożnością, która obsiadła najważniejsze stanowiska w kraju nad Wisłą. Finlandia pod rządami Marin jest tego dobrym przykładem. Przeszła niemal bezboleśnie przez pandemię i podjęła najodważniejszą decyzję w swojej współczesnej historii, porzucając politykę „finlandyzacji”, wypielegnowaną ongiś przez Urho Kekkona i upudrowaną przez Mauno Koivista.

Gdyby ta energetyzująca premierka wraz ze swoimi równie młodymi ministerkami przyleciały do Polski, to strach pomyśleć, jak wyglądałoby wspólne zdjęcie. Zróbcie sobie taki montaż w komputerze.

Aliści, chociaż nie mamy atutów wizualnych, to przecież mamy jednak mocnych kart do wyłożenia w rozgrywce na rzadkie umiejętności. Mamy przecież niedościgniętego stand-upera – mistrza autolaudacji i konfabulacji. Mamy pociesznych w swojej rozbijającej nieporadności ministrów. Mamy wreszcie niezwykle muzycznego prezesa, który umiejętnie gra na Dudach, i to na dwóch naraz, choć ostatnio coś mu podfałszowuje – „Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli?”.

Wolę szalejącą na parkiecie premierkę od polityka, który knuje w ponurym osamotnieniu usprawiedliwianym poczuciem swojej nadwyższości. Wolę elegancję polityczki od brzuchatych polityków. Wolę ludzi, którzy mają choćby krótkie, ale konkretne doświadczenie życiowe i zawodowe, od takich, którzy uciekli w politykę, bo niczego innego nie potrafili. Wolę idących na przód bez ciągłego oglądania się na utraczoną przeszłość. Wolę niefrasobliwą naturalność od napuszonej powagi.

Ktoś, kto nie potrafi się zabawić w odpowiednich okolicznościach, jest dla mnie społecznie podejrzany. Pamiętam młodość, kiedy człowiek mógł sobie bezkarnie poszaleć, a nawet „pogwajdzić” i „pokierdasić”. A i dzisiaj, mimo profesorskiej togi, w przyjacielskim gronie chętnie wezmę udział w zakrapianych wygłupach, co jest doskonałym sposobem odstressowania się od zmagania z codzienną bieżączką i odreagowania widoku naszych polityków.

Zazdroszczę Finom pełnej energii i humoru premierki, bo ludzie ponurzy w życiu prywatnym są niebezpieczni w życiu publicznym. ●

*Przemysław Urbańczyk – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów

Skuteczniejsze niż pałowanie

Wyłączenie internetu to wyłącznie krwiobiegu protestu.

Rafał Pikuła, Wyborcza.biz

Arabskiej wiosnie mówiło się, że to pierwsza rewolucja, w której nowe technologie i nowe media odegrały tak wielką rolę. Rozkręcające się dopiero media społecznościowe i pierwsze smartfony były narzędziami buntu i motorami działań jednocześnie. To właśnie szybka komunikacja sprawiła, że rewolucja, która zaczęła się od samospalenia 26-letniego Mohameda Bouaziziego w tunezyjskim mieście Sidi Bu Zajd, rozlała się na cały region.

Teraz smartfony są orężem Iranek. Poprzez komunikatory i media społecznościowe zwołują się na protesty i organizują samoobronę. Nic dziwnego, że reżim ajatollahów już kilkadziesiąt godzin po wybuchu protestów ograniczył dostęp do internetu. Pojawiły się doniesienia, że władze zablokowały Facebooka, Instagrama, WhatsAppa i Vibera (przez te dwie ostatnie aplikacje wysłano najwięcej filmików i zdjęć dokumentujących brutalność policji).

W rzeczywistości Facebook i Instagram są zablokowane w Iranie od dawna. Co oczywiście nie oznacza, że Irańczycy z nich nie korzystają. Aplikacje VPN – umożliwiające ukrywanie adresu IP i obchodzenie ograniczeń – są na niemal każdym smartfonie w Iranie. W praktyce ograniczenie dostępu do Google’a, Facebooka i innych „szatańskich” usług (jak je określił duchowy przywódca Iranu Ali Chamenei) nie działa.

Będąc w Iranie w 2015 r., korzystałem z zachodnich mediów społecznościowych bez większych ograniczeń. O ile miałem dostęp do sieci. Publiczne wi-fi w hotelach i restauracjach są bardzo słabe, ale to bez znaczenia – sami Irańczycy z nich nie korzystają, w obawie przed kontrolą rządu. Powszechnie jest używanie danych komórkowych.

Za każdym razem, gdy wybuchały protesty, władza robi więc to samo: blokuje internet i dostęp do sieci telefonii komórkowej. To sprawdzona praktyka, realizowana od czasu protestów zwanych jako „dzień wściekłości” z 2011 r. W 2019 r., gdy krajem wstrząsnęły tzw. protesty paliwowe, irańskie władze odcięły internet na tydzień.

Obecnie internet jest odcięty bądź ograniczony w Teheranie i innych miastach, gdzie trwają największe protesty, takich jak Isfahan czy Kom.

Strategia „na wyłączenie” to nie tylko specjalność irańska rzecz jasna. Do podobnych działań posunęły się w ostatnim czasie władze Białorusi (2020) czy Libanu (2019). Mjanma (dawniej Birma) to kraj, który w 2022 r. wyłączał internet przez najdłuższy czas. Prawie 3800 godzin nie działała sieć w stanie Czin na granicy z Bangladeszem.

Od kilku lat mówi się, że Iran ma zbudować własny internet. To samo mówiło się o Rosji. I oczywiście w obu przypadkach to nieprawda. Stworzenie „własnego, wewnętrznego” internetu to przedsięwzięcie kosmicznie drogie i trudne, wymagające budowy całej infrastruktury. Dlatego też putinowska Rosja raczej cenzuruje sieć, niż buduje ją na nowo. Podobnie Iran. Włączenie blokad jest łatwiejsze niż tworzenie całego szkieletu sieci od nowa.

Jeszcze nie wiadomo, ile kosztuje Teheran blokada sieci, ale przykład Rosji pokazuje, że to spore wydatki. Kreml cenzura kosztowała już ponad miliard dolarów.

Paradoksalnie jest w tym nadzieja dla Irańczyków czy Rosjan. Ograniczenia można ominąć. W Rosji Roskomnadzor swoje, lud swoje. Władze blokują kolejne VPN-y, ale na ich miejsce pojawiają się kolejne.

W krajach autorytarnych internet stał się narzędziem uprawiania polityki wewnętrznej. Dostęp do sieci i zgoda na jej swobodne użytkowanie to sposób dyscyplinowania obywateli i kategoryzowania ich.

W Iranie pełnią praw cyfrowych cieszą się uprzywilejowani obywatele, często powiązani politycznie bądź biznesowo z reżimem ajatollahów. Dzieci przywódców i polityków nie tylko mogą bez ograniczeń surfować po sieci, ale również publikować, co im się podoba.

W krajach autorytarnych dostęp do sieci i zgoda na jej swobodne użytkowanie to sposób dyscyplinowania i kategoryzowania obywateli

Zdjęcia dzieci teherańskiej elity, ich rezydencji, sportowych samochodów i designerskich zegarków kilka lat temu zyskały ogromną popularność. Hasztag #richkidsfteheran (bogate dzieci Teheranu) doczekał się własnego konta.

Dziś pojawiają się na nim nieśmiałe głosy wsparcia dla protestujących, ale jeszcze do niedawna były tam wyłącznie zdjęcia bogatych kobiet, które prezentują się na swoich prywatnych posesjach bez burek. A także zdjęcia w bikini i z zakazanym alkoholem.

To, co bogate dzieciaki „nietykalnych” ojców umieszczają publicznie, mniej uprzywilejowani młodzi ludzie robią na zamkniętych grupach i forach.

W smartfonach jest życie, za którym tęsknią, do którego dążą miliony młodych z Teheranu, Komu, Jazdu i innych miast Iranu. Jakkolwiek banalnie to brzmi, to właśnie sieć jest miejscem, gdzie wiele Iranek i Irańczyków może sobie być sobą.

Udało mi się trafić na domówkę młodych Irańczyków nie z uprzywilejowanej kasty. Dziewczyny wchodziły do mieszkania zasłonięte chustami, znikwały w pokoju, by za chwilę wyjść ubrane w topy i spódniczki. Po imprezie znów zakładały zakrywające wszystko ciuchy i pojedynczo wychodziły z mieszkania. Na pożegnanie poproszono mnie, żebym nie publikował zdjęć.

W Europie dyskutuje się o tym, że prawo do internetu powinno być prawem człowieka. W Finlandii każdy obywatel ma ustawowo zagwarantowany dostęp do sieci. Tymczasem w wielu krajach świata sieć pełna jest cenzury. Nierzadko w „wycinaniu” internetu biorą udział wielkie firmy technologiczne, które na sztandarach mają „wolność”, „niezależność” i „demokrację”.

W Iranie obserwujemy kolejną odsłonę hipokryzji koncernu Meta. Właściciel Facebooka i Instagrama masowo usuwa posty z materiałami dotyczącymi protestów i te oznaczone hasztagami #MahsaAmini #IranProtest. Również posty publikowane poza Iranem, np. w Izraelu czy w USA.

Andy Stone, rzecznik Mety, mówi, że firma „nie zakłóca celowo dostępu do platform ani nie blokuje hasztagów związanych z protestami”. Faktycznie mało prawdopodobne, żeby blokowanie postów wynikało ze złej woli lub umowy z reżimem irańskim.

Raczej to wynik ignorancji (czyli oszczędności firmy): język perski nie jest kluczowym dla moderatorów. Bardzo prawdopodobne, że moderatorzy usuwają posty, sugerując się załączonymi obrazami, które przedstawiają przemoc (np. pałowanie kobiet). Nie znają perskiego, a że mają do wyrobienia normę (kilkaset postów zgłoszonych dziennie), blokują je z automatu. Podobnie było w przypadku Mjanmy – gdzie weryfikacją zgłoszeń zajmowali się nisko opłacani moderatorzy z Filipin – czy buntu w Azerbejdżanie.

Niemniej rządy od zawsze wykorzystywały technologię. W Iranie odcina się sieć, w Polsce próbuje zmuszać do instalowania rządowych aplikacji, a w Stanach na masową skalę handluje się profilami wyborców. To sytuacja win-win. Zyskują rządy, zyskuje biznes. Wiadomo, kto traci.

Wyjątkiem może okazać się Elon Musk, który zapowiedział, że chce poprzez satelitarne systemy Starlink umożliwić łączność internetu w Iranie, nawet gdy władze odłączą sieć.

„Przed erą internetu władze autorytarne do pewnego stopnia tolerowały protesty, aktywizm i krytykę, ponieważ były dla nich źródłem cennych informacji, jak odbierają ją obywatele. Dziś, gdy tego rodzaju informacje mogą być szybko przekazywane, przetwarzane i monitorowane za pośrednictwem oficjalnych kanałów, rząd jest bardziej skłonny, by karać obywateli za wyrażanie innego zdania” – zauważył w tekście „The Microfoundations of Authoritarian Responsiveness” Christian Göbel, profesor sinologii na Uniwersytecie w Wiedniu.

Dziś władze w Iranie, Chinach, Rosji, a wkrótce może i w Polsce, nie będą zezwalały na protesty i inne „wentyle wolności”. Nie będą musieli „badać” opinii społeczeństwa, bo tę opinię znają, zanim ktokolwiek wyjdzie na ulice. Wiedzą, że aby zapewnić sobie spokój, najlepiej wcześniej wyłączyć agorę XXI wieku – sieć. ●

FOT. LEO CORREA/AP



Popisowym wykładem Milтона Friedmana – noblisty, lidera chicagowskiej szkoły ekonomii, doradcy Reagana i Thatcher – była opowieść o ołówku. Powtarzał ją przy wielu okazjach, jeden z „ołówkowych” klipów dostępnych na YouTube zamyka się w dwóch minutach i jest być może najbardziej błyskotliwym streszczeniem kapitalizmu. Nikt nie potrafił zrobić takiego ołówka – tłumaczy Friedman, obracając w palcach ołówek. Drzewo, z którego powstał, zostało ścięte w stanie Waszyngton. Żeby je ściąć, potrzebna była pila, żeby zrobić pilę, potrzebna była stal, żeby zrobić stal, potrzebna była ruda żelaza. Grafit pochodzi z kopalni w Ameryce Południowej. Kauczuk na gumkę z Malezji, dokąd drzewa kuczukowe sprowadzili biznesmeni z Ameryki Południowej z pomocą brytyjskiego rządu. Mosiężna obręczka, farba i klej użyte do produkcji ołówka też pochodzą z różnych miejsc planety. „Dosłownie tysiące ludzi współpracowało, żeby stworzyć ten ołówek. Nie mówią w tym samym języku, praktykują inne religie i być może zapaliliby wzajemną nienawiścią, gdyby się kiedyś spotkali”. Ale się nie znają. Co więcej: nikt nie kieruje procesem powstania ołówka. „Magiczny, bezosobowy mechanizm cenowy połączył tysiące ludzi, abyś ty mógł kupić ołówek za tak niską cenę”.

„Jak widać – kończy Friedman – procesy wolnego rynku są kluczowe nie tylko dla wydajności produkcji, ale przede wszystkim dla wspierania harmonii i pokoju między narodami świata”.

Pytany czasami o chciwość Friedman odpowiadał, że jest wpisana w naturę ludzką i w każdy system gospodarczy – tak samo komunistyczny, jak kapitalistyczny. Świat rozwija się dzięki jednostkom napędzanym potrzebą zysku.

Nadchodzące wybory w Brazylii przywodzą na myśl friedmanowski ołówek. Choć odbywają się daleko od nas, to za sprawą „magicznego, bezosobowego mechani-

TWÓJ BURGER WOŁOWY PODPALIŁ AMAZONIE

Te wybory są za oceanem, w dalekim, egzotycznym kraju, ale wpłyną na życie każdego z nas

Maciej Jarkowicz

zmu cenowego” łączą nas wszystkich, na całej planecie.

W najbliższą niedzielę, a później najprawdopodobniej w drugiej turze 30 października, o drugą kadencję zawalczą prezydent Jair Bolsona-

ro. Były wojskowy w randze kapitana karierę robił w czasach wojskowej dyktatury. Po jej upadku w głośnym wywiadzie krytykował cywilne władze, został oskarżony o planowanie zamachów bombowych. Choć w polityce jest od 1988 r., prezydenturę zdobył, przedstawiając się jako outsider. Obrońca

rodziny, przeciwnik aborcji i praw mniejszości seksualnych.

Jego kontrkandydatem jest Luiz Inácio Lula da Silva, były związkowiec, założyciel Partii Pracy, prezydent w latach 2003-11. Miliardy z gospodarczej koniunktury pompował w największe na planecie programy socjalne, wyciągając z ubóstwa 20 milionów ludzi. W 2017 r. oskarżony o pranie pieniędzy i korupcję odsiedział prawie dwa lata. Później oczyszczony z zarzutów. Oba procesy – ten, w którym został skazany, i ten, w którym go rehabilitowano – były pełne kontrowersji i motywowane politycznie.

Bolsonaro i Lula są na przeciwnych biegunach we wszystkich najważniejszych kwestiach – gospodarczych, społecznych i kulturowych, ale najgorętszym tematem kampanii stała się Amazonia.

Brazylijskie lasy deszczowe płoną w rekordowym tempie. Od 1 stycznia do 18 września satelity naliczyły 75 592 pożary, pół tysiąca więcej niż w całym ubiegłym roku, który też był jednym z najgorszych. W latach 2019-21 zniknęły prawie 34 tys. kilometrów kwadratowych brazylijskiej Amazonii, obszar większy od Belgii.

Odkąd Bolsonaro wziął władzę, wylesianie przyspieszyło o 75 proc. Prezydent jest zwolennikiem zagospodarowania chronionych dotąd terenów pod rolnictwo i pozyskiwanie surowców. Przemyśla oko na nielegalne wyręby, wypalanie, wydobywanie – drastycznie spadły statystyki naliczonych kar i konfiskat sprzętu. Zwierzchność nad obszarami lasu będącymi pod ochroną przejęło ministerstwo rolnictwa. Na czele resortu środowiska przez ponad dwa lata stał lo-bbysta branży rolnej Ricardo Salles (usunięty po oskarżeniach o udział w nielegalnym handlu drewnem). Bolsonaro zamroził 640 milionów dolarów z międzynarodowego funduszu ochrony Amazonii, nie chciał przyjąć od grupy G7 dodatkowych pieniędzy na walkę z pożarami. Zwolnił szefa agencji kosmicznej dostarczającej satelitarne dane o wylesianiu. Krytykę nazywa „ekologiczną psychozą”.

Lula – którego dorobek w kwestiach środowiska wcale nie jest jednoznaczny – usta-

wił siebie w kampanii jako obrońcę Amazonii. Sondaże pokazują, że 80 proc. społeczeństwa popiera ochronę lasu. Między innymi dzięki tej kwestii Lula ma przewagę w sondażach – na tydzień przed wyborami 17 punktów procentowych.

Amazoniński las deszczowy zajmuje 5,5 mln kilometrów kwadratowych, tyle ile połowa terytorium Europy, z czego 60 proc. leży na terenie Brazylii. To największy i najbogatszy wilgotny las liściasty na planecie, obejmujący 10 proc. występujących na ziemi gatunków flory i fauny. Jego globalne znaczenie – ujmując rzecz czysto technicznie, z pominięciem troski o zwierzęta i rośliny – polega na tym, że ze względu na swój rozmiar w stopniu większym niż inne ekosystemy wpływa na poziom gazów cieplarnianych w atmosferze. W procesie fotosyntezy Amazonia absorbuje ogromne ilości dwutlenku węgla (CO₂). Jednocześnie nieustannie gnicie tak potężnego lasu emituje CO₂ i metan.

Do niedawna bilans wychodził na plus – „oddychanie” Amazonii wiązało więcej gazów cieplarnianych, niż ich wydalało. Pożary obejmujące tysiące kilometrów kwadratowych drzewostanu zmieniają równowagę – płonąca Amazonia zaczyna truć, a nie czyścić powietrze. Co więcej, szybkie wylesianie przez wyręby i pożary, połączone z coraz dłuższymi i częstszymi okresami suszy, może doprowadzić do punktu, w którym las utraci zdolności odradzania się i błyskawicznie zacznie zamieniać się w sawannę tropikalną.

Biologzy za przykład podobnego zjawiska, choć w innym ekosystemie, podają przemianę milionów hektarów terenów Wielkich Równin w USA i Kanadzie z trawiastej prerii w pustynię. Intensywna eksploatacja i erozja gleb w ciągu zaledwie kilku lat osadnictwa w latach 20. ubiegłego wieku doprowadziła do zachwiania równowagi hydrologicznej na ogromnym obszarze. Zniknęły trawy oraz wiele gatunków roślin i zwierząt. Nadeszła era burz pyłowych. Niektóre chmury piachu były tak czarne, że człowiek nie widział wystawionej przed siebie dłoni. Masy pyłu zamieniały dzień w noc, gnały z prędkością stu kilometrów na godzinę przez wsie i miasta, od Teksasu do Kanady, pozostawiając spustoszenie na terytorium wielkości połowy Europy. Trwający dekadę kataklizm przegnał z regionu setki tysięcy ludzi, wielu doprowadzając do śmierci z powodu pylicy płuc.

Gdyby scenariusz z Wielkich Równin miał się powtórzyć w Amazonii, konsekwencje byłyby większe. Przeobrażenie lasu w sawannę poza wyginieciem tysięcy gatunków roślin i zwierząt wpłynęłoby na klimat na całej planecie. W USA sytuację pomógł opanować federalny program sadzenia lasów ochronnych – pasy drzew biegnące od Dakoty Północnej do Teksasu utrzymywały gleby powierzchniowe i pozwalały im się odradzać. W Brazylii ratunkiem jest zaprzestanie wypalania lasów deszczowych.

Tak jak nikt nie potrafi wyprodukować friedmanowskiego ołówka, tak nikt nie umie spalić Amazonii. Las zanika w wyniku „magicznego, bezosobowego mechanizmu cenowego”; podpała go niewidzialna ręka rynku. Nie wspiera to „harmonii i pokoju między narodami świata”, tylko przyspiesza katastrofę, która może pogrążyć nas wszystkich.

Amazonia wypalana jest głównie pod nowe pastwiska. W zależności od szacunków hodowla bydła odbywa się na 50-70 proc. wylesionych terenów. Brazylia jest największym eksporterem wołowiny na planecie, produkcja mięsa to istotny filar gospodarki. Na tym opierają się argumenty Bolsonaro: musimy otworzyć las dla rancherów, żeby budować dobrobyt.

Badanie, w którym prześledzono niezliczone łańcuchy handlowe obejmujące rzeźnię, zakłady produkcji mięsa, setki firm eksportowych i importowych, pokazało, że brazylijska wołowina trafia do 152 krajów świata. Największym importerem są Chiny, za

nimi USA. Tony wołowiny rocznie trafiają też do Unii Europejskiej, również do Polski. Państwa europejskie wprowadzają mechanizmy mające zapewnić, że mięso z Brazylii nie pochodzi z nielegalnych pastwisk w Amazonii, ale śledztwa organizacji pozarządowych wykazują, że system jest nieszczelny.

Co dzieje się na pozostałym wypalonym i wykarczowanym obszarze? Przede wszystkim uprawia się na nim soję.

Bogata w tłuszcz i białko, należąca – jak groch czy fasola – do grupy roślin strączkowych soja pochodzi z Chin i przez tysiące lat była podstawą diety w wielu krajach Azji. Do Europy i Ameryk dotarła w XVIII wieku, ale na większą skalę poza Azją zaczęto ją uprawiać dopiero po II wojnie. W latach 70. USA odpowiadały już za trzy czwarte światowej produkcji. Gdy w Stanach zaczęło brakować arealów, soja podbiła Amerykę Południową.

Brazylia jest dziś największym eksporterem. Soja, tak jak wołowina, współdecyduje o stanie tamtejszej gospodarki. Unia jest drugim po Chinach rynkiem zbytu. Nie oznacza to jednak, że ścigamy się z Chinami w jedzeniu tofu albo piciu sojowego mleka. Jedyne 6 proc. soi przeznacza się na produkcję żywności bezpośrednio dla ludzi. Dużo więcej wykorzystuje się na biopaliwa. A najczęściej – aż 80 proc. – idzie na wytworzenie pasz dla zwierząt. Soja – której światowe uprawy zajmują obszar Francji, Niemiec, Belgii i Holandii razem wziętych – jest potrzebna, żeby zaspokajać rosnący globalny apetyt na mięso.

Przeciętny Polak zjada dziś 75 kg mięsa rocznie. Do jego hodowli używa się pasz z udziałem amazońskiej soi.

Dzień przed śmiercią Marcos Veron powiedział do syna: „Jeśli jutro zginę, ty będziesz walczył dalej”. Veron był liderem ludu Guarani ze stanu Mato Grosso do Sul. Guarani przetrwali holokaust tubylczej ludności z początków kolonizacji, bo żyli głęboko w lesie. Dopiero w XX w., kiedy kolonizatorzy rozpoczęli marsz na niedostępne wcześniej tereny, aby uprawiać herbatę, kawę, trzcinę cukrową, palmy, soję i hodować bydło, padli ofiarą masowych przesiedleń i mordów.

Na odebrane im przez państwo tereny organizowali tzw. retomadas – wypadły, w czasie których symbolicznie odzyskiwali swoje ziemie. Rozstawiali obozy, odprawiali obrzędy. Sądy wydawały nakazy usunięcia Guarani, egzekwowali je strażnicy firm wydobywczych i farm, często z pomocą policji lub wojska. W 2003 r. Veron poprowadził 100-osobową retomadę na tereny farmy Brasília do Sul. Postawili obóz. Wkrótce na jechał na nich oddział ochroniarzy. Verona bili kolbą karabinu, aż otworzyła się czaszka. W stan oskarżenia postawiono trzech ludzi, wszyscy zostali uniewinnieni.

Na terenie brazylijskiej Amazonii żyją 173 ludy tubylcze. Ich prawa gwarantuje konstytucja z 1988 r. Uznała ona autonomię rdzennych narodów i zapowiadała demarkację ich ziem. Proces wyznaczania granic tych terenów jest skomplikowany i trwa do dziś. Statystyki pokazują, że na obszarach Amazonii kontrolowanych przez autochtonów wylesianie jest nieporównywalnie mniejsze. Wspólnoty tubylcze są jak drzewa posadzone na Wielkich Równinach USA – utrzymują ekosystem w zdrowiu. Ale utrudniają interesy.

Bolsonaro, zanim objął władzę, nazwał rdzenne ludy „zwierzętami w zoo”. W czasie swoich rządów – co jest ewenementem – nie wyznaczył ani jednej autochtonicznej linii demarkacyjnej, do czego zobowiązuje go konstytucja.

Veron stał się postacią ikoniczną, ale mordercy na rdzennych mieszkańcach trwają cały czas, a za czasów Bolsonaro jest ich więcej. Kilka tygodni temu w biały dzień na ulicy miasteczka w pobliżu chronionych ziem wspólnoty Guajajara w stanie Maranhão zastrzelony został Janildo Guajajara. Był członkiem Strażników Amazonii, grupy monitorującej nielegalne wyręby, podpalenia

i odkrywki. W okolicy trwa konflikt o drogę, którą – wedle Guajajara – firmy drzewne położyły nielegalnie na ich terenie. Janildo jest szóstym aktywistą Strażników zamordowanym w kilku ostatnich latach.

Farma Brasília do Sul, na której w 2003 zginął Marcos Veron, nadal istnieje i ma się dobrze. Kilka tygodni temu Earthsight – jedna z organizacji monitorujących wylesianie w Amazonii – dała raport o interesach, jakie prowadzi z korporacjami Cargill i Bunge. Soja z gospodarstwa transportowana jest bezpośrednio do ich przetwórní w miasteczkach oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów. W maju, Earthsight dokumentował nielegalne wylesianie, jakie stosuje farma, i opisywał przypadki przemocy wobec rdzennych społeczności, jakich dopuszczają się jej pracownicy.

Bardzo prawdopodobne, że piszący i czytający te słowa też – pośrednio – kupujemy soję od Brasília do Sul. Earthsight przesłał łańcuchy dostaw i ustalił, że surowiec z farmy trafił m.in. do pasz używanych przy produkcji drobiu, jaki sprzedają restauracje KFC albo supermarkety Aldi. Inny trop poprowadził do karmy dla psów i kotów dostępnej w sieciach Netto i Lidl.

Nawet jednak jeśli nie jemy kurczaków i nie mamy kota ani psa, na pewno jesteśmy klientami firmy Cargill.

Założona w 1865 r. w Iowa przez braci Cargillów urosła z jednego tartaku do największej spożywczej korporacji na planecie

Od 1 stycznia do 18 września satelity naliczyły 75592 pożarów w Amazonii. Pół tysiąca więcej niż w całym ubiegłym roku

i największego amerykańskiego biznesu pozostającego w prywatnych rękach (nienotowanego na giełdzie). Trudno znaleźć na globusie kraj, w którym nie działa Cargill.

Organizacja Mighty Earth prowadzona przez byłego kongresmana Henry’ego Waxmana – który przez 40 lat na Kapitolu dorobił się reputacji jednego z najbardziej pracowitych i rzetelnych parlamentarzystów – nazywa Cargill „najgorszą firmą świata”. Dokumenty ukazują m.in. wypuszczenie na rynek setek ton zatrutego mięsa, wykorzystywanie pracy dzieci i niewolników na plantacjach kakaowców, przedsięwzięcia prowadzące do skażenia wód, oszustwa podatkowe i dziesiątki innych przypadków w licznych krajach, w których Cargill działa na szkodę środowiska i ludzi. Najbardziej destrukcyjna – według Waxmana – jest polityka firmy w Amazonii. Cargill prowadzi tam ekspansywną strategię pozyskiwania soi od coraz to nowych dostawców.

Niemal dekadę temu szef korporacji David MacLennan odbył podróż do Brazylii i z lotu ptaka ujrzał dewastację, do jakiej przykłada rękę. Zadeklarował wówczas zmianę polityki. Wkrótce Cargill i kilka innych gigantów podpisały zobowiązanie o stopniowym wycofaniu się z kontraktów przyczyniających się do pożarów i wylesiania lasów deszczowych. Organizacje pozarządowe stawiały MacLennana za wzór innym prezesom. Szybko jednak okazało się, że Cargill dalej działa po swojemu. W ostatnich latach, aby kontynuować interesy z podmiotami takimi jak Brasília do Sul, powołuje się na politykę Bolsonaro. Przecież farma ma glejt od brazylijskiego rządu – mówi Cargill – a granice ziem ludu Guarani nie zostały oficjalnie wyznaczone.

Według danych Earthsight w ostatnich 8 latach Cargill dostarczył do krajów Unii prawie 14 milionów ton brazylijskiej soi. Ale

soja to tylko ułamek oferty firmy. Poza paszą dla zwierząt wytwarza tysiące produktów i oferuje niezliczone usługi: od czekolad i polew, alkoholi, tłuszczów, soli, mięs i wędlin, przez półprodukty kosmetyczne i farmaceutyczne, po zarządzanie ryzykiem, transportem lub pośrednictwem w handlu surowcami. Dla przykładu: w USA i Kanadzie Cargill jest dostawcą hamburgerów i nuggetsów dla McDonald’s. W Polsce firma działa od 1991 r., sukcesywnie przejmując konkurentów w branży pasz czy kurczaków, w 2019 kupił rodzimego drobiarskiego giganta – Konspol. Do niezliczonych marek obecnych na polskim rynku, którym produkty i usługi dostarcza Cargill, należą m.in.: McDonald’s, Burger King, KFC, Aldi, Danone, Lidl, Carrefour, Nestlé, Subway.

Wspólnie produkujemy tani ołówek i wspólnie wypalamy Amazonię, żeby wyprodukować tanie mięso ze zwierząt utuczonych na taniej soi. Friedman wolał przemilczać pułapki systemu konsumpcyjnego. Tymczasem „magiczny, bezosobowy mechanizm cenowy” może prowadzić do tragedii. Niezbędna była ingerencja sił pozarynkowych – społeczeństwa czy rządów. Przez pierwsze 15 lat XXI wieku dzięki międzynarodowej, obywatelskiej presji, za którą poszły decyzje polityczne na poziomie oenzetowskim i w samej Brazylii, tempo wypalania Amazonii udało się zmniejszyć o dwie trzecie. Później, w wyniku deregulacji, trend znów się odwrócił.

Lula zapowiada powrót do ochrony lasu.

Pośród 173 rdzennych narodów w brazylijskiej Amazonii żyje od 77 do 84 tak zwanych ludów izolowanych. To tubylcze wspólnoty, które nie utrzymują kontaktów z zewnętrznym światem. Według organizacji Survival International na całej planecie pozostało ich od 100 do 200, licząc łącznie nie więcej niż 10 tys. ludzi. Ostatni żywi poza cywilizacją taniego ołówka.

Jednym z ludów izolowanych w Brazylii była wspólnota z terytorium Tanaru w stanie Rondônia. Większość jej członków została zabita w latach 70. podczas kolonizacji tego obszaru prowadzonej przez firmy wydobywcze. Do roku 1995 przetrwała jedna wioska. Znow dotarły do niej buldożery osadników. Pracownicy rządowej agencji odpowiedzialnej za ochronę ludów tubylczych (FUNAI) znaleźli ludzkie szczątki i resztki zrównanych z ziemią domów. Uznano, że lud z Tanaru przestał istnieć.

Jednak rok później natrafiono na ślady ostatniego ocalałego. Ustalono, że żyje sam, zbiera owoce lasu i miód, poluje, uprawia maniok. Przy kilku okazjach badacze FUNAI sfilmowali go z daleka. Unikał kontaktu. Przemieszczał się. W nowym miejscu budował chatę, w której zawsze kopał wąską, dwumetrową dziurę. Nazwano go Człowiekiem z Dziury.

Kilka tygodni temu znaleziono go nieżywego. Miał około 60 lat. Leżał przed domem w hamaku przyozdobionym na potrzeby rytuału. Najprawdopodobniej sam postanowił, że pora odejść. W domu pozostał dziurę. Naukowcy nie potrafili ustalić jej przeznaczenia. ●

NASZA EUROPA

Wybory w najbardziej skorumpowanym kraju UE

KTO SIĘ BOI BULGARS

Rewelacje o rozległym układzie korupcyjnym na przejściu granicznym, przez które do UE wjeżdżają ciężarówki z Turcji, wstrząsnęły bułgarską polityką. Jak daleko sięgają jego macki?

Czy uda się to wyjaśnić, zależy w dużej mierze od wyniku niedzielnych wyborów w Bułgarii.

Maciej Czarnecki

Korespondencja z Sofii
i granicy bułgarsko-tureckiej

Na schłodnym, rozległym parkingu w Kapitan Andrejewo, niewielkiej bułgarskiej miejscowości przy granicy z Turcją, ubrani w jaskrawożółte kamizelki pracownicy wskazują miejsca postoju wjeżdżającym tirom. Przeważają tureckie i bułgarskie, choć widzę i parę z Ukrainy, Bośni czy Gruzji.

Kierowcy – zwykle w dresach lub krótkich spodenkach, bo we wrześniu nadal panuje tu upał – przystają przed ekranem, na którym wyświetlane są numery rejestracyjne i czasy odjazdu, po czym kierują się do restauracji. Oczekując na przekroczenie granicy, mogą też stracić parę lewów w kasynie, wydać je w sklepie, a nawet ostrzyć się u fryzjera.

Za sprawą panującego tu ładu bardziej niż przedsiónek Bliskiego Wschodu przypominałoby to jakiś dworzec w Europie Zachodniej – gdyby nie tureckie dania w menu i, jak się przekonuję, trudna do wypalenia w Bułgarii i zapewne nieprzypadkowa dezygnacja sprzedawców w wydawaniu paragonów.

To jednak najmniejszy problem dla bułgarskiego państwa.

CIOS W DOCHODOWE IMPERIUM

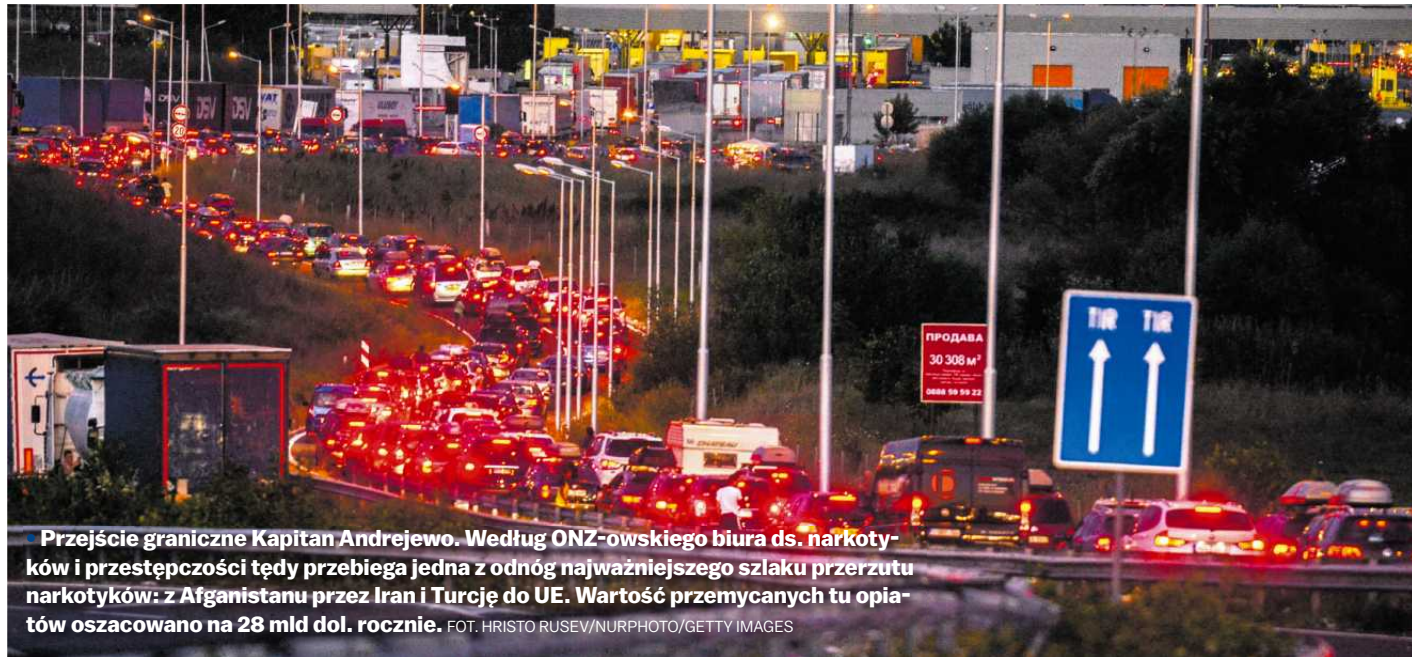
Parking, na który policja kieruje prawie każdą ciężarówką, to część maszyny biznesowej firm powiązanych ze znanymi postaciami bułgarskiego półświatka. Powstał dwa lata temu. Już w 2012 r. jedna z tych firm zdobyła wieloletni kontrakt, by dezynfekować, a następnie rozładowywać ciężarówki i kontrolować próbki żywności na granicy.

Wszystko to działo się za rządów Bojko Borisowa z centroprawicowej partii GERB.

Bułgarscy dziennikarze już od lat zwracali uwagę, że podejrzane koneksje prywatnego operatora i faktyczny monopol na wiele regulaminowych czynności otwierają pole do nadużyć. Kiedy w 2021 r. Borisow stracił władzę, nowy rząd Kirila Petkowa – przedsiębiorcy i absolwenta Harvardu – postanowił się temu przyjrzeć.

Bądź co bądź, chodzi o drogową bramę z Bliskiego Wschodu do UE, którą co roku przekracza prawie 900 tys. ciężarówek (a w tym roku będzie jeszcze więcej z uwagi na blokadę Morza Czarnego). Już od lat słynie ona z przemytu ludzi, narkotyków, papierosów i wszystkiego innego, co można sobie wyobrazić (pewnego razu celnicy odkryli nawet wypchanego lwa).

Wkrótce ludzie Petkowa zaczęli alarmować, że od dekady sieć pracowników firm i skorumpowanych urzędników czerpała potężne zyski z łapówek od kierowców, przemykania oka na podejrzane ładun-



Przejście graniczne Kapitan Andrejewo. Według ONZ-owskiego biura ds. narkotyków i przestępczości tędy przebiega jedna z odnóg najważniejszego szlaku przerzutu narkotyków: z Afganistanu przez Iran i Turcję do UE. Wartość przemycanych tu opiatów oszacowano na 28 mld dol. rocznie. FOT. HRISTO RUSEV/NURPHOTO/GETTY IMAGES

ki, pozorowanych kontroli i innych nielegalnych działań.

Gdy w maju, powołując się na nielegalność kontraktu, przekazali kontrolę pestycydów w żywności państwowemu laboratorium w Sofii, nagle skokowo wzrosła liczba wykrywanych nieprawidłowości w próbkach.

– Zatrute owoce i warzywa trafiały do krajów w całej Europie, być może na talerze naszych dzieci. To pokazuje, że korupcja nie jest tylko lokalnym problemem Bułgarii, ale pociąga też za sobą ludzkie koszty w całej UE – powiedział Petkow niemieckiemu dziennikowi „Die Welt”.

KTO TAK NAPRAWDĘ OBALIŁ RZĄD W SOFII?

Wiceminister rolnictwa Iwan Hristanow, który zaangażował się w rozmontowanie tego układu, opowiada, że dostał ostrzeżenie od mafii już dzień po zażądaniu informacji o sytuacji na granicy. Nowy szef Bułgarskiej Agencji ds. Bezpieczeństwa Żywności (BFSA) Hristo Daskalow miał otrzymać propozycję łapówki. Zaś powiązana z gangsterami firma wywalczyła w sądzie w kontrowersyjnych okolicznościach prawo do utrzymania niektórych obowiązków na granicy (choć nie kontroli laboratoryjnej).

W czerwcu, po niecałych siedmiu miesiącach u władzy, rząd Petkowa upadł. Partii GERB udało się przegłosować wotum nieufności, bo rząd stracił poparcie jednej z koalicyjnych partii, założonej przez piosenkarza Sławiego Trifonowa.

Oficjalne powody rozpadu koalicji były inne, lecz dziennikarze wysledzili powiązania między ludźmi Trifonowa a „systemem”. Zdaniem niektórych rząd zapłacił dymisję za próby rozmontowania sieci powiązań kryminalno-biznesowo-politycznych, która oplótła bułgarskie państwo. Sprawa granicy stała się jej kolejnym, jaskrawym przykładem, „emanacją zawłaszczanego kraju”, jak napisał felietonista tygodnika „Capital”.

– Rząd nie upadł w parlamencie, tylko w Kapitan Andrejewo – wypalił Andriej Giurrow, szef klubu parlamentarnego Kontynuujemy Zmiany, czyli partii Petkowa.

Zdaniem komentatorów znaczenie mogło mieć też jednoznaczne poparcie Petkowa dla Ukrainy, które było solą w oku Moskwy. A ona wciąż ma w Bułgarii niemałe wpływy.

Ludzie Borisowa zapewniają, że na granicy wszystko działało, jak trzeba, a Petkow wymyślił aferę, by zbijać kapitał polityczny. Jednak na moją propozycję rozmowy nie odpowiedzieli.

Na razie Bułgaria rządzi tymczasowy gabinet ekspertów. O tym, czy do władzy wróci GERB, czy Kontynuujemy Zmiany, zdecydują niedzielne wybory parlamentarne. Sondaże dają przewagę temu pierwszemu.

– Jest bardzo prawdopodobne, że jeśli GERB wygra, to zatrzyma kierunek polityki zmierzający do usunięcia z granicy prywatnych firm. Wiosną wielokrotnie krytykował działania rządu w ich sprawie – przewiduje Marin Nikolow, dziennikarz śledczy stacji bTV.

KRUCJATA HRISTANOWA

– Informacje operacyjne wskazują, że to największe źródło czarnorynkowych dochodów bułgarskiej mafii i związanego z nią establishmentu politycznego. Taki był powód stworzenia parasola – twierdzi Hristanow, który od czasu zajęcia się sprawą porusza się z ochroną.

Rozmawiamy w zacisznej sali jednej z niezależnych redakcji w Sofii. Były wiceminister wypowiada się powoli, ważąc każde słowo. Opowiada, że zaangażował się w swoją krucjatę z racji nadzoru nad agencją żywności. Prócz niego w śledztwie brali udział wybrani ludzie z bułgarskich służb, MSW i paru innych podmiotów oraz specjalnie zatrudnieni analitycy danych. Z czasem, jak twierdzi, pojawili się też sygnaliści.

– Zaangażowaliśmy służby, ale oczywiście nie prokuraturę, bo mamy aż zbyt wiele

powodów, by wątpić w szczerą intencję prokuratora generalnego – stwierdza.

Owym prokuratorem jest Iwan Geszew, piastujący stanowisko jeszcze od czasów Borisowa i oskarżany o skrajne upolitycznianie prokuratury i sprzyjanie zausznikom. Podczas prodemokratycznych protestów, które wybuchły w Sofii i innych dużych miastach latem 2020 r., jednym z najczęściej wykrzykiwanych hasel było: „Geszew – hańba!”.

– Gdy zażądałem informacji [na temat przejścia Kapitan Andrejewo], natychmiast wyciekło to do bossów mafii. Dosłownie następnego dnia pośrednik dostarczył wiadomość: „Idziemy na wojnę czy mamy pokój?”. To znaczy: możemy uczynić z twojego życia piekło, a nawet je zabrać, albo możesz dostać trochę pieniędzy i przymknąć oko. Oczywiście, dokonaliśmy wyboru – mówi Hristanow.

– Prawdę mówiąc, z dostępem do informacji i odpowiednimi ludźmi dość łatwo było ułożyć wszystkie puzzle. Jeśli nam udało się w parę miesięcy, to nie ma żadnej wymówki dla tych, którzy nie zrobili tego przez dziesięć lat. Po prostu nie byli zainteresowani – dodaje.

SZEFE JEŹDZI FIATEM, PODWŁADNY MERCEDESEM

Były minister opowiada o „kulturze strachu”, którą odkryła jego grupa w BFSA, służbach celnych i lokalnej policji. Kto sprzeciwiał się nielegalnym działaniom, był wyrzucany lub przesuwany na inne stanowisko. Ci, którzy się godzili, byli wynagradzani.

– Kluczowa dla systemu była BFSA. Inni pełnili funkcje pomocnicze. Były tam dwie grupy: ludzi skorumpowanych oraz tych, którzy nie dali się wciągnąć – twierdzi Hristanow.

Agencja i służby celne nie odpowiedziały na moje pytania w tej sprawie.

Nowy szef BFSA Daskalow nie pozostał jednak wątpliwości, co o niej sądzi, w za-

NASZA EUROPA

KIEJ MAFII

prezentowanym niedawno przez partię Kontynuujemy Zmiany filmie „Złota granica UE: Kapitan Andrejewo”.

– O urzędnikach, którzy pracują tam na granicy, krążą legendy. To śmieszne i żalodne, że żadna z bułgarskich instytucji nie chciała tego widzieć. To nie jest normalne, że pewien profesor w Bułgarii jeździ fiatem punto, a jeden z jego pracowników na granicy – mercedesem z najlepszym wyposażeniem – mówi Daskalow, najwyraźniej mając na myśli siebie i swojego podwładnego.

– Kiedy zmieniasz system, zawsze następuje okres przejściowy, w którym widać jeszcze patologie poprzedniego. Do naszych ludzi przychodzili kierowcy i próbowali wręczać im pieniądze. Na początku nasi ludzie myśleli, że chodzi o uregulowanie opłat, ale nie – one były już uregulowane. To były łapówki – ciągnie Hristanow.

Z nieoficjalnych informacji przytaczanych przez „Capital” wynika, że za ominięcie inspekcji należało zapłacić od 1 tys. do nawet 9 tys. euro, w zależności od typu ładunku. Najwięcej za drogą żywność, np. owoce morza.

Nie wiadomo, ile transportów przepuszczono w ten sposób, czemu sprzyjał brak kamer w niektórych miejscach. Ale oficjalne statystyki dają do myślenia: „Capital” podaje, że w „prywatnym” systemie kontroli raportowano sprawdzenie pod kątem pestycydów 80-90 próbek w ciągu jednej zmiany. Obecnie, gdy kontrole przeprowadzane są w państwowym laboratorium, wyzwaniem jest 20-30.

Hristanow twierdzi, że niektórzy importerzy zgłaszali, że docierały do nich ciężarówki z oryginalnymi plombami transportowymi z kraju pochodzenia. Tymczasem musieli zapłacić rachunki za otwarcie, rozładowanie, załadowanie i kontrolę laboratoryjną.

„EUROPA ZOSTAŁA BEZ HEROINY”

Jednak zdaniem byłego ministra skandal z żywnością może być tylko wierzchołkiem góry lodowej. A twórcom układu mogło chodzić o coś więcej.

Posel Kontynuujemy Zmiany Jordan Mańczukow wypalił niedawno na Facebooku, że po odzyskaniu przez państwo kontroli nad Kapitan Andrejewo „Europa została bez heroiny”.

Raport ONZ-owskiego biura ds. narkotyków i przestępczości z 2015 r. za najważniejszy szlak przerzutu uznał właśnie bałkański: z Afganistanu przez Iran, Turcję i Bułgarię lub Grecję. Wartość przemycanych tu opiatów oszacował na 28 mld dol. rocznie – więcej niż oficjalny PKB Afganistanu.

Inny raport – centrum badawczego Transcrime z Mediolanu – wymienia Kapitan Andrejewo jako jeden z głównych punktów przerzutu papierosów, donosząc o skorumpowanych celnikach i policjantach w tej miejscowości. Gdy w 2015 r. udaremniono szczególnie duży przemyt, do aresztu trafiło 13 celników.

LUKRATYWNE PROPOZYCJE

Hristanow przyznaje, że o części rzeczy, które działają się na granicy, nigdy się nie dowiemy. Ale o skali korzyści, które mieli odnosić zamieszani w proceder, może świadczyć

rozmiar łapówki, którą, jak twierdzi, mu zaoferowano: 500 tys. lewów miesięcznie (1 lew to 2,45 zł).

Intrnatną propozycję miał też otrzymać Daskalow. Wkrótce po rozpoczęciu reform na skrzynki mailowe bułgarskich mediów trafiło sensacyjne nagranie audio. Słysząc na nim właśnie szefa BFSA oraz innego mężczyznę, który mówi, że wręcza mu „dokumenty”.

– Daskalow powiedział mi, że to Plamen Molłow, były szef agencji. Oraz że tak naprawdę nie chodziło o dokumenty, tylko o pieniądze. Molłow próbował przekonać go, by odpuścić kwestię granicy, i broił obecnej tam firmy Eurolab 2011 – mówi dziennikarz Marin Nikolow.

– Jednak było to tylko nagranie audio. Ponadto fakt nagrywania rozmowy nie został wcześniej zgłoszony śledczym, co w bułgarskim prawie ma znaczenie. Prokuratorzy umorzyli więc postępowanie w tej sprawie – dodaje Nikolow.

Mówi, że Eurolab 2011 powołuje się przed sądami na wspomniane kontrakty: pierwszy z 2012 r., drugi z 31 grudnia 2021, podpisany tuż przed przejściem sterów przez nowe kierownictwo BFSA. Oba zawarto po przetargach, ale zdaniem dziennikarza zostały one ustawione, jak wiele innych w Bułgarii. Pierwszy wygrała poprzedniczka Eurolab 2011 na granicy – Interpred Eurologic.

– Początkowo występowała jeszcze pod inną nazwą, ale to ta sama firma z tymi samymi ludźmi. Z informacji, które dostałem od BFSA, wynika, że jej „rywalem” była Omega 69. Otóż ta firma również jest powiązana z Razmigiem „Ami” Czakarjanem – mówi Nikolow.

„Ami” Czakarjan, do którego należy m.in. opisywany na początku parking z kasy-nem, „zasłynął” w 2017 r. pobiciem na autostradzie dziennikarzy stacji Nova TV, którego dokonał wraz z paroma innymi pracownikami Omegi 69. Jak donosi portal śledczy Bird.bg, założyciel tej firmy Mihaïl Mładżow został niedawno aresztowany za handel narkotykami.

Według Bird.bg właśnie Czakarjan jest łącznikiem biznesowej maszyny w Kapitan Andrejewo z najgroźniejszymi bułgarskimi gangsterami. Konkretnie zaś z Krasimirem „Kyro” Kamenowem, który jest prawą ręką barona narkotykowego Hristophorosa „Takiego” Amanatidisa.

Nikolow wymienia mi te same nazwiska. Padły też podczas posiedzenia parlamentarnej komisji w sprawie tej afery. Szef Eurolab 2011 zarzekał się wówczas, że z tymi ludźmi nic go nie łączy.

Jednym z prawników Eurolab 2011 jest wieloletni działacz GERB i przewodniczący rady miasta Swilengrad Georgi Elenkow.

MAFIA W DEMOLUDZIE

Bułgarskie kanały przemytu z Bliskiego Wschodu do Europy stworzyły już w czasach socjalistycznych służby bezpieczeństwa. Dochody z przerzucania narkotyków i innych zakazanych towarów zapewniały państwu rządzonemu przez Todora Żiwkova (którego ochroniarzem wtedy był młody karateka Bojko Borisow) zastrzyk pożądanych dewiz. Po upadku żelaznej kurtyny owe kanały przeszły w prywatne ręce dawnych agentów.

Wiele czarnych charakterów z dzikich lat 90. już nie żyje, jak najsłynniejsi królowie

przemytu Konstantin „Samokoweca” Dimitrow, zabity w 2003 r. w centrum Amsterdamu, lub Iwan „Doktor” Todorow, zastrzelony dwa lata później w Sofii. Jednak niektórzy utrzymali się na powierzchni. Wśród nich jest owiany legendą Nikołaj „Paskal” Nikołow – były agent służb bezpieczeństwa, który parął się szmuglowaniem papierosów z Turcji od połowy lat 90. W marcu 2015 r. bułgarskie władze zarekwirowały jego siatce papierosy o wartości niemal 150 mln lewów. Właśnie po tej akcji trafili do aresztu celnicy z Kapitan Andrejewo.

Jednak przemyt to tylko część dochodów bułgarskiego półświatka. W latach 90. rósł on w siłę zarówno dzięki „tradycyjnym” zajęciom, takim jak wymuszanie haraczy czy kradzież samochodów, jak i wyprowadzaniu publicznych pieniędzy do swoich firm. Na tym ostatnim dorobiła się np. Multigroup Ilji Pawłowa, który w 2002 r. znalazł się na ósmym miejscu listy tygodnika „Wprost” z najbogatszymi ludźmi w Europie Środkowo-Wschodniej.

W 2003 r. Pawłow został zastrzelony w Sofii przez snajpera. Zabójca był tak pewny swoich umiejętności, że wystrzelił tylko jedną kulę prosto w serce. Dzień wcześniej Pawłow zeznawał na procesie oskarżonych o zamordowanie Andrieja Łukjanowa, pierwszego postkomunistycznego premiera Bułgarii. Mafioso-biznesmen Pawłow wywodził się, tak jak wiele postaci z tego kręgu, ze słynnej bułgarskiej szkoły zapaśniczej.

Ulubionym zajęciem mutrich (tak w Bułgarii zaczęto określać mafiosów) stało się przejmowanie państwowego majątku i zadań, najlepiej tych zapewniających monopol. W latach 90., wobec abdykacji państwa z podstawowych funkcji i za przyzwoleniem polityków, przejmowali atrakcyjne budynki, parkingi miejskie, targowiska warzyw i owoców, świadczenie usług publicznych (np. wywozu śmieci), wieloletnie koncesje na plaże, lasy czy kamieniołomy.

Mutri nie tyle balansowali na granicy świata przestępczego i biznesu, ile je scalili. Inaczej biznesu robić się nie dało. Nie na dużą skalę.

Bułgarzy żartowali gorzko: każde państwo ma swoją mafię, ale tylko w Bułgarii mafia ma swoje państwo.

MUTRI WCHODZĄ DO UNII

Wejście Bułgarii do Unii Europejskiej w 2007 r. zrodziło w mutrich zarówno obawy, jak i nadzieje. Bano się, że Bruksela będzie patrzeć Sofii na ręce, może nawet wywierać naciski na uzdrowienie wymiaru sprawiedliwości. Nadzieje wiązały się oczywiście ze strumieniem unijnych pieniędzy.

Rozwiązaniem obu kwestii okazało się tworzenie legalnych firm, które miały absorbować tyle euro, ile się da. Dawni gangsterzy przywdziali włoskie garnitury, kupili jachty na Morzu Śródziemnym i wcielili się w role oligarchów.

Za Borisowa, wraz z generacją nowych, zbliżonych do władzy biznesmenów w białych rękawiczkach, wygrywali kolejne przetargi, jeszcze bardziej się bogacąc. Jak dowiodły liczne śledztwa dziennikarskie i raporty organizacji antykorupcyjnych – często z pogwałceniem prawa o zamówieniach publicznych. Pewien bułgarski profesor ujął to w ten sposób: „W Bułgarii przetargi publiczne nie są wygrywane, tylko rozdzielane”.

W najnowszym badaniu Indeks Percepcji Korupcji Transparency International Bułgaria wypada najgorzej w całej UE (78. miejsce; Polska jest 42.). Znany jest dowcip: „– Słyszaleś? Bułgaria jest drugim najbardziej skorumpowanym krajem na świecie! – A dlaczego nie pierwszym? – Bo dała w łapę, żeby nim nie być”.

W 2020 r. wypłynęło nagranie ze spotkania ówczesnej minister rolnictwa Desisławy Tanewej z przedstawicielami rolników. W odpowiedzi na doniesienia o defraudacjach unijnych funduszy, radziła: – Sugeruję,

by trzymać się wersji, że takich oszustw nie ma i wszystko jest dobrze, bo w przeciwnym wypadku wstrzymają nam finansowanie.

Dla wielu Bułgarów symbolem korupcji w kraju stały się zdjęcia, które wyciekły do mediów w czerwcu 2020. Przedstawiały ówczesnego premiera śpiącego w sypialni z pistoletem na szafce nocnej. Na niektórych widać było otwartą szufladę, a w niej pliki banknotów euro i sztabki złota (Borisow zakwestionował prawdziwość części z nich).

Opozycja bezskutecznie wzywała, by prokuratura przeszukała willę Borisowa. Dopiero kiedy Petkow objął władzę, w marcu br. Borisow został na krótko aresztowany. Poszło o zarzuty byłego magnata loterii hazardowych Wasyla „Czerepa” Bożkowa – obecnie chroniącego się w Dubaju – że był premier wymusił od niego 67 mln lewów. Bożkow przyznał się też, że wręczał łapówki urzędnikom rządowym.

W zeszłym roku Bożkow wyładował za korupcję na liście sankcji amerykańskiego Departamentu Skarbu. Na listę wciągnięto też m.in. magnata medialnego i posła Delana Peewskiego, w Bułgarii cieszącego się parasolem ochronnym.

Prokuratura pod wodzą Geszewa oświadczyła jednak, że rewelacje Bożkowa to „czysta polityka”, i nie podjęła wątku. A sąd uznał, że aresztowanie byłego premiera było bezprawne.

CIOTKA Z BRUKSELI SIĘGA DO KIESZENI

Jak określili to w artykule na łamach „Die Welt” w 2020 r. pewni dwaj młodzi autorzy, ludzie Borisowa traktowali UE jak starą, bogatą ciotkę, którą doili z pieniędzy, ale delikatnie odsuwali na bok, kiedy próbowała przypominać o zasadach.

Tymi autorami artykułu byli Petkow i Asen Wasilew, który później dostał w jego gabinecie tekę wicepremiera i ministra finansów.

Podczas gdy Viktor Orbán na Węgrzech i Jarosław Kaczyński w Polsce toczyli z Unią retoryczne boje o wartości, Borisow raczej się nie wychylał, szarmancko witał Angelę Merkel na lotnisku w Sofii i instruował swoich europosłów, by głosowali dokładnie tak, jak chce tego Europejska Partia Ludowa (EPL), do której należy GERB.

„Ciotka” sięgała więc do kieszeni.

Petkow i jego ludzie nadal mają za to do Unii żal. Gdy rozmawiam z Hristanowem, jest jeszcze wzburzony niedawną obroną Borisowa w Parlamencie Europejskim przez szefa frakcji EPL Manfreda Webera.

– Kolejny raz przymknął oko na to, że Borisow stworzył państwo, w którym zasady prawa nic nie znaczą. To było haniebne. W środku kampanii wyborczej w Bułgarii niektórzy ludzie chcą go wybielić – mówi Hristanow.

Inna sprawa, że czasem jednak UE każe Sofii zwrócić jakieś fundusze. Mityguje też Bułgarię w raportach i sprawozdaniach. No i dalej nie wpuszcza Bułgarii do strefy Schengen.

W najbliższym czasie Komisja Europejska ma przedstawić swój raport na temat kontroli żywności w Kapitan Andrejewo. Jej eksperci odwiedzili tę miejscowość 6-9 lipca. Nie zajmują się kwestiami polityczno-kryminalnymi, tylko tym, czy organizacja kontroli spełnia unijne wymagania.

Z projektu raportu, do którego dotarłem, wynika, że nadal nie.

„Biorąc pod uwagę poważne nieprawidłowości strukturalne, proceduralne i operacyjne zaobserwowane podczas tego audytu, bułgarskie władze nie są w stanie zapewnić implementacji odpowiednich przepisów UE dotyczących kontroli towarów na przejściu w Kapitan Andrejewo i nie może zapewnić gwarancji, że owe towary spełniają unijne normy”, głosi projekt.

Wstępne wnioski raportu audytorzy już przekazali BFSA i bułgarskim celnikom. ●

Czy rząd maluje kamienie na czarno

Z węglem i Polakami jest jak w piosence Bajmu: pojawiaasz się i znikasz/ mam na twym punkcie bzika

Ireneusz Sudak

Węgla na składach nie ma, elektrownie ograniczają produkcję prądu, bo oszczędzają węgiel na czarną, zimową godzinę. Jakiś węgiel do Polski płynie, ale nie wiadomo, kiedy będzie ani co tak właściwie wiozą statki: pełnowartościowe paliwo czy węglopodobną glinę. Jak wygląda węglowy bilans Polski w liczbach?

– Polska ma węgla na 200 lat – mówił Andrzej Duda w 2018 r. podczas szczytu klimatycznego COP24 w Katowicach.

Eksperci, owszem, potwierdzają, że Polska ma węgiel, ale na góra 20-30 lat – prezydent pomylił się o jedno zero. Bo węgiel głęboko pod ziemią może jest, ale wydobycie jest zbyt niebezpieczne, trudne i po prostu nieopłacalne.

– Tak jak nie można mieć pretensji do Arabii Saudyjskiej, że jest bogata w ropę naftową, tak samo nie można mieć pretensji do Polski, że jest bogata w węgiel – mówił kilka lat temu Paweł Sałek, pełnomocnik rządu ds. polityki klimatycznej.

O ile Arabii produkcja i eksport ropy przynoszą złote góry, o tyle w Polsce okazuje się, że nie potrafimy efektywnie wykopać tego węgla, który mamy.

Polska ma największy przemysł węglowy w Unii. Wydobywamy rocznie 55 mln ton węgla kamiennego – dla energetyki i do wytopiania stali. Spora część tego drugiego idzie na eksport – Polska jest ostatnim w Europie producentem węgla koksującego, czyli takiego, bez którego np. niemieckie koncerny samochodowe nie mogłyby wytopić ze stali karoserii samochodów.

Ale mimo tak wielkiego wydobycia (choć malejącego – węgiel z zagranicy był tańszy, a krajowe zapotrzebowanie malało, gdyż przybywało odnawialnych źródeł energii, przede wszystkim fotowoltaiki) węgla brakuje. Minister Anna Moskwa już w kilka godzin po wybuchu wojny w Ukrainie ostrzegała, że z węglem może być kruczo – większość z 12,6 mln ton importu pochodziła z Rosji.

Receptą na odcięcie dostaw z Rosji miał być import węgla z innych krajów. Na papierze to nic trudnego – na całym świecie wydobywa się kilka miliardów ton. Ale gdy przyszło do zamawiania, okazało się, że jest problem. A to polskie porty są za małe, by w tak krótkim czasie przyjąć i rozładować dziesiątki statków. A to potem ktoś (czyli koleje) musi ten węgiel rozwiązać, a węglarek brakuje. Cały proces logistyczny może trwać miesiące.

No a gdy węgiel z innych kierunków niż Rosja się pojawia, jest bardzo drogi (nawet 3 tys. zł za tonę), poza tym nie nadaje się do domowych palenisk – ma konsystencję gliny, a powinien być w bryłkach wielkości orzecha albo grochu. Z zagranicznych transportów jedynie 20 proc. nadaje się do korzystania przez gospodarstwa domowe. Efekt jest taki, że choć pierwsze statki przybyły do Gdyni już w sierpniu, to węgla na składach ciągle nie ma.

Za to są oszuści. Mieszkańcy Olsztyna byli gotowi zapłacić nawet 5 tys. zł za tonę i zapłacili – za pomalowane na czarno kamienie.

Czy zatem wystarczy nam węgla? Według danych Izby Gospodarczej Sprzedawców Polskiego Węgla zabraknie nam 6 mln ton do końca roku, a rząd sprowadzi 10 mln do kwietnia. Ale to tylko liczby, bo węgiel może być w portach, ale może go nie być w głębi kraju. W praktyce będzie jak w powiedzonku: na dwoje babka wróżyła. Skalę problemu poznamy dopiero zimą. ●

WĘGIEL JAKI JEST, KAŻDY WIDZI, ALE...

Węgiel jest jednym z pierwiastków powszechnie występujących na Ziemi. Jako skała osadowa pochodzenia organicznego wykorzystywany głównie jako paliwo stałe występuje w kilku postaciach: jako torf, węgiel brunatny

oraz węgiel kamienny. Ten ostatni dzieli się ze względu na znaczne różnice jego właściwości na: płomienny, gazowo-płomienny, gazowy, tłusty, chudy, koksowy oraz antracyt. Jak widać, węgiel może mieć wiele rodzajów.

węgiel brunatny



58-75 proc.

zawartość czystego węgla

Jest to skała pochodzenia organicznego roślinnego w fazie przejściowej pomiędzy torfem a węglem kamiennym. Wykorzystywany jest do produkcji energii w elektrowniach. Ze względu na dużą wilgotność nie nadaje się do dalekiego transportu.

węgiel kamienny energetyczny



75-90 proc.

zawartość czystego węgla

Paliwo używane do produkcji energii w elektrowniach, ciepłowniach, piecach przemysłowych, kotłowniach i piecach domowych. Ze względu na emisję szkodliwych gazów w czasie spalania jego zużycie systematycznie spada.

węgiel koksowy

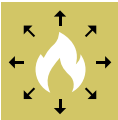


90-98 proc.

zawartość czystego węgla

Typ węgla o wysokiej zawartości tego pierwiastka. W wyniku obróbki termicznej uzyskuje się z niego koks, paliwo o podwyższonej wartości opałowej stosowane m.in. w hutnictwie do produkcji żelaza (jako paliwo i substrat reakcji).

Co decyduje o jakości węgla jako paliwa

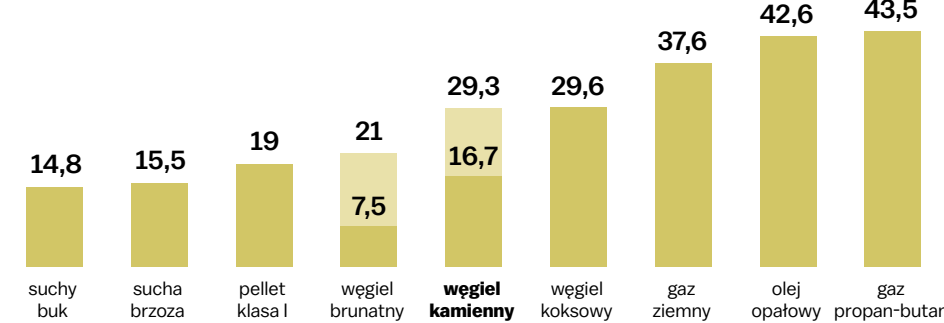


Kaloryczność

Określana też jako **wartość opałowa**, to ilość energii cieplnej wytwarzanej podczas całkowitego spalania paliwa mierzona w MJ/kg. Im węgiel jest bardziej kaloryczny, tym mniej trzeba go zużyć do ogrzania domu. Jednocześnie jednak wraz ze wzrostem kaloryczności spalanie staje się

trudniejsze – węgiel bardziej się spieka i wydziela więcej dymu. Do pieców domowych najlepszy jest węgiel o kaloryczności w przedziale 24–28 MJ/kg. **Kaloryczność węgla to nie to samo co ciepło spalania** (sprzedawcy często stosują te pojęcia zamiennie). Ten drugi parametr określa nie tylko energię uzyskiwaną ze spalania paliwa, ale też z kondensacji pary wodnej i jest wyższy niż wartość opałowa.

Porównanie wartości opałowej wybranych paliw (w MJ/kg)

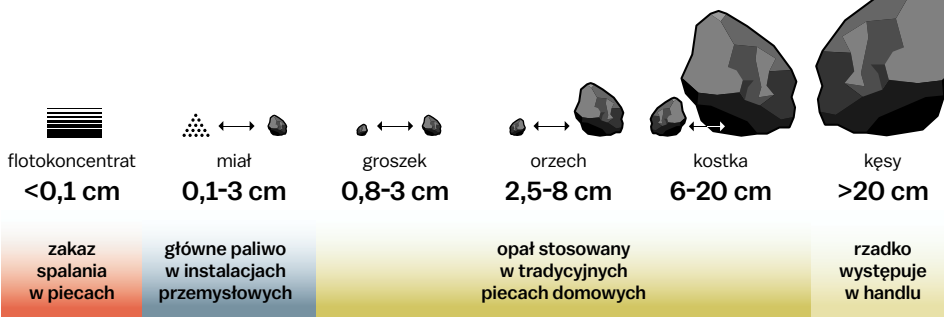


Ziarnistość

Węgiel energetyczny po wydobyciu sortuje się według wielkości. Największe bryły nazywane są **kęsami**. Mniejsze to odpowiednio: **kostka, orzech i groszek**. Większość wydobytogo węgla ma formę drobnego **miału**. Typowy kocioł zasypowy bez nadmuchu jest w stanie

spalać tylko kostkę, orzech i groszek. Do spalania miału potrzebny jest specjalny kocioł z nadmuchem lub kocioł podajnikowy. **Ekogroszek** to handlowa nazwa węgla kamiennego sortymentu groszek o polepszonych parametrach (niska wilgotność, mało popiołu i siarki). **Flot** to bardzo drobny pył węglowy odzyskany z kopalnianego błota. Przepisy antyśmiegowie zabraniają stosowania flotu jako opału.

Sortyment węgla kamiennego według ziarnistości i zastosowania



Spiekalność

Cecha węgla określająca skłonność do tworzenia się twardych brył, tzw. spieków. Powstawanie spieków zmniejsza efektywność spalania paliwa i może prowadzić do awarii pieca. Spiekalność określa współczynnik Rogi – RI. **W piecach domowych zalecane jest stosowanie opału o spiekalności nie wyższej niż RI 20.**



Zawartość siarki

Im mniej siarki w spalonym węglu, tym mniejszy negatywny wpływ na środowisko i mniejsze niebezpieczeństwo korozji kotła i przewodów kominowych na skutek działania powstającego w procesie spalania kwasu siarkowego. **Dobrej jakości paliwo powinno mieć w swoim składzie mniej niż 0,6 proc. siarki.**



Zawartość popiołu

Parametr określający zawartość substancji nieorganicznych nieulegających spalaniu (popiołu stałego). Zawartość popiołu obniża kaloryczność węgla. **W węglu dobrej jakości zawartość popiołu nie powinna przekraczać 10 proc.**



Zawartość wilgoci

W węglu kamiennym całkowita zawartość wilgoci wynosi średnio 23 proc. Składa się na nią woda podciągnięta kapilarnie w złożu, wilgoć higroskopijna (przy powierzchni brył) oraz woda nabyta w czasie procesów wzbogacania.

JAK POLSKI RZĄD WĘGLEM ZARZĄDZA

24 lutego 2022 r.

Inwazja Rosji na Ukrainę

14 czerwca 2022 r.

Minister klimatu i środowiska tweetuje: „Nie zabraknie węgla po akceptowalnej cenie. Gwarantujemy cenę na poziomie 996,60 zł za tonę”.

13 lipca 2022 r.

Premier nakazuje spółkom skarbu państwa pilny zakup 4,5 mln ton węgla z funduszu COVID-19

10 sierpnia 2022 r.

Wchodzi w życie embargo na sprowadzanie węgla z Rosji na teren Unii Europejskiej

17 września 2022 r.

wejście w życie ustawy o wsparciu odbiorców ciepła wprowadzającej m.in.:
– dodatek węglowy dla domów ogrzewanych węglem;
– regulowane średnie ceny ciepła sieciowego z rządową rekompensatą;
– zawieszenie na 2 lata norm jakościowych dla węgla

14 kwietnia 2022 r.

Rząd polski wprowadza embargo na rosyjski węgiel

28 czerwca 2022 r.

Minister klimatu i środowiska znosi wymagania jakościowe dla paliw stałych na 60 dni

28 lipca 2022 r.

Ustawa o gwarantowanej cenie węgla (996 zł za tonę) dla odbiorców indywidualnych

25 sierpnia 2022 r.

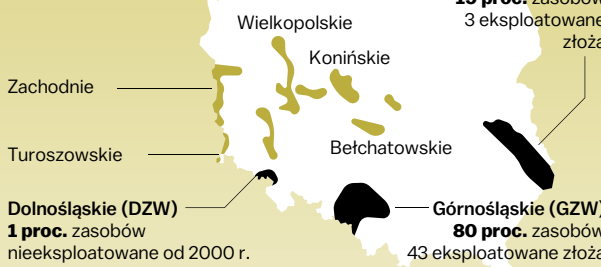
Minister klimatu i środowiska ponownie znosi wymagania jakościowe dla węgla na 60 dni

WYDOBYCIE W POLSCE

W Unii Europejskiej Polska jest czarną wyspą. Aż 96 proc. wyprodukowanego w UE węgla kamiennego pochodzi z polskich złóż i niemal w całości (ok. 95 proc.) przeznaczony jest na nasz rynek krajowy.

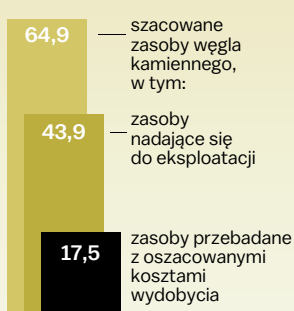
Zagłębia węglowe

■ węgiel kamienny
■ węgiel brunatny



Szacowane zasoby węgla w Polsce

Dane w mld ton



30 proc.

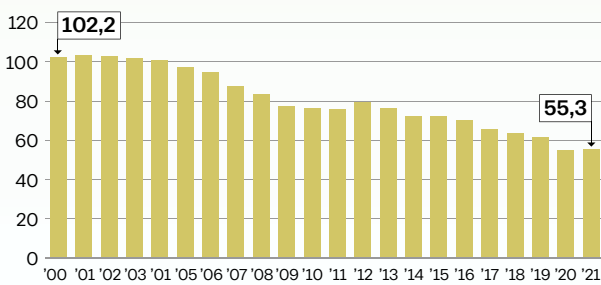
węgla w znanych obecnie polskich pokładach leży za głęboko lub w zbyt cienkim złożu, by nadawało się do wydobycia

Rentowność produkcji węgla w Polsce

Koszty wydobycia węgla kamiennego w Polsce należą do najwyższych na świecie. Wiąże się to z trudnymi warunkami geologicznymi kopalń: dużą głębokością wydobycia (do 1200 m), nasyceniem złóż metanem i lokalizacją kopalni na terenach zurbanizowanych. Dochodzą do tego wysokie koszty pracy i transportu surowca. Problemem jest też nie najwyższa jakość wydobywanego węgla – wysoka zawartość popiołów (do 40 proc.) i siarki (do 1,22 proc.) oraz metali ciężkich. Również pod względem kaloryczności polski węgiel przegrywa z większością surowca oferowanego na światowych rynkach. Obniżenie rentowności produkcji węgla wynika ze spadku zapotrzebowania na ten surowiec związanego z przechodzeniem z tradycyjnej gospodarki na niskoemisyjną.

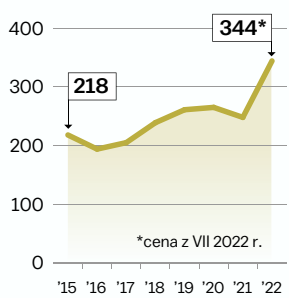
Produkcja węgla kamiennego w Polsce

Dane w mln ton



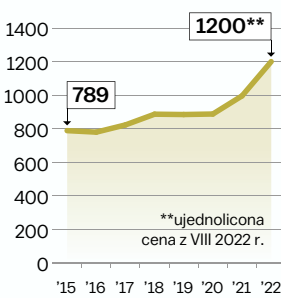
Cena węgla krajowego dla energetyki zawodowej

Dane w zł za tonę (Indeks PSCMI 1)



Cena detaliczna węgla krajowego

Średnioroczna cena w zł za tonę



ZAPOTRZEBOWANIE

Energia pochodząca ze spalania węgla kamiennego i brunatnego stanowi aż 65 proc. polskiego miks energetyczny. Polska jest także znaczącym producentem stali na świecie, a do jej wytopu wykorzystuje się koks produkowany w krajowych koksowniach. Część węgla i pochodzącego z niego prądu eksportujemy.

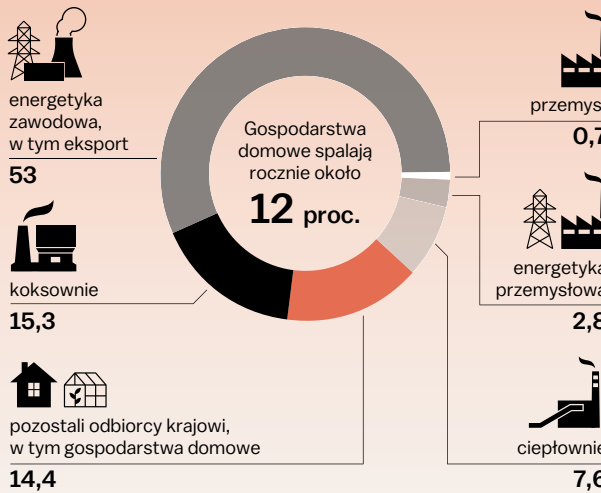
Skąd pochodzi(ł) wykorzystywany przez nas węgiel

Dane w mln ton za 2021 r.



Które segmenty rynku zużywają najwięcej węgla

Dane w proc. za 2018 r.

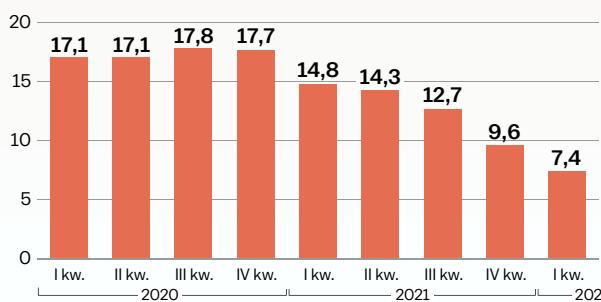


Drobni odbiorcy

Pomimo spadku liczby domów ogrzewanych węglem nadal korzysta z niego 36 proc. gospodarstw domowych w Polsce. Rocznie drobni odbiorcy spalają ok. 10 mln ton węgla kamiennego. Istotne jest to, że w małych kotłach spala się głównie węgiel gruby, a nie miał węglowy. Polskie kopalnie wydobywają raczej węgiel niższych frakcji. Tego zdatnego do użytku w instalacjach domowych produkuje się w Polsce tylko ok. 5-6 mln ton rocznie.

Zapasy węgla energetycznego

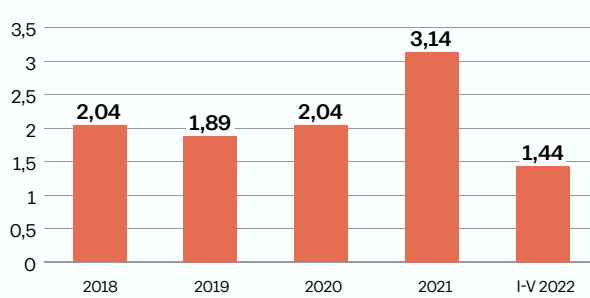
Dane w mln ton



Eksport węgla energetycznego z Polski

Dane w mln ton

Główne kierunki to: Czechy, Ukraina, Niemcy, Słowacja, Austria i Węgry



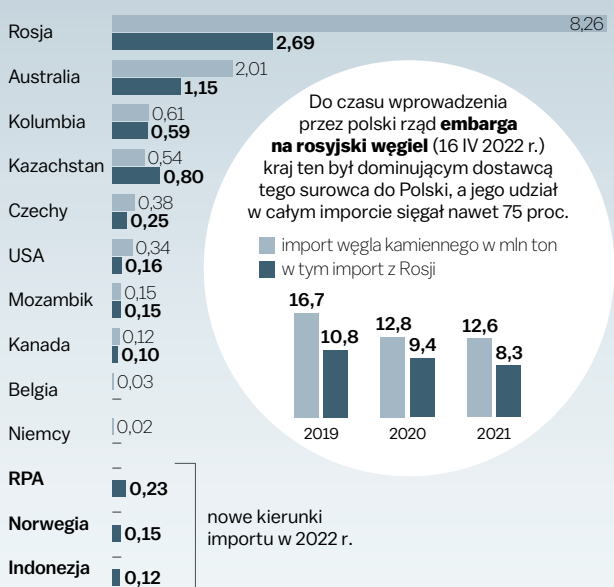
IMPORT WĘGLA DO POLSKI

Według Forum Energii Polska importuje ok. 20 proc. zużywanego węgla. Do niedawna większość importu odbywała się drogą lądową z Rosji. Był to węgiel o lepszych parametrach (szczególnie tych istotnych z punktu widzenia małych odbiorców) i tańszy niż węgiel wydobywany w kraju.

Główne kierunki importu węgla w 2021 i 2022 r.

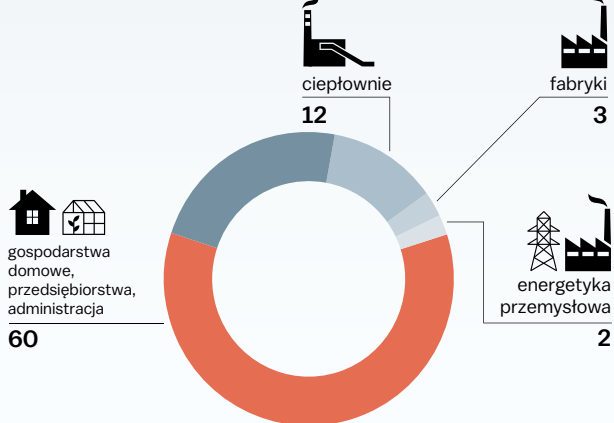


Dane w mln ton



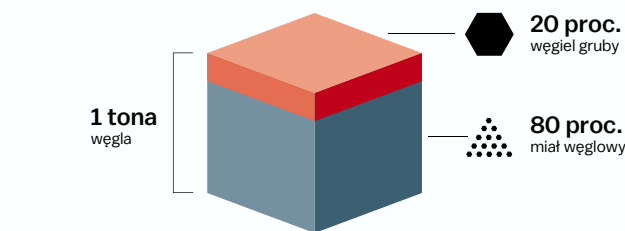
Kto i w jakim stopniu korzysta z importowanego węgla?

Dane w proc. z okresu I-XI 2021 r.



Ile węgla w węglu

Duży udział drobnych użytkowników w konsumpcji węgla importowanego wynikał z faktu, że węgiel sprowadzany do niedawna głównie z Rosji miał lepsze parametry i był tańszy niż krajowy. Jednak transport morski w przeciwieństwie do kolejowego sprzyja kruszeniu i zawilgoceniu węgla. Między innymi dlatego obecnie z jednej tony importowanego surowca na opał do pieców domowych nadaje się tylko ok. 15-20 proc.



W środku dwóch kryzysów – klimatycznego i energetycznego – opór mieszkańców i decyzje służb zablokowały budowę farm fotowoltaicznych, które mogły produkować 300 MWh zielonej energii rocznie – dość, by zapewnić prąd dla 150 tys. osób przez cały rok. Gmina Bircza, w której miały stanąć farmy, ma mniej niż 7 tys. mieszkańców.

I o zgrozo: to ma sens.

Wjeżdżam do Lipy od strony Birczy, mijam kościół, przede mną łagodnie pną się wzgórza. Porastają je rzędy kukurydzy. Na tej działce firma Qair chciała zbudować jedną z trzech farm fotowoltaicznych w gminie. To była ta średniej wielkości – 103 ha, odpowiednik 144 boisk piłkarskich. Planowana moc zainstalowana: 70 MW.

Kukurydza to tutaj nowość. W dokumentacji, którą inwestor dostarczył do urzędu gminy w 2021 r., są wcześniejsze zdjęcia działki. Nie widać ani skrawka kukurydzy, tylko koszone trawy i polne kwiaty.

Rzeszowska Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zażądała uzupełnienia. Finalny raport wpłynął rok później. I w nim czytamy już o tym, że w ciągu roku zmienił się sposób wykorzystania terenu. W skrócie: pole zostało zaorane i obsiane kukurydzą. Dlatego wiele rozważań na temat bioróżnorodności działki, występowania siedlisk chronionych gatunków, „ma już znaczenie wyłącznie historyczne”.

W dokumentach od inwestora są informacje, że na działce znajdowały się stanowiska 28 gatunków chronionych, wśród nich derkacza (obejmuje go unijna dyrektywa ptasia), a zaraz przy granicy działki – bociana białego. Autorzy raportu przyznają, że widzieli bielika, a w okresie lęgowym może tu bywać też orlik krzykliwy – kolejny gatunek bardzo silnie chroniony. Rosły tam też chronione centuria pospolita i kukulka krwawista (to nie ptak, lecz roślina).

Potem inwestor zmienił skalę inwestycji – miała obejmować już nie 100, a jedynie 60 hektarów i omijać najcenniejsze siedliska. W ten sposób miała „nie wpłynąć negatywnie na siedliska będące przedmiotem ochrony obszaru Natura 2000”.

Plany okrojenia inwestycji i fakt, że siedliska chronionych gatunków zostały zniszczone, nie przekonały rzeszowskiej RDOŚ, która odmówiła poparcia dla inwestycji.

Zaoranie działki skomplikowało sprawy, bo RDOŚ nie mogła odmówić zgody na inwestycję, żeby chronić stanowiska dzikich ptaków czy roślin. Ale dyrekcja wymknęła się i z tego nelsona. Po pierwsze, napisała, że wydanie pozwolenia uniemożliwi odtworzenie wcześniejszego ekosystemu łąkowego. Po drugie, zgodnie z wiedzą naukową ptaki chronione dyrektywą ptasią żerują na większych obszarach, dlatego w ocenie oddziaływania na środowisko trzeba uwzględnić i to, co dzieje się na sąsiednich działkach, a inwestor tego nie zrobił. Nie przeprowadził też obserwacji zimną, czyli w okresie, w którym najskuteczniej można ustalić, czy po terenie przemierzają się np. wilki.

RDOŚ uznała też, że ogrodzona farma będzie przecinała szlaki, którymi wędruje dzika zwierzyna, oraz utrzymała w mocy argumenty o ochronie krajobrazu.

Zaczęło się od tego, że przyszedł pan sąsiad z piśmkiem od gminy – opowiada Anna Brodzicka, sołtyska wsi Brzeżawa. Było lato 2019 r.

Koncepcja Qair Polska przewidywała, że w Brzeżawie stanie farma fotowoltaiczna o łącznej mocy zainstalowanej 50 MW. Panele i inne elementy miały zajmować ponad 72 hektary – 100 boisk do piłki nożnej.

Farma w Brzeżawie miała być najmniejszą z trzech w gminie Bircza.

– Sąsiad od razu był przeciwny, bo ma piękne widoki, myślał, żeby zrobić tam jakąś turystykę.



Co ważniejsze
– globalna walka z węglem,
ropą i gazem
czy lokalny las,
który pamięta Chrobrego

Jarosław Kopec

NOTRE DAME ZMCHU I POROSTÓW

Okolice Birczy – Pogórze Przemyskie – to wyjątkowe miejsce. We wszystkie strony ciągną się łańcuchy łagodnych wzgórz, a pomiędzy nimi płyną rzeki, wiją się nitki dróg. Szczyty pokrywają lasy, niżej kwitną łąki i ciągną się pola. W lipcowym słońcu wszystko wygląda jak odmalowane z Van Gogha. Ponad 90 proc. gminy obejmują różne formy ochrony przyrody. Farma w Brzeżawie miała znajdować się na szczycie jednego ze wzgórz, w miejscu kwietnej łąki.

Siedzę w salonie sołtyski. Trzy okna u szczytu stołu wychodzą na dolinę i wzgórze po drugiej stronie. Można odnieść wrażenie, że to ten widok jest tu głową rodziny.

Wstępny dokument, który inwestor złożył do urzędu gminy, ocenia, jak inwestycja wpłynie na środowisko. Podstawy paneli nie wyższe niż pięć metrów, a więc wpływ na krajobraz znikomy. Autorzy spekulują też, że dziesiątki hektarów paneli mogą być nawet korzystne dla ptaków, bo urozmaicą im krajobraz, a tym samym dostarczą alternatywnych miejsc żerowania i gniazdowania. Jednocześnie przyznają, że inwestycja jest zaplanowana na terenie Przemysko-Dynowskiego Obszaru Chronionego Krajobrazu, 60 m od Ostoi Gór Słonnych.

Na polanie miało stanąć ok. 190 tys. sztuk modułów fotowoltaicznych. Do tego stelaże, do 100 transformatorów, stacje transformatorowo-rozdzielcze, linie komunikacyjne, drogi i oświetlenie. Rozdział poświęcony szkodom dla zwierząt czy roślin jest krótki – negatywnego wpływu się nie przewiduje.

– Powiedziałam sąsiadowi, że ma iść do gminy, że się sprzeciwia – opowiada sołtyska. – Zrobiłam zebranie, zaprosiłam wszystkich. Pisaliśmy pisma, pojechaliśmy do Wód Polskich, do sanepidu, wszędzie.

– Wiadomo, że to jest wszystko ekologiczne – wyjaśnia. – Ale my tutaj naprawdę dbamy o przyrodę. Wyobraża pan sobie 72 hektary?

Nie wyobrażam sobie, więc sołtyska zabiera mnie na drugą stronę wzgórza.

– To mała miejscowość, a ten cały widok to wszystko praktycznie, co my tutaj mamy.

Na szczycie, pomiędzy lasami, ciągną się kwietne łąki. Bzyczenie owadów aż wwierca się w uszy – jakbyśmy stali przy stacji transformatorowej. Takie łąki właściciel kosi raz do roku, w zamian dostaje unijne dopłaty.

Ze szczytu widok rozciąga się na kilometr. Panele byłoby widać z każdego z tych miejsc, które widzę, w promieniu kilku wsi.

– A dużo ludzi żyje z turystyki? – pytam.

– U nas praktycznie nie ma turystyki, bo mamy widoki, ale jak nie ma wody, nie ma chętnych. Ale pomału ludzie zaczynają robić w innym kierunku: jakaś stadnina koni, jakieś domki, żeby pójść do lasu, jakieś szlaki.

W czerwcu w rozmowie z „Wyborczą” przedstawiciel firmy Qair powiedział, że firma zrezygnowała z inwestycji w Brzeżawie.

Trzecia farma, największa, miała powstać w Łodzinie Górnej. Planowana moc – 130 MW. Powierzchnia – w porównaniu do 194 ha, ponad 217 boisk piłkarskich.

Teren leży w otulinie projektowanego Turnickiego Parku Narodowego, dlatego zainteresowały się nią organizacje ekologiczne, w tym Dziedzictwo Przyrodnicze. Fundacja podnosiła kwestię ochrony krajobrazu oraz gatunków zwierząt i roślin, w tym orla przedniego, którego w Polsce zostało 30-35 par. Sam inwestor w dokumentach wspomina o chronionych gatunkach.

RDOŚ w Rzeszowie wydała decyzję zgodną z uwagami fundacji – odmówiła uzgodnienia warunków realizacji inwestycji.

Piotr Klub z Dziedzictwa: – Ile oni by sobie oszczędzili czasu i pieniędzy, gdyby po prostu mieli człowieka, który by się znał na tym i by im weryfikował i powiedział: tu jest park krajobrazowy, tu Natura 2000, tu rezerwaty i siedliska, w ogóle nie interesujcie się

tym terenem. Ale te firmy tak działają: składają ileś tam projektów, jeśli się uda jeden na dziesięć, to są zadowolone.

Tylko że mamy kryzys klimatyczny, każdy ułamek miksu energetycznego, który pochodzi z niskoemisyjnych źródeł, jest na wagę złota. Czuję to wyraźnie, gdy po plecach cieknie mi pot, choć siedzę w cieniu. Od dwóch dni jest 35 stopni w cieniu.

– My też chcemy ratować świat, jak te firmy, które stawiają wiatraki albo farmy fotowoltaiczne – odpowiada Klub. – Tylko na różne sposoby. My chcemy chronić też lasy, które są najbardziej naturalne, najbardziej pierwotne, żeby pochłaniały dwutlenek węgla, utrzymywały wodę w górach. A oni chcą zmienić sposób produkcji energii. Więc mówimy: zmieniajcie, tylko gdzie indziej.

– Ale dlaczego właściwie nie tutaj? – pytam. – Te pagórki wydają się idealne, dobrze ustawione do słońca, nie rosną na nich lasy. W sam raz pod farmy.

– Trzeba stawiać farmy fotowoltaiczne, ale z głową – odpowiada Klub. – Jest w Polsce dużo terenu, który nie jest tak cenny przyrodniczo.

Skończyłam rozmowę z ekologiem i aktywistą w jednym, to spróbujmy nakreślić szerszy kontekst.

– Do budowy farm fotowoltaicznych używa się metale ziem rzadkich wydobywane na innych kontynentach, i to wcale nie metodami fair trade – zwraca uwagę Klub. I ma rację. Naukowcy z Wielkiej Brytanii wykazali, że łańcuch dostaw paneli fotowoltaicznych powiązany jest np. z niewolniczą pracą Ujgurów w Chinach. Kopalnie metali rzadkich miały też powstać na Grenlandii, ale tamtejszy rząd nie zgodził się na wydobycie w obawie przed absolutną katastrofą ekologiczną.

Jednocześnie z raportu ONZ wynika, że pod względem szkód środowiskowych fo-

FOT. ADAM ŁAWNİK / EAST NEWS



towoltaika należy dzisiaj do najczystszych form produkcji energii.

– Każda alternatywna technologia energetyczna ma minusy. Wiatraki zabijają ptaki wędrowne – ciągnie Klub. – Ale wiemy, że jeśli nie zmienimy sposobu produkcji energii, to szlag nas wszystkich trafi od dwutlenku węgla w atmosferze.

– Dlatego w imieniu czytelnika pytam, jaka jest racjonalność blokowania takich inwestycji. Jakie znaczenie ma bioróżnorodność, skoro mamy kryzys klimatyczny tu i teraz? Te farmy w Birczy generowałyby prąd dla 150 tys. osób.

Pot skapuje mi na okulary.

– Zacznijmy od tego, że bioróżnorodność to złudny wskaźnik. Po prostu wartość, która pokazuje, ile występuje na danym terenie gatunków – odpowiada Klub.

Nominalnie wysoką bioróżnorodnością cechują się ogrody zoologiczne albo botaniczne. A jednocześnie bywają ekosystemy naturalne lub wręcz pierwotne z niewielką bioróżnorodnością. Ot, w niektórych fragmentach Puszczy Białowieskiej, w której leśnicy twierdzili, że chcą wycinać świerki, by chronić je przed kornikiem, albo w wysokich górach bioróżnorodność może być mniejsza niż na łące świeżej albo w ogrodzie zoologicznym, ale to nie oznacza, że ta łąka czy zoo są cenniejsze przyrodniczo.

– To, że jakieś miejsce jest mało bioróżnorodne, nie oznacza, że nie jest cenne, bo niektóre miejsca są cenne, dlatego że są rzadkie i naturalne. A jednocześnie mamy ekosystemy absolutnie sztuczne, na przykład łąki świeże, które są wytworem działalności człowieka. Istnieją, bo człowiek kiedyś wykarczował las, potem kosił. Gdybyśmy je zostawili, toby porosły lasem. Ale te łąki są bardzo różnorodne, tam jest dużo owadów.

Czyli bioróżnorodność nie jest odpowiednią miarą dzikości albo naturalności. Wciąż jednak nie mam odpowiedzi, dlaczego ma-

my nie wytwarzać zielonej energii w danym miejscu, dlatego że żeruje tam jakiś orzeł albo rośnie mało efektywna roślina.

– Wiemy, że ten region jest jednym z najcenniejszych przyrodniczo w Polsce, bo tutaj występują gatunki wskaźnikowe dla lasów naturalnych i pierwotnych, tak jak w Puszczy Białowieskiej – mówi Klub.

– Chodzi o orliki? – dopytuje. – Przecież gatunki migrują albo przystosowują się do warunków, więc może orlik też może.

– Nie, chodzi o takie organizmy małe, niepozorne. Mchy, wątrobowce, porosty, owady, tzw. saproksylobionty, czyli takie, które żyją w drewnie.

Na opowiadaniu o tych organizmach skupiają się też przewodnicy po Puszczy Białowieskiej. To ze względu na nie z lasów, które mają pierwotny charakter, nie wynosi się złamanych drzew. Gnijące pnie są same w sobie skomplikowanymi ekosystemami, w których funkcjonują łańcuchy bakterii, grzybów, owadów. W ekologii wyróżnia się, obok biosfery czy atmosfery, nekrosferę – całą materię zmagazynowaną w zwłokach roślin i zwierząt, którą z powrotem do obiegu wprowadzają padlinożercy czy rzeczono-saproksylobionty.

Kiedy się je spotyka – ciągnie Klub o organizmach wskaźnikowych – to znaczy, że ekosystem jest bardzo cenny przyrodniczo, bo w znacznym stopniu pierwotny, czyli mało przekształcony.

Wyobraźmy sobie Polskę tysiąc lat temu – opowiada. – Cała jest porośnięta lasami. Gatunki, które nazywamy wskaźnikowymi, występują wszędzie. Ale potem zaczyna się wylesianie. W XX wieku lesistość Polski spada już do 12-14 proc., potem się na części tych terenów sadzi lasy, ale to są na przykład monokultury sosnowe. Ekosystemów, które pamiętają Chrobrego, mamy niewiele. Puszcza Białowiecka, Tatry, Bieszczady – takie tereny były trudno dostępne, nie za bar-

dzo dało się nimi gospodarować. Dziś są jak rodzinny w cieście. Turnicki Park Narodowy to taki rodzynek.

W tym ujęciu można patrzeć na ekosystemy, które mają cechy pierwotne, jak naabytki. W książce „The Nature of Nature” Enric Sala – dawniej profesor biologii, specjalista od przyrody oceanów, a dziś odkrywca na etacie (tak, tak nazywa się to stanowisko) współpracujący z „National Geographic” – nawiązuje do pożaru Notre Dame, podczas którego spłonęły bale podtrzymujące strop.

Takich bali nie ma już nigdzie we Francji, pisze. „Dziś znaleźć je można już tylko w nielicznych miejscach. W rumuńskich Karpatach czy w Puszczy Białowieskiej. W Białowieży zachwycam się trzydziestometrowymi dębami, dość starymi, by mogły rzucać cień na ostatnie z dzikich żubrów – tych, które widać na rysunkach naskalnych sprzed 30 tys. lat. Te miejsca są nieliczne, rozrzucone, i znikają. Rumuńscy drwale nielegalnie wycinają największe obreby nieruszonych ludzką ręką lasów w Europie, a część polskich urzędników narusza przepisy Unii Europejskiej i próbuje ciąć w Białowieży. Ale żadni miliarderzy nie pojawili się po tych wydarzeniach w telewizji, nie obiecywali setek milionów dolarów, żeby ocalić ostatni pradawny las w Europie. Notre Dame, wieża Eiffla, Big Ben, ruiny Partenonu, by wymienić tylko kilka – to część naszego niezmiennego krajobrazu kulturowego. Wszyscy oczekujemy, że nadal będą stały. Czy świat przyrody nie powinien być traktowany podobnie?”.

No dobrze, ale co z tym orlikiem? Taki orlik – albo inny gatunek, który nie jest uzależniony od bardzo specyficznych, niszowych warunków – może przecież się przemieścić. Dlaczego tak ważny jest w tym konkretnym miejscu, na przykład w Łodzin-ce?

– Powołując się na ochronę danego gatunku, możemy rozciągać ochronę szerzej, na całe ekosystemy – wyjaśnia Klub. – Jeśli udokumentujemy gdzieś gniazdo orlika albo orla przedniego, to on będzie chroniony strefowo, czyli w kręgu wokół jego gniaz-

■

Mamy w Belchatowie wielką dziurę w ziemi, mamy hałdy pokopalniane. Nie trzeba projektować farmy fotowoltaicznej akurat tam, gdzie żyją derkacz, orlik, centuria pospolita i kukulka krwawista

da, a rozmiar tego okręgu zależy od tego, jak daleko od gniazda dany gatunek żeruje. Tak możemy stworzyć mikrozrezerwat.

Te konkretne gatunki są mocno wkomponowane w polskie i międzynarodowe przepisy. Często łatwiej więc powołać się na ochronę tego czy innego ptaka czy ssaka niż całego ekosystemu.

Kolejny argument za ochroną konkretnych gatunków wynika z czegoś, co nazywa się kaskadą troficzną. Przyjrzyjmy się zniknięciu wilka.

Jednym z zadań wilka jest regulowanie populacji jeleni. Sala przywołuje amerykański park Yellowstone, w którym ostatniego wilka widziano sto lat temu. Bez wytrzebionego wilka rozmnożyły się jelenie. Pa-sły się w całym parku, również na już bezpiecznych otwartych przestrzeniach, gdzie spomiędzy traw wyjadały młode sadzonki drzew. Objadały też brzegi rzek, więc nie rosły korzenie, które mogłyby chronić brzegi przed naporem wody. W rzekach brakowało z kolei cienia, bez którego nie mogły przetrwać niektóre organizmy wodne.

Dlatego w 1994 r. do parku na nowo wprowadzono wilka. Efekt? „Tych trzydzie-

ści jeden wilków i ich następne pokolenia zadziało jak inżynierowie krajobrazu”, pisze Sala. „Wilki uregulowały liczebność jeleni, ale także wpłynęły na zmianę ich zachowań. Jelenie zaczęły mniej czasu spędzać na otwartej przestrzeni. W ciągu kilku lat drzewa na brzegach rzek zaczęły odrastać. Wraz z rozrostem habitatów drzewnych wzrosła populacja ptaków śpiewających. Topole, osiki i wierzby znowu rzucały cień i chłodziły strumienie, ograniczały erozję i dostarczały osłony dla ryb i innego życia wodnego”.

Mając z tyłu głowy historie o wilkach, jeleniach i brzegach rzek, pytam, czy z orlikiem jest podobnie – jego zniknięcie destabilizuje cały ekosystem?

– Nie używamy tego argumentu, bo jest trudny do udowodnienia – odpowiada Klub. – Nie wiemy dokładnie, co się stanie, kiedy zniknie orlik.

To jeden z kluczowych problemów, na które natrafia każdy, kto próbuje przewidywać konsekwencje jakiejś zmiany w ekosystemie. Złożoność ziemskiego życia jest tak ogromna, a środki na badania tak skromne, że przeważająca część zamieszkujących ziemię gatunków i ich ekosystemów pozostaje nieopisana. Szacuje się, że samych roślin i zwierząt jest ok. 8,7 mln. Odkryto ledwie 1,2 mln. O większości gatunków żyjących na ziemi zwierząt i roślin nie wiemy.

Do pełnego zrozumienia nawet niewielkiego ekosystemu potrzebne są skomplikowane badania na wielu poziomach – od fizjologii konkretnych grup organizmów po analizę ich interakcji czy łańcuchów krążenia energii. Pamiętacie z biologii obieg azotu w przyrodzie? Krowa je trawę, wydziela odchody, odchody są przetwarzane, azot się uwalnia, a potem znowu zasila trawę, którą je krowa... To coś podobnego. Tylko wielokrotnie bardziej skomplikowanego.

– Z tego powodu kierujemy się zasadą przezorności – odpowiada na moje wątpliwości dr Jakub Rok z organizacji Inicjatywa Dzikie Karpaty, kolejnej, która zaangażowała się w zatrzymanie inwestycji w Łodzince Górnej. – Nie wiemy, jakie mogą być konsekwencje, więc zachowujemy się bardzo ostrożnie.

– Orlik żywi się głównie gryzoniami – wyjaśnia Klub. – Jak postavimy farmę fotowoltaiczną, to trudniej mu będzie polować, osłabnie albo zniknie. Znikając stąd może też orzeł przedni, który żeruje w podobnych miejscach. Wtedy populacja gryzoni może zacząć rosnąć i zagrażać uprawom. Czasami jest tak, że jednego drapieżnika może zastąpić inny, a jeszcze kiedy indziej, jak znika ekosystem, to znika i drapieżnik, i ofiara. Nie ma gotowego opisu tego ekosystemu, który by nam powiedział, co dokładnie się stanie.

Klub, i Rok zgadzają się, że fotowoltaika jest bardzo ważna, podobnie jak inne niskoemisyjne źródła energii. Ale raz, że farmy wokół Birczy miały być ogromne, a wpływ na przyrodę ogromnej instalacji jest nie tylko większy niż mniejszej pod względem zasięgu, ale też jakościowo inny – zmienia całą okolicę. Dwa: jest wiele miejsc, gdzie można stawiać podobne farmy, nie wyrządzając przy okazji takich szkód środowisku.

– Mamy w Belchatowie wielką dziurę w ziemi, mamy hałdy pokopalniane – mówi Klub. – Dobrym pomysłem jest instalowanie paneli nad autostradami, które absolutnie nie mają żadnej bioróżnorodności, a ptaki i tak na nich giną. W sumie ta sytuacja wokół Birczy może przynieść korzyść wszystkim. Bo firmy rozumieją, że niektóre tereny stwarzają problemy, więc czas i pieniądze od razu przeznaczają na inwestycje w optymalnych lokalizacjach.

Pora wracać do domu. Temperatura przekracza 35 stopni. Przez dwa dni widziałem tylko kilka chmurek. Na szczęście na wsi, daleko od betonu, wieczory dają chwilę wytchnienia.

Gospodarz w agroturystyce, w której się zatrzymałem, codziennie konewką podlewa rośliny dookoła domu. Ziemia wystająca spomiędzy kęp trawy jest popękana jak na solnej pustyni. ●

KTO MNIE URZEKŁ

*Kilka sztucców po mojej babci***Młoda wdowa potrafiła wynająć okazały lokal, zdobyć klientelę i w trzy lata stworzyć restaurację na wysokim poziomie**

WIESŁAW MARCINIAK*



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

W

W rodzinnym archiwum jest zdjęcie. Fotograf uwiecznił wyjątkową chwilę. Kilka stołów, na nich jesiotr, wokół zgromadziła się rodzina restauratorów. Druga od prawej, w pierwszym rzędzie, właścicielka lokalu Zacisze Marianna Marciniak. Obok niej mój przyszły ojciec Kazimierz.

Był rok 1922, a w roli głównej wystąpiła ryba złowiona w Wiśle i przetransportowana wozem drabiniastym do restauracji.

Jesiotr, jak informują naukowe opracowania, osiąga długość do 10 metrów, wagę do 200 kg. Jego naturalnym środowiskiem są syberyjskie rzeki, a wywodzi się z ery mezozoicznej, kiedy na świecie grasowały dinozaury. Co jakiś czas na przestrzeni wieków wędrował na tarło w górę rzek, cza-

sem docierał nawet do Wisły. Ten konkretny zaplątał się w sieci rybaków i tak znalazł się w menu restauracji Marianny Marciniak.

Lokal Zacisze był na początku XX wieku znany w mieście i okolicy. Babcia, jak przystało na bizneswoman, dbała o klientów, serwując wyszukane potrawy. Zamieszczała także na łamach lokalnej prasy anonse reklamujące ofertę kulinarną swojej restauracji.

Młoda wdowa, która przybyła z wielkopolskiego Koła, potrafiła wynająć okazały lokal, zatrudnić rodzinę, zdobyć klientelę i w trzy lata stworzyć restaurację na wysokim poziomie, mimo czyhającej na potknięcia konkurencji.

W tamtych czasach poczytywano sobie za honor, aby stołować się „u pani Marianny”. Modny był swoisty snobizm na wykupowanie abonamentu obiadowego w tym lokalu. Z czasów, gdy jako uczeń odwiedzałem Zacisze, pamiętam, że na obiady przychodzili urzędnicy kolejowi i właściciele pobliskich zakładów – Fabryki Maszyn Rolniczych Kronenberga oraz Fajansu.

Moje szczególne zainteresowanie budziły dostawy ryb i raków. Przywozili je rybacy w wiklinowych pojemnikach i dawały jeszcze oznaki życia. Przykro było oglądać raki zanurzane we wrzółku i patroszone ryby. To

wówczas wyrobiłem sobie empatię dla tych stworzeń. Interes babci rozwijał się, zdobywał nowych bywalców – aż wybuchła wojna. Po wyzwoleniu władze komunistyczne zgębiły dobrze prosperujący biznes tzw. domiarami, czyli dodatkowymi podatkami, za pomocą których komuniści postanowili rozstać się z prywatną inicjatywą. Babcia ich nie udźwignęła. Pozostało jej po lokalu tylko kilka talerzy i sztucców.

A także optymizm i energia życiowa. Utkwiło mi w pamięci jej zamilowanie do przyrody. Do tej pory czuję zapach końskiej sierści, kiedy zorganizowała dla ośmioletniego brzdąca wyprawę do rezerwatu w Kulinie. Żeby pokonać cztery kilometry z centrum Włocławka do bajecznego świata przyrody, trzeba było wynająć dorożkę.

Kiedy odbywaliśmy z babcią wyprawę do Kulina, formalnie rezerwatu jeszcze nie było. Powołano go w 1967 roku, doceniając bogate ptasie życie i unikatową roślinność tamtejszych lasów i łąk. Taką choćby jak dyptam, zwany również gorejącym krzakiem Mojżesza. To roślina wydzielająca olejki eteryczne, które pod wpływem ciepła płoną pomarańczowym ogniem. Unikatowe w Europie zjawisko przywodzi na myśl rozległe przestrzenie stepów. Dotarło

to do mnie, gdy na studiach polonistycznych analizowaliśmy „Stepy akermiańskie”.

Ale wtedy z babcią po prostu podziwiałem: aleję grabów o srebrzystej korze, całe kobierce zawilców, dziewanny i dzwonka syberyjskiego dostojnie szubujące nad naszymi głowami sokoły wędrownie, orły bieliki, bociany czarne. Nie udało mi się wówczas zauważyć ani zimorodka, ani żurawia, ale zrekompensował nam ich nieobecność koncert, jaki urządziły pozostałe ptaki.

Przysłuchując się im spod dębu, odbywaliśmy coś, co dziś ma nazwę – terapię poprzez kontakt z naturą. Pozbywaliśmy się stresu.

Zrelaksowani wracaliśmy do miasta przez most na Wiśle. Przed nami panorama miasta, a w dole królowa polskich rzek.

Wówczas, w latach 50., w pełnym rozkwicie była położona nad Wisłą Fabryka Celulozy i Papieru. Często spuszczano do wody resztki lugu i nurt pokrywała biała piana. W tamtych czasach nikt nie przywiązywał wagi do ekologii.

Fabryka nie przetrwała transformacji ustrojowej i upadła, podobnie jak wiele zakładów przemysłowych Włocławka. Książkę po katastrofie opisał Piotr Witwicki w wydanej w zeszłym roku książce „Znikają-

ca Polska” (Zysk i S-ka). Jakiż kontrast w porównaniu z czasami boomu, jaki był udziałem miasta w latach 60. i 70.! Wtedy przemysł był dźwignią prestiżu Włocławka.

A jego dumą były wyroby ceramiczne, powszechnie określane nazwą „włocławki”.

Charakterystyczną cechą tych produktów były niebieskie zdobienia na talerzach, paterach i dzbanach. Fachowcy używali określenia – kolor kobaltowy.

Peerełowskie Zakłady Ceramiki Stołowej były spadkobiercą wcześniejszej Fabryki Fajansu, która od 1873 roku specjalizowała się w produkcji talerzy, pojemników kuchennych, serwisów śniadaniowych i obiadowych oraz galanterii. Była zlokalizowana przy ulicy Żelaznej (później Kościuszki), w pobliżu restauracji mojej babci.

Czas rozkwitu kobaltowych „włocławków” to lata 70. Zrodził się snobizm na wazonach, paterych, misach, dzbanach, tortownicach, pucharkach, bombonierkach, kufle. „Empik” – Klub Międzynarodowej Prasy i Książki – powstał jako inwestycja towarzysząca Zakładowi Azotowym – otrzymał efektowną mozaikę w reprezentacyjnym holu. Ułożona z tysięcy kawałków pozyskanych z potłuczonych naczyń iskrzyła się barwami tęczy.

Działalność Klubu i innych instytucji kultury zazębiała się z funkcjonowaniem Zakładów Ceramiki Stołowej. Działająca od 1945 roku fabryczna wzorcownia skupiała wybitnych artystów plastyków, którzy projektowali nowe kształty i wzory wyrobów.

Wdzięcznym przykładem kooperacji lokalnego przemysłu i kultury było wyprodukowanie przez „Ceramikę” posagowej skrzyni kujawskiej. Miniaturowa wersja zdobnej zabytkowej skrzyni ze zbiorów Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej służyła jako bombonierka dla wyrobów czekoladowych z Zakładów Wytwórczych „Społem”. „Słodka” skrzyneczka była popularną pamiątką, niczym dzisiejsze cukierniczo-designerskie gadżety z Mozartem, Chopinem czy Napoleonem. Wręczano ją ambasadorom z całego świata, zapraszającym regularnie do Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki.

Współpraca pomiędzy fabryką „włocławków” a artystami i instytucjami kultury przybierała wyjątkowe rozmiary podczas organizowanego regularnie co dwa lata Biennale Fajansu Włocławskiego. Udział w nim stanowił zwieńczenie pracy: formierzy, szklwierzy, robotników wypalających formy w piecach, plastyków i malarek. Mimo stopniowej automatyzacji procesu technologicznego na konkursach dominowało rękodzieło, inspirowane między innymi ludowymi twórcami z Kujaw. W roku 1979 zakład dysponował 13 tysiącami wzorów dekoracji!

Zakłady zaczęły staczać się po równi pochyłej w latach 90. Fabryka próbowała się ratować, na przykład kupując sterowaną komputerowo włoską linię do formowania talerzy, ale wszystko na nic. W ruinach hulał wiatr i szumią topole. Dobrze chociaż, że pamięć dawnej świetności podtrzymuje rzemieślnicza manufaktura.

Pod transformację nadeszła reforma administracyjna z 1999 roku, która na dobre pozbawiła miasto oddechu. Jak na ironię przetrwały najcięższe i najbardziej inwazyjne zakłady. Największy, produkujący sztuczne nawozy i polichlorek winylu Anwil zaznacza swą obecność pomarańczową chmurą dymu nad miastem. 60 lat później nadal nikt nie przywiązuje wagi do ekologii?

Wśród pamiątek po czasach rozkwitu pozostał włocławianom stopień wodny, czyli spiętrzenie Wisły – pierwsze z wielu projektowanych przez władze PRL i jedyne, jakie powstało.

Abymie wpisać się w chór krytyków transformacji, wypada przypomnieć, że Włocławek na przestrzeni wieków przeżył niejedną upadłość. W XVII wieku po spłądrowaniu przez Szwedów tak stracił na znaczeniu, że dawną nazwę – Włocław – przekształcono w mały Włocławek, adekwatnie i do sytuacji gospodarczej, i do populacji.

W II RP, choć prosperująca restauracja mojej babci może na to nie wskazywać, też nie zawsze bywało różowo. Międzywojnie to czas częstych protestów robotników „Celulozy”, co przedstawił Igor Newerly w powieści „Pamiętka z Celulozy”. To wtedy pojawiło się w publicznym obiegu stereotypowe określenie „czerwony Włocławek”.

„Czerwony”, czyli robociarski i komunistyczny – propaganda PRL chętnie wykorzystywała to skojarzenie. Ale „czerwony Włocławek” ma zupełnie inne korzenie; sięga aż do XVI-wiecznego pisarza Sebastiana Klono-wica, który opisując podróż Wisłą do Gdańska w poemacie „Flis to jest spuszczenie statków Wisłą i naszymi rzekami do niej spadającymi”, tak scharakteryzował miasto: *Poniżej w lewo czerwieni się dawny Włodławek, księżą, cłem i piwem sławny; Tam ci też pewnie zahamują statek, Zapłać podatek*

Czy w czasach Klonowica Wisła prze-dzierała się, jak dziś, pośród malowniczych pagórków? Wszak rzeka przez stulecia przesuwiała koryto, nieraz o setki metrów. Ale za mojego dzieciństwa nurt już płynął korytem o wysokich brzegach. Nazywaliśmy je górkami. Magiczne miejsce, gdzie odkryłem świat motyli, żerujących na wy-bu-jających ostach. Jakie okazy tam przylatywały! Od pospolitych bielinków kapustników, poprzez pawie oczka, rusalki, aż po rzadkiego już wtedy pazia królowej. Pamiętam zachwyt nad kształtem wzorów i nasyceniem barw na subtelnych skrzydłach tych owadów. Wtedy zacząłem je kolekcjonować.

W przypadku tej pasji też nie obyło się bez udziału babci Marianny.

Dopingowała mnie do powiększania zbiorów, a ojciec za jej namową zlecił znajomemu stolarzowi wykonanie profesjonalnej gabloty. Kolekcja rosła szybko, bo wszystkie wolne chwile poświęcałem na zdobywanie kolejnych, coraz bardziej kolorowych motyli. Jedynie przedpołudnia pozostawały bez odwiedzin zaczarowanej okolicy.

Przyczyna była prozaiczna. Jako sześciolatek rozpoczynałem już edukację i codzien-nie odbywałem pieszą wędrówkę do oddalonej o cztery kilometry podstawówki.

Rozkład dnia był ustalony: w szkole do dwunastej, a po lekcjach odwiedziny w restauracji babci. Zajądałem się frykasami serwowanymi przez bufet. Wciąż przechowuję w pamięci, niczym Proust magdalenki, a papież kremówki, smak białego mięsa z raków oraz mózdzku cięłego na grzance zrumienionej tartą bułką.

Moja pierwsza szkoła mieściła się na placu Staszica i była tak zwaną szkołą ćwiczeń dla młodych nauczycieli. W okazałym budynku uwagę przykuwały ogromne kolumny i portale. Skąd one się tam wzięły? Od babci dowiedziałem się, że były to pozostałości po cerkwi, rozebranej w 1925 roku, kilka lat po odzyskaniu niepodległości.

Jej żywot był krótki – wybudowana w latach 1902-06 była w stylu bizantyjskim ze złożonymi kopułami i służyła stacjonującym we Włocławku żołnierzom rosyjskich pułków. Innym żołnierzom ze Wschodu, tym razem radzieckim, którzy wyzwolili Włocławek spod okupacji niemieckiej, wystawiono w tym samym miejscu pomnik Wdzięczności – obelisk zwieńczony czerwoną gwiazdą. On przetrwał dłużej niż cerkiew; w 1989 roku, na fali przemian postanowiono, że obelisk będzie bez gwiazdy i zmieniono napis. Aktualny brzmi: „Żołnierzom polskim”.

...

Rośliny, zwierzęta, owady – od brzdąca nie umiem żyć bez nich i pośród nich. To spuścizna, którą pozostawiła mi Marianna Marciniak z lokalu Zacisze, kobieta, która była kimś więcej niż bizneswoman – inspiratorką obdarzoną talentem zarażania innych pasjami. Dziękuję, babciu. ●

***Wiesław Marciniak** - polonista, dziennikarz, doktor nauk społecznych, nauczyciel akademicki w Kujawskiej Szkole Wyższej we Włocławku

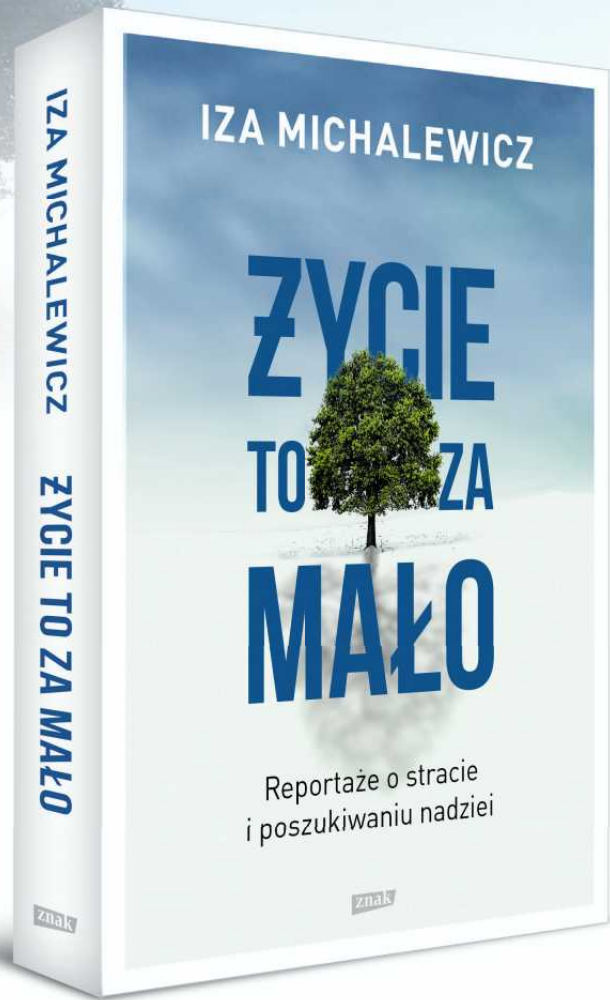
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Życie to za mało.
Reportaże o stracie i poszukiwaniu
nadziei” Izy Michalewicz



*Najważniejsze reportaże finalistki
Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.
Polska ostatnich lat odbita w poruszających
i wstrząsających tekstach Izy Michalewicz.
Niemał dwie dekady historii ludzi,
których los wystawił na niewyobrażalne próby.*

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Życie to za mało. Reportaże o stracie i poszukiwaniu nadziei” Izy Michalewicz oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

ZTMR22P

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

FOT. MACIEJ ENGLERT

DO TRZECH OSŁÓW SZTUKA

Nigdy bym nie powiedział o moim zwierzęciu,
że ono zdechło.
Nie, nasz pies odszedł od nas

Z **JERZYM SKOLIMOWSKIM***,
REŻYSEREM NAGRODZONEGO W CANNES „IO”,
ROZMAWIA **JACEK SZCZERBA**

Czy to prawda, że „Na los szczęścia, Baltazarze” (1966) Roberta Bressona to jedyny film, na którym pan płakał?

– Może nie płakałem, ale miałem łzy w oczach. To niesłychanie wzruszająca scena, gdy w finale ten biedny osiołek umiera, a owce idą wokół niego, dzwoniąc dzwoneczkami. Żałowało się tego osła: był najsympatyczniejszą postacią w całym filmie. Ta scena przekonała mnie, że zwierzę jest w stanie wzruszyć bardziej niż człowiek. Osioł przecież niczego nie grał, ale wierzyło się w jego śmierć.

Drugiego filmowego osła poznał pan, kręcąc „Przygody Geralda” (1970) według Arthura Conana Doyle’a, fabule z czasów wojen napoleońskich.

– Nie dawałem sobie z nią rady, nie wiedziałem, jak się robi zawodowy film. To była duża produkcja dla United Artists, z ogromnym budżetem. Przyzwyczajony do peerelowskich zasad, oszczędzając taśmę, dzieliłem sceny na poszczególne ustawienia kamery. Nie miałem pojęcia o istnieniu czegoś takiego jak master-shot. Widocznie opuściłem zajęcie w szkole w Łodzi, co zresztą było dla mnie typowe. Bo ja zdałem do szkoły po to, żeby nakręcić własny film, a nie po to, żeby nauczyć się kręcić filmy. Jako młody człowiek byłem chyba tak zadufany w swoje możliwości, że wydawało mi się, że nie muszę się niczego uczyć. Że mój film mam już w głowie.

Na planie „Przygód Geralda” ziemia pałała mi się pod nogami. Producenci rozważali, kim by mnie zastąpić. Znaleźli Czecha Jiříego Weissa. On już nawet po-

jawił się na planie we Włoszech, żeby spojrzeć, jak sobie nie radzę. Pewnego dnia pozwolił sobie się wtrącić. Kręciliśmy scenę, w której Claudia Cardinale i Peter McEneery byli związani liną, na której mieli zawisnąć, dosyć dramatyczną. Weiss spróbował ich podreżyserować. Nagle Claudia podniosła głos: „Proszę mnie rozwiązać. Ja już dzisiaj nie występuję”. I zeszła z planu. Gdy producenci poprosili ją o rozmowę, powiedziała: „Jeżeli wyrzucicie z filmu Jerzego, ja też odchodzę”.

To była piękna, młoda kobieta. Miała cudowny szorstki głos, niższy, niż zwykle mają kobiety. I była nieszczęśliwa. Nie układało się jej w małżeństwie z producentem Franco Cristaldim. Eksploatował ją bezlitośnie: podpisywał jej kontrakty, zbierał całą kasę, źle ją traktował.

A tamten osioł to było sympatyczne zwierzę. Stanowił mallownicze tło. Woził worki z pomarańczami. Gdy kiedyś wracaliśmy z planu, zrobiono mi kilka zdjęć na jego grzbiecie. Lubilem go. Podczas breaku na lunch każdy dostawał pudło z jedzeniem, ludzie gromadzili się pod namiotem, ale ja szedłem do stajenki i jadłem z nim. Pamiętam swoją przemowę do niego: „Wiesz, ty jesteś tu jedyny, który mnie rozumie”. Bo osioł miał smutny wyraz oczu. Tymczasem wokół trwał wesoły rozgardiasz: Włosi, gdy dostaną kawalek pizzy, są szalenie szczęśliwi.

Teraz w „Io” mamy trzeciego osła. Jak to się stało, że został bohaterem pana filmu?

– Nigdy nie robiłem filmu, w którym zwierzę gra jedną z głównych ról. Co najwyżej były jakieś

epizodzik z psem. Ale od dłuższego czasu mieliśmy z Ewą [Pia-skowską], z którą napisałem ostatnie trzy filmy, na to ochotę. Przypuszczaliśmy, że jeśli do tego dojdzie, to będzie pies. Bo pies zawsze był z nami, jest i będzie. Ja w młodości w życiu zawsze miałem psy, zdarzały się koty. Ale niepokojąca była świadomość, że to się ociera o banał. Powstało przecież tyle wyciskaczy leż o psach.

„Lassie, wróć”.

– Chociażby. Zdecydował przypadek. Życie rzuciło nas na Sycylię, w okolice Palermo. Przez kilka lat uciekaliśmy tam przed fatalną aurą w Polsce, od końca listopada do połowy kwietnia.

Pewnego dnia odkryliśmy, że pięciotysięczne miasteczko Custonaci urządza gigantyczną szopkę, w grocie nad morzem, wielkiej jak hangar – wysokiej na kilkadziesiąt metrów, szerokiej na prawie sto. Mieszkańcy mają rekwizyty i stroje z różnych epok dające wrażenie obrazka z przeszłości. Nie wiemy, czy to ilustruje wiek XIV, czy XIX. Ale wygląda pięknie, kolorowo. Przy jednym

stoisku wyciskają winne grona i robią wino, przy innym wyciskają oliwki i robią oliwę. Albo pieką pizzę. Trochę z boku golibroda goli, jak przed wiekami, w knajpce nad szklanką wina kilku podpitych jegomości gra w karty, tuż obok hafciarka haftuje. Atmosfera jest fantastyczna.

Gdy dochodzi się do końca grotu, w półmroku widać stajenkę ze Świętą Rodziną: Matką Boską, Świętym Józefem i Dzieciątkiem. Wokół nich biegają kury, geśi i kaczki. Są ogromny czarny byk z groźnymi rogami, jakaś krowa, owce.

Ta Święta Rodzina to żywi ludzie czy figurki?

– Dorosli to ludzie, Dzieciątko to dobrze dobrana lalka. A trochę z boku stoi osioł. Wszystkim udziela się atmosfera podniecenia. Tylko on jeden zachowuje stoicki spokój, nie boi się, nie wzdyga. Gdy zobaczyliśmy z Ewą tego osła, natychmiast porozumieliliśmy się, niemal bez słów, że to jest zwierzę, które przez 90 minut mogłoby skupić na sobie uwagę widzów. Tylko pojawiło się pytanie, jak tego osła dopro-

• ur. w 1938 r., legenda polskiego kina; reżyser, scenarzysta, aktor, malarz. Wielokrotnie nagradzany na najważniejszych festiwalach. Współautor scenariusza do „Niewinnych czarodziejów” Wajdy oraz „Noża w wodzie” i „The Palace” (2022, jest w postprodukcji) Polańskiego. Autor m.in. filmów „Rysopis”, „Walkower”, „Bariera”, „Ręce do góry”, „Start”, „Na samym dniu”, „Wrzask” (Grand Prix Jury w Cannes ’78), „Fucha” (nagroda za scenariusz w Cannes ’82), „Latarniowiec” (Nagroda Specjalna w Wenecji ’85), „Cztery noce z Anną”, „Essential Killing” (Nagroda Specjalna w Wenecji 2010), „11 minut”. Jako aktor grał we własnych filmach, a także m.in. u Tima Burtona, Volkera Schlöndorffa, Davida Cronenberga, Andrzeja Wajdy i Władysława Pasikowskiego. W „Avengers” (2012) torturował Scarlett Johansson.

• Do kin wchodzi właśnie jego najnowszy film, nagrodzony w Cannes polski kandydat do Oscara – „Io”.

wadzić do Polski z Custonaci. Bo wiedzieliśmy, że chcemy zrobić polski film, gros akcji powinno się dziać w Polsce.

To działo się w grudniu 2019. Żalowaliśmy, że następna okazja sfilmowania szopki pojawi się dopiero za rok. Dlatego wykładając własną kasę, błyskawicznie zorganizowaliśmy przyjazd na Sycylię jednego z najlepszych polskich operatorów – Michała Englerta. Wypożyczył kamerę, dobrał ostrzyciela, kogoś od światła, dźwiękowca, i w pierwszym tygodniu stycznia 2020 zdążyliśmy zrobić trzy dni zdjęć w Custonaci. W ten sposób mieliśmy kilka minut filmu, zanim w ogóle powstał scenariusz.

Potem przyszła pandemia, zostaliśmy uwięzieni na Sycylii. A to, co Michał nakręcił w Custonaci, ostatecznie nie weszło do „Io”.

Właściwie dlaczego?

– Bo to byłby o jeden element za dużo. Nadmiar fabularyzowania. Chociaż wymyśliliśmy i napisaliśmy kilka wersji scenariusza, w których szopka się mieściła. W jednej z nich ksiądz ma tak ostry konflikt z macochą, że mszcząc się, zabiera osła, którego jej przywiózł, i lokuje go w stajence. Tyle że później się upija, osioł mu się wymyka.

Montując film, wciąż go jednak skracaliśmy. Zrozumieliśmy, że nie jest konieczne wyjaśnianie przejścia z jednego epizodu do następnego, bo ważny jest tylko osioł. Ludzkie historyjki wystarczy naszkicować, im krócej, tym lepiej. Na przykład epizod z Isabelle Huppert miał 40 minut, był prawie cztery razy większy niż to, co znalazło się w filmie. Rozszadziłby całość.

W noc przed oddaniem filmu wycięliśmy jeszcze pięć minut.

No właśnie – jest w „Io” Francuzka Isabelle Huppert, a miała być Włoszka Sophia Loren.

– Od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że potrzebne jest nazwisko, które podeprze rangę „Io”. Pokaże, że to nie jest amatorski film ze wschodniego kraju, lecz solidna europejska produkcja. Ponieważ szykowaliśmy fabułę polsko-włoską, któż miałby w niej reprezentować Włochy, jeśli nie Sophia? W jednym z dokumentów pomagających nam w zdobywaniu funduszy napisaliśmy, że idealną aktorką do roli hrabiny była by ona. Ta informacja, o charakterze poufnym, wyciekła. Gdy to się stało, już nawet nie zwróciliśmy się do Sophii.

Z Giny Lollobrigidy trudno byłoby zrobić hrabiankę, z Ornelli Muti również, więc zaczęliśmy szukać aktorki innej narodowości. Nasz producent wykonawczy Jeremy Thomas, który ma wspaniałe kontakty, dopomógł nam w przekonywaniu Isabelle, co wcale nie było łatwe.

Isabelle przewodniczyła wtedy jury festiwalu w Tokio, a my kręciliśmy zdjęcia w Polsce. O którejkolwiek godzinie do niej zadzwoniliśmy, zawsze była pod telefonem: o piątej rano, o siódmej, o jedenastej. Pytaliśmy: „Isabelle, czy ty nigdy nie śpisz?”.

U Bressona osioł Baltazar występuje w cyrku, pański Io również.

– Gdy mówi się o filmie z osłem w głównej roli, każdy od razu myśli o Bressonie. Dlatego nie dokładaliśmy starań, żeby się od niego oddalić. Wprost przeciwnie, jeśli można było Bressona sparafrazować, to czemu nie. Po pozostałe epizody w „Io” nie mają jednak z Bressonem nic wspólnego.

U Bressona osioł pojawia się w numerze cyrkowym sugerującym, że potrafi rachować.

– My natrafiliśmy na amatorski filmik z włoskim performerem występującym z osłem na jarmarkach. Osioł udaje, że kona czy mdleje, a on tego osła cuci: podnosi jego przednie łapy, nasłuchuje, czy bije mu serce, w końcu robi mu oddychanie metodą usta-usta. Wynajęliśmy tego osła. To Marietta – jeden z sześciu osłów grających w filmie.

dydata do Oscara. Powiedziała: „Czy ty wiesz, że kilka lat temu wraz z przyjaciółmi zainicjowałam akcję, którą niestety musieliśmy przerwać z powodu pandemii? Miała na celu wyeliminowanie z języka polskiego słów »zdychać«, »zdechły«. One uwłaczają zwierzętom. Bo zwierzęta umierają dokładnie tak samo jak ludzie”.

Chodzi o obronę godności zwierząt. Nigdy bym nie powiedział o moim zwierzęciu, że ono zdechło. Nie, nasz pies odszedł od nas.

W „Io” jest scena z fermy lisów.

– Cała ekipa ucierpiała przy niej psychicznie. W „Io” protestujemy nie tylko przeciwko przemysłowej hodowli zwierząt na mięso. Zresztą oboje z Ewą bolejemy, że wciąż nie jesteśmy stuprocentowymi wegetarianami, aczkolwiek

mikrofony. Nie mogliśmy się na to zgodzić.

Wtedy strona włoska na 48 godzin przed rozpoczęciem zdjęć, gdy mieliśmy wykupione bez-zwrotne bilety lotnicze, dała znać, że wycofuje się z tych zdjęć. 90 procent filmowców by się poddało, my zaczęliśmy się zastanawiać, gdzie w Polsce jest pałac, który mógłby uchodzić za włoski.

Gdzie?

– W Wilanowie. Tyle że tam nie wpuszczają ekip z kamerami. Na szczęście dyrektor Paweł Jaskanis dał się przekonać: „Macie szczęście, że w jednym skrzydle odbywa się remont, więc tam was wpuszczę”. „A może byśmy mogli i kaplicę sfotografować?” – spytałem, przestępując z nogi na nogę. Dyrektor się zgodził.

Te odwołane cztery dni zdjęć w Rzymie były przeznaczone dla

„Io” po nagrodzie w Cannes robi międzynarodową karierę.

– Film sprzedano do dwudziestu kilku krajów, w tym tak egzotycznych, jak Indonezja, Chiny i Pakistan. W Ameryce dystrybuują go ludzie, którzy wprowadzili na ekrany oscarowe „Parasite” i „Drive My Car”. Następne pół roku spędzimy, jeżdżąc po świecie. „Io” ma zaproszenie na 51 festiwalu, w połowie listopada film wchodzi do kin w Paryżu, BFI Distribution kupiło „Io” na Wielką Brytanię.

Nagrody na festiwalu w Gdyni pan jednak nie dostał, ku zdziwieniu wszystkich obserwatorów.

– Najbardziej byłem zdumiony wywiadem szefa jury dla radiowej Trójki, w którym mówił coś takiego: „Skolimowski ma

Claudia Cardinale podniosła głos: „Proszę mnie rozwiązać. Ja już dzisiaj nie występuję”.

I zeszła z planu. Gdy producenci poprosili ją o rozmowę, powiedziała: „Jeżeli wyrzucicie z filmu Jerzego, ja też odchodzę”

Dlaczego w roli Io występuje aż sześć osłów?

– Wożenie jednego osła po Europie byłoby zbyt stresujące dla zwierzęcia i niesłuchanie kosztowne. Główna zasada pracy z osłem, którą odkryliśmy bardzo szybko, jest taka, że on pracuje najlepiej, gdy osły są dwa: samiec i samica. Osioł samiec zawsze podąża w kierunku samicy. Dlatego gdy ustawialiśmy jakiś pasaż, na jego końcu stała samica. Ale i tak zdarzało się, że osioł zatrzymywał się nagle i nie chciał zrobić kroku. Nie reagował na krzyki, na popychanie. Musieliśmy rozgryźć, dlaczego tak się dzieje. Kiedyś się okazało, że metr dalej leżał kabel, który elektrycy próbowali ukryć, ale osioł go zobaczył i nie chciał przez niego przejść.

Jest wiele ras osłów. Wybraliśmy najłatwiejszą do znalezienia we Włoszech – sardyńską: z krzyżem z czarnego futra na grzbiecie. Taka jest Marietta i włoska para: Rocco i Mela. Osłem sardyńskim znalezionym w Polsce był Tako, samiec, który od razu wzbudził naszą sympatię: sam podszedł, pozwolił się poklepać. Obsadziliśmy go momentalnie. Trzeba było tylko dobrać do niego ośliczkę – to była Hola. Ona ma najładniejsze oczy, więc najczęściej występuje w zbliżeniach.

Szósty osioł to Ettore, pojawiający się we wzruszających flashbackach z nim i Sandrą. Michał Englert nakręcił je jeszcze na Sycylii.

„Io” to zdecydowanie film w obronie zwierząt.

– Wczoraj zadzwoniła do mnie Krysia Zachwatowicz-Wajda z gratulacjami po wytypowaniu „Io” jako polskiego kan-

konsumpcję mięsa udało nam się zmniejszyć o dwie trzecie.

Protestujemy też przeciwko hodowli zwierząt futerkowych, zupełnie niewybaczalnej. To okrucieństwo w stanie czystym. Osobnik, który w filmie paskudnie traktuje lisy, jest autentycznym pracownikiem fermy wykonującym swoje codzienne czynności. Zarejestrowany materiał okazał się tak mocny, że daliśmy tylko fragmencik, żeby to było strawne dla widza. Ale mimo to w zbliżeniach pyszczków lisów widać trwogę. Pytamy: Gdzie jest ta słynna „piątka dla zwierząt”? Dlaczego w Polsce tego typu proceder wciąż pozostaje legalny?

Nie chciałbym jednak mówić wyłącznie o okrucieństwie wobec zwierząt. W „Io” jest również dużo poczucia humoru, są śmieszne sceny, które pozwalają się zrelaksować.

Praca w kilku krajach musiała nastręczać trudności. Pamiętam opowieści filmowców z czasów PRL-u, którzy robili zdjęcia na Zachodzie, nie mając pozwolenia na kręcenie.

– Przed kamerą mamy pięć krajów. Trzy czwarte zdjęć powstało w Polsce. Żeby móc filmować przejazd przez Alpy, musieliśmy zdobyć pozwolenie na konkretną trasę, od tego odcinka do tego. Zamykano tam wtedy dla nas boczne drogi. Takiej partyzantki jak kiedyś nie da się już prowadzić.

Do największego kryzysu doszło, gdy nasi włoscy partnerzy wynajęli rzymski pałac Chigi, z pięknymi wnętrzami, w których Visconti kręcił „Lamparta”. Ale wynajęli nie w całości – równolegle miała się odbywać sesja rady miejskiej z udziałem kilkuset osób przemawiających przez

Huppert i jej pasierba księdza. Okazało się, że następne cztery wolne dni Huppert będzie miała między 21 a 24 grudnia 2021. A nie muszę tłumaczyć, czym jest u nas kręcenie w Wigilię. Nikt nie chce pracować już trzy dni przed świętami. Nasza ekipa poszła nam jednak na rękę. Dzięki jej za to!

Z połączenia Rzymu z Wilanowem wybrnęliśmy sprytnie. Ujęcie zaczyna się od włoskiej ulicy, z fiatami i z tamtejszymi autobusami. Potem wjeżdżamy do słonecznego rzymskiego ogrodu, kamera przemazuje się po murze, który ma kolor włoskiego pałacu, jest cięcie i... ksiądz odprawia mszę w kaplicy w Wilanowie.

No proszę, kino to jednak jedno wielkie kłamstwo.

– Wilanów to u nas nie jedyne. W innej scenie samochód księdza przestaje funkcjonować. Ksiądz wysiada, trzaska drzwiami. Idzie po autostradzie, dźwigając kanister. Dochodzi do włoskiej stacji benzynowej, gdzie wydarzył się makabryczny wypadek. Ciężarówki stoją, konie są wyładowywane, błyskają włoskie radiowozы, biegają carabinieri w niebieskich mundurach.

Wszystko to nakręciliśmy pod Warszawą. Musieliśmy malować samochody, sprowadzać mundury z Włoch. Żadna włoska stacja benzynowa nie zgodziłaby się, żeby u nich kręcić. Bo oni muszą zarabiać. I wstydziłoby się, że przytrafił się im wypadek.

Gdy będę oglądał „Io” po raz drugi, zwróć uwagę na logo stacji benzynowej.

– Nic pan nie zauważy. Logo starrannie wymazaliśmy.

już dosyć nagród, powinien wycofać film z konkursu. Mógł być fair wobec kolegów, dać szansę innym”. I dalej w duchu – nie pchaj się do naszej ekstraklasy, graj sobie w Champions League. A tymczasem „Io”, będąc współfinansowanym przez PISF, był regulaminowo zobowiązany do zgłoszenia do Gdyni. Li-czyłem, że moi wspaniali współpracownicy zostaną nagrodzeni: za zdjęcia, muzykę, dźwięk i montaż.

I co dalej? Jaki będzie następny projekt?

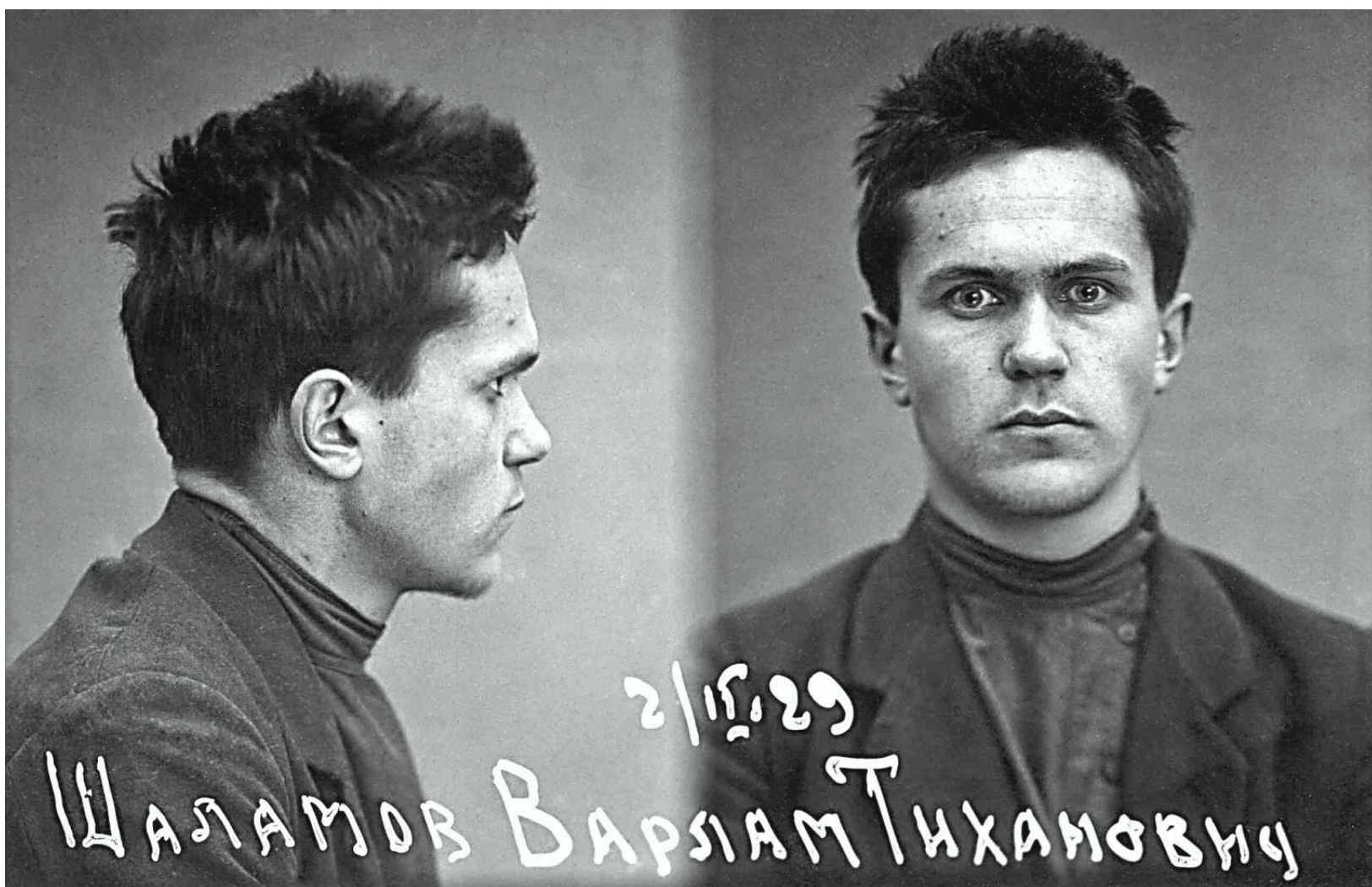
– Mam kompletną pustkę w głowie. A poza tym na szczęście mam drugi zawód.

Mówi pan o malowaniu?

– Maluję na Mazurach. Jest tam leśniczówka, a obok, w ogromnej stodole, moja pracownia. Zresztą niedawno zagrałem malarza w serialu HBO, który wyreżyserował Jacek Borcuch według scenariusza Jakuba Żulczyka – „Warszawianka”. Ja maluję obrazy artystyczne, a ten malarz z serialu jest komercyjny. Maluje głównie akty, w formacie trzy na pięć metrów. Jest sporo scen z nagimi modelkami. Będzie na co popatrzeć. ●

Adam Michnik poleca **Czytajmy Szalamowa**

Z PIEKŁA DO LITERATURY



Karać za wojnę rosyjską kulturę? To za Mussoliniego skreślmy Petrarke. A za Hitlera Goethego

Janusz Anderman

Kiedy 24 lutego rosyjskie wojska runęły na Ukrainę, podniosły się u nas kateryczne głosy, by za tę agresję surowo ukarać rosyjską kulturę i wyrugować ją raz na zawsze z naszego terytorium. W on z bibliotek, teatrów i sal koncertowych!

Pomysł, byśmy się nie zatrzymali więcej owocami Puszkina, Dostojewskiego, Czechowa, Bułhakowa, Mandelsztama, Achmatowej, Pasternaka, Solżenicyna, Brodskiego, Włodzimierza Jerofiejewa z jego godną potępienia powieścią „Moskwa – Pietuszki” i wielu innych, wydaje się świeży. Rzecz jasna pod warunkiem, że książki tych i innych autorów nie zapłoną na stosach, bo to już w historii było.

Nie ma też najmniejszego powodu, słyszy się surowe głosy, by dalej tolerować w filharmoniach jakichś Czajkowskich, Rachmaninowów czy Prokofiewów. Na cóż nam wreszcie Okudźawa, Galicz i Wysociki?

Oczywiście nie ma żadnych przeszkód, by na zasadzie symetrii ukarać parę innych wybranych krajów za ich przeszłość. Za Mussoliniego skreślmy więc Dantego, Tassa i Petrarke. Za Hitlera – Goethego, Kafkę i Tomasza Manna. Za Franco – Cervantesa. Takie zdecydowane pociągnięcia znacznie nas duchowo ubogacą.

I dąc tym tropem, za rosyjskie bestialstwa w Ukrainie powinniśmy także surowo osądzić Warłama Szalamowa. To pisarz, który spędził w łagrach 18 lat. Jest mniej znany od Solżenicyna, choć zdaniem znawców maestrii literacką góruje nad nim. Ale to Solżenicyn dostał Nobla.

Światowa sława Solżenicyna wybuchła nagle, a jej przyczyną była pewna sensacyjna decyzja: w 1962 r. I sekretarz partii Chruszczow, w ramach demaskowania metod stalinowskich, zezwolił na druk „Jednego dnia Iwana Denisowicza”. Książka – wstrząsający zapis łagrowej codzienności – ukazała się w piśmie literackim „Nowyj mir” i ten fakt, jak to się mówi, odbił się światowym echem.

Za olbrzymim rozgłosem poszły liczne tłumaczenia. „Jeden dzień Iwana Denisowicza” – także już w 1962 r. – drukowała u nas w odcinkach, w przekładzie Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego, „Polityka”.

Dwa lata później władzę przejął Breżniew, który uruchomił wobec Solżenicyna maszynę represji. To wtedy służby puściły w obieg plotkę, że w czasie wojny współpracował z gestapo. A w 1974 r. Solżenicyna, już noblistę i autora sławnego „Archipelagu GUŁag”, wsadzono do samolotu i bez prawa powrotu odtawiono do Frankfurtu nad Menem.

Szalamow urodził się w roku 1907. Gdy miał 22 lata, dostał pierwszy wyrok – trzy lata ciężkich robót za kolportaż tzw. testamentu Lenina. Był to list dogorywającego wodza do uczestników XIII zjazdu partii bolszewickiej, w którym przestrzegał towarzyszy przed nadmierną brutalnością Stalina. Krążył w odpisach, a samo jego posiadanie prowadziło do obozu.

W 1937 r., już za terroru, Szalamow dostał pięć lat łagru na Koločej. Oskarżono go o kontrrewolucyjną działalność trockistowską. W 1943, za określenie Iwana Bunina klasykiem literatury rosyjskiej, dorzucano mu dziesięć lat. Miał je spędzić „za drutami, gdzie na wrotach, jak wszędzie w sowieckich łagrach, wypisane były »niezapomniane« słowa: »Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa«” – jak pisał.

I dalej: „To straszne zobaczyć łagier. W łagrowym doświadczeniu wszystko jest negatywne – co do jednej minuty. Człowiek staje się jedynie gorszy. W łagrze jest wiele tego, czego człowiek nie powinien wiedzieć. Ale ujrzyć dno życia – to nie jest najstraszniejsze. Najstraszniejsze jest, gdy owo dno staje się własnością człowieka, gdy miara jego moralności zapożyczana jest z łagrowego doświadczenia”.

W starciu wielu ludzi z łagrem to łagier odniósł zwycięstwo. „To przyswojenie sobie takiego typu moralności, że »lepiej ukraść, niż poprosić«. Granica moralna jest bardzo ważną granicą dla więźnia. Jest to główny problem jego życia: czy pozostał człowiekiem, czy też nie”.

Oczywiście Szalamow, zapędzony do kopania węgla, złota i wyrębu tajgi, nie miał szans, by wyrok przeżyć. W 1946 r. był już wlokącym się do kresu, chorującym na tyfus „dochodzącą”. „W łagrze, aby stać się »dochodzącą« – cieniem człowieka, młody, zdrowy człowiek, rozpoczynający karierę w wyrobisku na »czystym powietrzu«, potrzebuje 20 do 30 dni przy 16-godzinnnej pracy bez wolnych dni, przy stałym głodzie, porwanej odzieży i noclegach w dziurawych brezentowych namiotach na 60-stopniowym mrozie; bijący dziesiętnicy, bijący starostowie – kryminaliści, bijący

konwojenci – przyspieszają nieco ten proces”.

Uratował go współwięzień, lekarz, kierując na kurs felczerski. Wykładali na nim wybitni naukowcy – więźniowie. Późniejsza funkcja felczera niemal gwarantowała przetrwanie i Szalamow przetrwał.

Szalamowa zwolniono w 1951 r., ale z Koločej udało mu się wyjechać dopiero dwa lata później. Wcześniej córka, aktywna komsomolka, podawała w ankietach, że ojciec nie żyje. W 1956 został zrehabilitowany, czyli władza zawiadomiła go, że 18 lat siedział niesłusznie. Może i niesłusznie, ale nie przez pomyłkę.

Pod koniec życia trafił do domu starców. Dyktował wiersze. Opanowała go polagrowa obsesja gromadzenia chleba na zapas i obawa, że zostanie ograbiony z cennego dobytku, choćby ręcznika. Sprowadzony prywatnie psychiatrę nie stwierdził jednak zaburzeń. Mimo to w 1981 r. komisja lekarska nakazała umieścić go w psychiatryku. Kiedy go tam przetransportowano, po dwóch dniach zmarł.

W 1961 r. Szalamow wydał tom wierszy, potem trzy następne. Dziełem jego życia były „Opowiadania koločejskie”, pisane w latach 1954-73. W ZSRR krążyły w samizdacie pojedyncze teksty, czytane przez ograniczony krąg wtajemniczonych. Z czasem opowiadania przenikały też na Zachód.

W Nowym Jorku emigracyjny „Nowyj żurnal” przez 11 lat drukował książkę w odcinkach. Redaktor nie przejmował się wymogiem autora, by opowiadania traktować jako całość, która jest przeznaczona do wydania książkowego, i sam komponował fragmenty, wyciągając je z tomu do druku, a czasem utwory poprawiał. W 1978 r., dzięki zabiegom wybitnego historyka Mi-

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Przewrócony

Janusz Rudnicki

S tacja Kędzierzyn-Koźle. Przyjechałem na pogrzeb, znowu ktoś zmarł, coraz mniej pod stopami tego piasku, coraz bardziej podmywa go woda, wiecie, kiedy stoi się na brzegu morza. I żeby tak nie przyjeżdżać, odjeżdżać i wracać jak powsinoga, bo znowu ktoś zmarł, postanowiłem zostać na dłużej.

Plecak na plecach, w nim ze dwadzieścia kilo, więc idę jak pod silny wiatr, którego nie ma. Na ramieniu ciężka torba, więc mnie znosi. Wyglądam jak w odbiciach krzywych luster i teraz. Teraz macha do mnie znad przeciwna jakaś kobieta. Kijkiem macha, nordic walking uprawia, w samym centrum miasta, ale Kędzierzyn tak mały, że centrum ma wszędzie.

Unoszę rękę, widać, że niepewnie. Widać po mnie, że jej nie poznaję, ale wychodzę z założenia, że znamy się na pewno. Ona typowa dla kobiet, które – chociaż w wieku wskazującym już na pewien wiek – trzymają się dziarsko. Z powodzeniem go ignorując. Ten typ babek z włosami na krótko, w okularkach, kolorowych sweterkach. Przy sobie, często grubcie. Żwawe, rubaszne, z przytupem żyją, skocznie. Konie z nimi kraść.

I teraz. Teraz potykam się, bo chodnik nagle ma jakieś wzdęcie, wyrzusza się, i lecę w dół. Nie od razu upadam, jeden długi krok, drugi, trzeci jeszcze, jeszcze się ludzę, że złapię prostą, ale nie. Plecak za ciężki, torba za ciężka, chodnik już, czytają tuż-tuż, padam. Prawie pod jej nogi. Boli, ale udaję, że nie.

Ona szturcha mnie kijkiem, potrąca jak truchło jakieś i pyta, czy żyję, a potem: No to czemu nie wstajesz? Bom pogruchootany cały, głupia babo o kijkach, i lewy bark mnie napierdala, i lewa ręka, bom na nią spadł, myślę w duchu, a głosem odpowiadam: Nie chce mi się, śpiący jestem.

Śpiący? Ona na to, i dalej, że dobre to, i że zawsze poczucie humoru lepsze miałem „od honoru”, i że ja chyba jej nie pamiętam, ona mnie też nie od razu poznała, myślała, że widzi „jakieś zjawisko optyczne”, bo jakoś tak krzywo szedłem, ale po chwili już poznała, ja też powinienem, bom się kochał w niej w podstawówce tak, że na jej widok jakby ktoś chlusnął na mnie wiadrzem z farbą, taki byłem czerwony, ale potem, po tym badaniu moczu, zaczęłam ją unikać.

To ona? Moja pierwsza miłość? Ola? Oczywiście? I tak samo płochliwa? Niewinna jak biały kółnikrzyk jej mundurka? To prawda z tym moczem, dzień kłęski miłości mojej pierwszej. Wolałbym nie pamiętać, zapomnieć, ale ona wierci mi dziurę w mózgu tym kijkiem, ona pastwi się nade mną, o tym dniu trajkocząc jak najęta. Jak to staliśmy całą klasą pod ośrodkiem zdrowia, na badania jakieś, a każdy przynieść miał ze sobą mocz.

Swój? Pytam, jej „ha, ha” i jej „ty jak coś powiesz”, i dalej, że podpisać trzeba było nazwiskiem, no i ty przyszedłeś z dużą butelką po mleku, złotkiem zatkaną, a my wszyscy mieliśmy małe, w kieszeniach, i wtedy wychowaw-

czyni zapytała: Co ty masz w tej butelce? I ty wtedy już czułeś, że coś nie tak, i powiedziałeś „mleko”, a ona: Tak? Żółte? Wydoileś chińską krowę, Rudnicki? I podpisałeś własnym nazwiskiem, żeby nikt ci tego nie wypił?

Wiem, już skończ, ty paplo, wiem, klasa zamieniła się wtedy w armatę i zaczęła strzelać we mnie salwami, śmiechu, tak, ale śmiech drwiący gorszy przecież od kul. Ola też, walczyła ze sobą, ale nie wytrzymała, stałem i marzyłem o tym, żeby w butelce była benzyna, żebym mógł się nią oblać i podpalić. Nie wiedziałem, że tego moczu wystarczy trochę, myślałem, że bada go cały, bo co za sens badać go w jednym jego miejscu, kiedy coś złego może być w drugim. Uciekłem z miejsca wypadku i roztrzaskałem butelkę o mur. I to był koniec tej nieszczęsnej pierwszej miłości mojej, koniec i kropka, bez wielokropka.

Ona ciąg dalszy. Ty wiesz, że wywróciłem się na głupocie prostego ludu? A wiesz, co mnie najbardziej zaskoczyło, jak byłam pierwszy raz w Niemczech? Że oni nie kładą płyt blisko drzew, zostawiają piasek. Bo oni wiedzą, że natura to nie człowiek, nie można z nią wygrać. Że prędzej czy później korzenie wypchną chodnik i nie będzie prosto jak na tafl, tylko fale z kamienia będą. A peerełowski proletariatus był na to za głupi i dlatego leżysz. No, lecę do wnuków, zobacz na zdjęcie, jakie bobasy.

Schyla się i pokazuje, i mówi, jak wstajesz, to wpadnij do nas, poznam cię z moim, czterdzieści lat przy jednym dyszlu. I idzie, odchodzi, a ja leżę.

Sam, późnym wieczorem w tym mieście pusto, wszyscy siedzą w swoich kopcach, od czasu do czasu jakaś taksówka, zwalnia, macham ręką, że nie potrzebuję, jedzie dalej. Dziadek jakiś nagle przystaje i mówi, a, to pan, pan jest synem Wieśki, co jej się tak zmarło szybko, byliśmy sąsiadami, cholera, nie zdążyłem do sklepu, miałby pan może pozyczyc sól? Tak po sąsiedzku? Ma szczęście, zawsze noszę przy sobie kilo soli, więc mu dałem, ucieszył się i poszedł.

Gapię się na drzewo, to, które przewróciło mnie korzeniami. I z nudów zaczynam sobie myśleć. Że proza jest jak ono właśnie. Jej treść to pień, a forma to gałęzie. Za dużo ich, nie widać pnia, to złe. Za mało ich, widać tylko pień, to złe. Korzeniami są cytaty, jako dowód, że piszący ma głębię, że z czegoś wyrosta, inaczej jest jak drzewo bez korzeni, czyli nie ma go w ogóle.

Głód, prawą ręką wyjmuję konserwę rybną z plecaka, makrelę w sosie pomidorowym, zębami szarpię za zawleczkę. Ziemia ma jądro, płaszcz i skorupę, a na niej, w Kędzierzynie na ulicy Jednego Maja, czyli Pierwszego, ale zawsze mówiliśmy Jednego, na niej ma leżącego człowieka, który je z puszk. I wygląda jak pomnik rozbitka na wzburzonym Morzu Plebejskim. I który zaraz, pogruchootany, zaśnie i nie będzie czuł, jak bezdomny kot zlizuje mu z twarzy sos. ●

PO PRAWDZIE

10 telefonów do rzecznika Kaczyńskiego

Panie prezesie, to w końcu ilu Polaków wyrzucono z niemieckiego pociągu?

Agnieszka Kublik



J arosław Kaczyński właśnie znowu objeżdża wyborców. Przed tygodniem w Opolu przemawiał o reparacjach od Niemiec: „Nie możemy się ciągle zgadzać na to, że jesteśmy tymi gorszymi. To jest dokładnie to samo, co można czasem jeszcze dzisiaj, a może i nie czasem, spotkać w Niemczech – że na przykład polscy eurodeputowani jadą w niemieckim pociągu w pierwszej klasie, dosiada się Niemiec, orientuje się, że to Polacy, wzywa konduktora, żeby ich wyrzucił”.

No cóż, jeśli z kogoś stworzysz wroga, musisz z nim wojować.

Ale to rzecz jasna skandaliczna historia. O ile miała miejsce. Piszę „o ile”, bo znaczące jest, że wcześniej o tym nie słyszeliśmy – a przecież prokaczyńskie media takie coś by natychmiast podchwyciły.

Dlatego usiłowałam się dowiedzieć od Radosława Fogla, rzecznika Kaczyńskiego, o kim jego pryncypał opowiadał. Telefonów nie odbierał (wykonałam 10 jednego dnia), na esemes z prośbą o konkrety prezesowskiej anegdoty nie zareagował.

Cóż, mam prawo domniemywać, że z tymi konkretami jakiś kłopot jest.

Dziennikarze Interii twierdzą, że tę historię zna europoseł Karol Karski z PiS. Ale Karski nie chce ujawnić, o kogo chodzi. Bo może ta osoba ujawni się sama.

Zaraz, zaraz, to jedna osoba? Bo Kaczyński wspomniał o kilku. No i kiedy to się działo? Posel tajemniczo rzuca, że ostatnimi czasy i że nic więcej powiedzieć nie może. Przyznaje w końcu, że to była sytuacja oburzająca, ale choć się oburzył, to nie zareagował. Postawmy tu kropkę – mówi. I ją stawia.

Ja nie.

Europosłowie wskazują na profesorów Zdzisława Krasnodębskiego i Ryszarda Legutkę, bo często podróżują niemieckimi pociągami. Z zasady europosłowie jeżdżą za darmo, w pierwszej klasie, bilety (z miejscówką) zamawia się u unijnych

urzędników. Ale zasadniczo najczęściej latają samolotami, w klasie biznes, gdzie można się raczyć alkoholem (i to w dużych ilościach).

Dzwonię do obu profesorów. Profesor Krasnodębski: „Nie wiem, o co chodzi, nie będę tego komentował”. Dociskany, czy sam miał kiedykolwiek takie nieprzyjemne doświadczenie w niemieckim pociągu, życzy mi dobrego dnia i się rozłącza.

Czyli nie miał. Profesor Legutko jest bardzo zajęty, ale jego asystentka informuje mnie, że na pewno nie chodzi o jej szefa, nigdy się nie skarżył, że był ofiarą takiej sytuacji.

Nie, wcale nie zakładałam, że Kaczyński kłamie. Ale by uwierzyć, potrzebuję konkretnych – czy coś się w tym niemieckim pociągu naprawdę wydarzyło?

O których europosłach opowiadał Kaczyński?

Kiedy to miało miejsce? W jakim pociągu – międzynarodowym, regionalnym?

Na terenie Niemiec? Kim był ów Niemiec, np. w jakim był wieku?

Jak argumentował konieczność „wyrzucenia Polaków z pierwszej klasy”?

Czy europosłowie dyskutowali z nim o jego żądaniu?

Jak ta dyskusja przebiegała?

Jak zareagował konduktor?

Czy wyrzucił Polaków z pierwszej klasy?

Jak się wtedy zachowali ci europosłowie?

Czy poprosili o interwencję kierownika pociągu?

Jak zachował się kierownik?

Czy złożyli jakąkolwiek skargę na zachowanie owego Niemca?

Dlaczego do tej pory milczeli o tym skandalu?

I dlaczego milczą nadal?

Opowiadanie tej historyjki posłużyło Kaczyńskiemu do kolejnego ataku na Niemców, dla których „jesteśmy tymi gorszymi”, a sami „udają, że są moralnym mocarstwem”. „Musimy światu uświadomić poprzez potężny atak informacyjny, można go nazwać nawet propagandowym, że to nieprawda” – oświadczył Kaczyński w Opolu.

Trudno nie odnieść wrażenia, że ta „pociągowa anegdota” to właśnie ów „potężny atak informacyjny, nawet propagandowy”. Tak, Kaczyński ma pociąg do insynuacji.

Ale jeśli Niemcy dyskryminują polskich europosłów w niemieckich pociągach, a niemiecka kolej się na to zgadza, to jest skandal. Aż dziwne, że do tej pory Kaczyński o tym nie trąbił na całą Europę. ●

PS Niemieckie koleje od razu zapewniły, że „nie akceptują przejawów rasizmu ani dyskryminacji, czy to wobec klientów firmy, czy też jej pracowników”, bo „kulturowa różnorodność, otwartość, tolerancja i szacunek są podstawowymi wartościami Deutsche Bahn”. Do tej konkretnej sytuacji DB się nie odniosło, bo jest mało konkretna.

W PONIEDZIAŁEK I WTOREK W „WYBORCZEJ” DODATKI SPECJALNE

Jak pielęgnować kwiaty domowe

Gdzie je postawić, czym nawozić, jak często podlewać

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34122815

2 Jak pielęgnować rośliny pokojowe cz.1

Nephrolepis wyniosły

W Polsce popularna jest forma o cielistach, ale w Wielkiej Brytanii rośnie w formie zwisłej, w formie kaskadującej. Cielisty rośnie na niepowierzchni.

Nawożenie: W okresie wegetacji raz na dwa tygodnie.

Podlewanie: Raz na dwa tygodnie, w okresie wegetacji.

Stanowisko: Cień.

Ważne informacje: Nephrolepis jest rośliną epifitną, nie należy jej sadzić w glebie. W Polsce popularna jest forma o cielistach, ale w Wielkiej Brytanii rośnie w formie zwisłej, w formie kaskadującej. Cielisty rośnie na niepowierzchni.

3 Jak pielęgnować rośliny pokojowe cz.1

Asparagus pierzasty

Asparagus pierzasty (Asparagus setaceus) to roślina z dzikim wyglądem, naturalnie występująca w Azji, Afryce i Ameryce Południowej. W Polsce popularna jest forma o cielistach, ale w Wielkiej Brytanii rośnie w formie zwisłej, w formie kaskadującej. Cielisty rośnie na niepowierzchni.

Nawożenie: W okresie wegetacji raz na dwa tygodnie.

Podlewanie: Raz na dwa tygodnie, w okresie wegetacji.

Stanowisko: Cień.

Ważne informacje: Asparagus pierzasty jest rośliną epifitną, nie należy jej sadzić w glebie. W Polsce popularna jest forma o cielistach, ale w Wielkiej Brytanii rośnie w formie zwisłej, w formie kaskadującej. Cielisty rośnie na niepowierzchni.

wyborcza

JAK PIELEGNOWAĆ ROŚLINY POKOJOWE

DZIŚ: CZĘŚĆ 1. JUTRO: CZĘŚĆ 2.

Adenium arabickie

Podlewanie: Raz na dwa tygodnie, w okresie wegetacji.

Stanowisko: Cień.

Ważne informacje: Adenium arabickie jest rośliną epifitną, nie należy jej sadzić w glebie. W Polsce popularna jest forma o cielistach, ale w Wielkiej Brytanii rośnie w formie zwisłej, w formie kaskadującej. Cielisty rośnie na niepowierzchni.

CZUŁE SŁÓWKA

Alegoria

Co się stanie, jeśli zamiast dekonstruować wypowiedź Andrzeja Dudy, spróbujemy uwierzyć mu na słowo?

Michał Rusinek



Na pogrzebie prof. Marii Janion wybrzmiały słowa Olgi Tokarczuk. Najczęściej cytowany i komentowany był następujący fragment: „Największą chorobą naszych czasów stał się literalizm – tendencja do ograniczającej myślenie dosłowności. Pierwszym jej objawem jest brak zdolności do rozumienia metafory, potem pauperyzacja poczucia humoru. Towarzyszy jej skłonność do wydawania ostrych, pochopnych sądów, nie tolerując niejednoznaczności, nie rozumie ironii i – w końcu – powoduje powrót dogmatyzmu i fundamentalizmu”.

Słowa te – dość niespodziewanie – wziął sobie do serca prezydent Andrzej Duda. W przemówieniu wygłoszonym z okazji otwarcia przekopu Mierzei Wiślanej nie użył wprawdzie pojęcia „literalizm”, ale w gruncie rzeczy zarzucił grzech literalizmu tym, którzy oczekiwali po inwestycji kosztującej 2 miliardy złotych literalnego kanału, którym będą mogły przepływać literalne statki towarowe. „Nie chodzi, proszę państwa, o to – mówił prezydent – czy tutaj będą mogły przepływać największe statki. Od tego, by odbierać towar z największych statków, mamy inne porty. Od tego, by ładować największe statki, mamy inne miejsca na wybrzeżu Rzeczypospolitej. Chodziło o to także, by symbolicznie ta droga była otwarta. By nie trzeba było pytać o zgodę kraju, który nie jest krajem nam przyjaznym”.

Można więc powiedzieć, że do metafory oraz ironii, o których wspominała Tokarczuk, Duda dodał jeszcze jeden semantyczny środek stylistyczny: symbol. Współczesne słowniki terminów literackich definiują go jako motyw, który jest „znakiem treści głęboko ukrytych i niejasnych, mający za zadanie kierować ku nim myśl czytelnika”. Prezydent mówi więc nam, żebyśmy patrząc na przekop, nie widzieli przekopu, lecz „zwycięstwo” i „suwerenność”. Żebyśmy patrząc na płynące nim kajaki (bo w zasadzie nic innego tak płytkim kanałem nie przepłynie), widzieli w nich potęgę naszej suwerennej floty. Tak samo jak w wiośnie widzimy nie wiosnę, ale Polskę. Niestety.

Z kontekstu wypowiedzi prezydenta Dudy wynika jednak, że mówiąc o symbolu, miał on na myśli alegorię. Symbol ma jedno znaczenie dosłowne i nieukończenie wiele znaczeń ukrytych. Alegoria natomiast podlega jednej tylko interpretacji, zazwyczaj określonej jakąś konwencją, znajomością pewnego kodu. Jeśli na przykład oglądamy religijny obraz, na którym przedstawiona została gołębica, to wiemy, że jest ona alegorią Ducha Świętego – o ile oczywiście znamy konwencję, to znaczy kod ikonografii chrześcijańskiej. Jeśli go nie

znamy, to może być ona przez nas albo rozumiana dosłownie (jako ptak), albo symbolicznie (jako niebiańska czystość i niewinność, poselstwo nowin niebiańskich, zwiastowanie duszy, uskrzydłonych dążeń, natchnienia, ofiary, pokory, miłości, uciech miłosnych, prawdy, mądrości, wróżby, pokoju, poczty, prostoty, łagodności, melancholii – wymieniam za „Słownikiem symboli” Kopalińskiego). Duda nam mówi, że mamy rozumieć przekop Mierzei symbolicznie, ale de facto każe nam go rozumieć alegorycznie, ogranicza bowiem tego symbolu interpretację do jednej, właściwej, zgodnej z kodem patriotyzmu i polityki historycznej. Symbol pozwala na różne interpretacje, alegoria – na jedną. W tym przypadku pożądaną przez autorów i wybijającą oręż z ręki potencjalnym krytykom.

Co się jednak stanie, jeśli zamiast dekonstruować wypowiedź Andrzeja Dudy, pokazując, że co innego mówi (symbol), a co innego robi (alegoria), spróbujemy uwierzyć mu na słowo? Jeśli mówi, że przekop to symbol, to tak właśnie jest. Wówczas prezydencka interpretacja będzie tylko jedynie jedną z możliwych, a nie jedyną właściwą. I takie też tendencje można zauważyć wśród komentatorów. Część z nich zauważa, że jeśli traktujemy przekop jako symbol, czyli swego rodzaju pomnik, to bez względu na to, co symbolizuje, jest to najdroższy pomnik w historii naszego kraju. Romantycy zdają się mówić, że symbol pomnik jest wart każdych pieniędzy. Pozytywiści – że granice naszej miłości do pomników powinny jednak wyznaczać elementarny pragmatyzm i gospodarność. Ironiści zauważają, że ta władza zdolna jest do dokończenia wyłącznie symbolicznych inwestycji, i „chwała”, że przekop wytrzymał dłużej niż ławeczki. Lingwiści sugerują, że za niefunkcjonalny i czysto propagandowy przekop Polacy powinni zrobić PiS-owi skuteczny „wykop” w wyborach. Intertekstualiści dostrzegają w tym symbolu podobieństwa do „Misia” Barei: „To jest kanał na miarę ich możliwości. Oni tym kanałem otwierają oczy niedowiarkom. Patrząc, mówią, to nasze, przez nas wykopane, i to nie jest nasze ostatnie słowo!” – pisał na Twitterze Marek Belka.

Oczywiście Andrzej Duda mógłby, powołując się na autorytet noblistki, oskarżyć wszystkich krytyków przekopu o grzech literalizmu. Przecież jego słów także nie można traktować literalnie. Mówił o symbolu, ale miał na myśli nie literalny symbol, lecz alegorię! Tu jednak tkwi pewien szkopuł. W gruncie rzeczy alegoria jest bowiem figurą przekładu jednego znaczenia (dosłownego) na drugie (alegoryczne). Nie mamy zatem do czynienia z pożądaną w symbolu – a także metaforze czy ironii – niejednoznacznością, o której mówiła Olga Tokarczuk, ale z przekładem jednej literalności w drugą. Alegoria nie pozwala nam zmyć z siebie grzechu literalności, a właściwie zmywa go jedynie pozornie, bo pozostawia nas z inną, wskazaną przez interpretatora. Nie tylko nie chroni nas zatem przed – dobrze nam znanym – dogmatyzmem i fundamentalizmem, ale także stanowi ich fundament. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że równie trwałe jak betonowy falochron będący elementem przekopu, na którym już pojawiły się pęknięcia. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Dlaczego nikt się nie chce z wami bawić

„Słysząc wycie, znakomicie” to najgłupsze polskie zdanie.

Marcin Matczak



Prezydent nadał Antoniemu Macierewiczowi Order Orła Białego, co wwołało dwa poważne spory: prawnicy o to, czy mógł, i ogólnospołeczny o to, czy powinien.

Prawnicy wskazali, że ustawa o orderach i odznaczeniach nie pozwala wystąpić z wnioskiem o nadanie orderu czynnemu posłowi. Służby prezydenta odparły, że ten zakaz obowiązuje wtedy, gdy o nadanie orderu ktoś prosi głowę państwa, nie wtedy, gdy nadaje ona order z własnej inicjatywy. Przecież sama do siebie wniosku nie będzie składać, w końcu głowa wie, co myśli. Trump powiedział ostatnio, że nie musiał oficjalnie znosić klauzuli tajności z dokumentów, które zabrał do domu po prezydenturze – mógł to zrobić w swoim umyśle. Nie takie rzeczy w głowach prezydentów się dzieją.

Profesor Piotrowski wsparł argumentację Kancelarii Prezydenta – artykuł drugi ustawy przewiduje dwa osobne tryby odznaczania: na wniosek i z inicjatywy głowy państwa, a zakaz odznaczania czynnego posła literalnie dotyczy trybu pierwszego. Poza tym prezydent ma prerogatywę, a z tego faktu według jego służb wynika, że może je wykonywać, jak chce.

Czyżby? Gdy w prawie pojawia się wątpliwość, rozstrzyga się ją przez odwołanie do zasad. Obserwując od siedmiu lat PiS i prezydenta Dudę, dochodzę do wniosku, że oni także rozstrzygają wątpliwości, odnosząc się do zasad, tyle że w ich przypadku zawsze jest to zasada „teraz, k..., my”. Ale nie o nią chodzi.

Gerald MacCallum w artykule o interpretacji prawniczej przywołuje stary i niepolityczny przykład wątpliwości prawniczej. Profesor mówi do studenta: „Przynieś mi popielniczki!”. Polecenie literalnie nie mówi, jak je zrealizować. Czy student powinien przejść się po kampusie i zebrać nieużywane, stojące na parapetach popielniczki? Czy też powinien zabierać popielniczki osobom, które ich aktualnie używają, lub wyrzynać te na stałe wmurowane w ściany, aby zrealizować polecenie?

Jeśli rozumieć je literalnie, polecenie nie wyklucza drugiego, brutalnego rozwiązania. Wykluczają je zasady społeczne, których w samym poleceniu nie ma: nakaz poszanowania godności drugiego człowieka i zakaz niszczenia cudzego mienia. Dlatego gdy ma się wątpliwość, którą z możliwych interpretacji przyjmą, trzeba odwołać się do ducha prawa – pisanych i niepisanych zasad.

Myślę, że gdyby prezydent Duda był tym studentem zbierającym popielniczki, gorliwie wyrwałby je z rąk zaskoczonych palaczy i młotem pneumatycznym rozrywałby ściany uniwersytetu. Tak przynajmniej postąpił w przypadku orderu – wybrał rozwiązanie, które wzburzyło i upokorzyło wielu ludzi. Zasada, że odznaczeń nie przyznaje się osobom zaangażowanym w bieżące, zażarte spory polityczne, ma głęboki sens. Orzeł Biały dla wybitnego Polaka powinien być świętem wspólnoty. W przypadku Ma-

cierewicza, który ma historyczne zasługi, ale przesłonił je okrutnym smoleńskim kłamstwem, jest raczej pokazem politycznej siły. Ma upokorzyć, nie łączyć. Może prezydent kierował się inną przesłanką z ustawy o orderach? Czynnego posła można odznaczyć w czasie wojny, a prezydent i PiS taką wojenkę przecież permanentnie toczą. Z własnym narodem.

Żeby unaocznić to, jak Orzeł Biały dla Macierewicza upokarza, warto przemyśleć inny przykład. Organizujesz wesele swojego dziecka i zastanawiasz się, czy zaprosić zasłużonego dla rodziny wujka, który aktualnie jest jednak aktywnie włączony w spór o spadek po zmarłej kilka lat temu babci. I to spór gwałtowny – wujek opowiada na mieście, że babcia nie zmarła naturalnie, a jej testament został sfalszowany. Ostatnio, by dowodzić tych chorych tez, wymusił nawet na prokuratorze jej ekshumację, sprawiając niewyobrażalny ból całej rodzinie. Nie ma dowodów, ale ma pieniądze i finansuje rozmaite „analizy”, przez co niszczy jakikolwiek sens żałoby, której ta rodzina bardzo potrzebuje.

Wszyscy mówią, że zapraszanie wujka to zły pomysł. Ale ty masz nadzieję, że będzie z tego korzyść, bo wujek sygnie kasą. Ostatecznie go zapraszasz, gdy przyjeżdża, witasz kwiatami, a potem wychodzisz na środek sali jak wodzirej i krzyczysz: „Świętujmy!”. I dziwisz się, że nikt nie chce się z tobą bawić.

Nadanie Orderu Orła Białego, naszego najwyższego odznaczenia, powinno być wspólnym celebrowaniem cech, które jako Polacy uważamy za wielkie i godne naśladowania. Co celebruje uhonorowanie Macierewicza, człowieka z dawnymi zasługami, który jednak obecnie wykorzystuje w okrutny sposób narodową tragedię dla politycznego zysku, niszcząc spokój żywych i umarłych? Czy mamy świętować wyrachowanie polityczne, które gra ludzką rozpaczą? Ten order jest upokorzeniem dla wielu Polaków, bo zamiast być pokazem empatii, jest pokazem politycznej siły – „zrobimy, co nam się podoba, bo możemy”. Dodatkowo nie pozwala uszanować historii Macierewicza, ponieważ jest ona widziana przez aktualne działania i emocje. Respektowanie zakazu z ustawy o orderach, ale i zwykły ludzki rozsądek mogły temu zapobiec.

Elektorat PiS mówi jednak: „słysząc wycie, znakomicie”. To jednocześnie najbardziej sadyistyczne i najgłupsze polskie zdanie: miarą wartości czegoś działania ma być nie jego sensowność, ale oburzenie, które napotyka? Prezydent wiedział, jaka będzie reakcja na order dla Macierewicza. Wie także, że poniżeni ludzie odpowiadają agresją lub bezsilnością. Czy był nieczuły, czy jednak na tę reakcję liczył? Agresja pokazałaby jego elektoratowi, że to ta druga strona jest zła. Bezsilność spowodowałaby apatię, co także jest politycznie korzystne. I tak, i tak order się politycznie opłaci, bo jeszcze bardziej podzieli Polaków.

Według filozofki i psycholożki Cristiny Bicchieri niepisane zasady są gramatyką społeczeństwa. Kto ich nie przestrzega, ten nie mówi, ale bełkocze, wykrzykując wobec innych wrogie, niezrozumiałe słowa. Nadając order Macierewiczowi, Duda naruszył te niepisane społeczne zasady: zasadę empatii i zakaz pogłębiania podziałów. Zamiast celebrować czyjeś życie, wybrał polityczny triumf. Zamiast gestu pojednania wołał walczyć orderami i ponownie naruszył delikatną tkankę społecznej spójności.

Andrzej Duda – prezydent niektórych Polaków. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW



NAJTRUDNIEJSZA „WEEKENDÓWKA” W HISTORII?

Autorem wielu haseł jest **Adam Wajrak**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Piszecie do mnie Państwo o rekordowych „Weekendówkach”. Rekordowych ze względu na czas, jaki poświęciliście na ich rozwiązanie. Piszecie też z prośbą o podanie jakiegoś hasła, na które nijak nie udało się wpaść – hasło odgadnięte, ale w diagramie kilka kratek jest pustych. Właśnie przez to jedno hasło.

Cóż, myślę sobie, że wszelkie rekordy mogą być właśnie dzisiaj złamane. A w zasadzie nie dziś, tylko za czas jakiś, bo dzisiejsza „Weekendówka” jest chyba najtrudniejszą, jaką Wam zaproponowaliśmy...

Otóż 1 października obchodzony jest na Starym Kontynencie Europejski Dzień Ptaków. W Polsce wydarzenie przypada na pierwszy weekend października, a koordynuje je Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków. Cel jest jeden, za to bardzo ważny – chodzi o uświadomienie, jak istotna jest ochrona ptasiej populacji i ich lęgówisk.

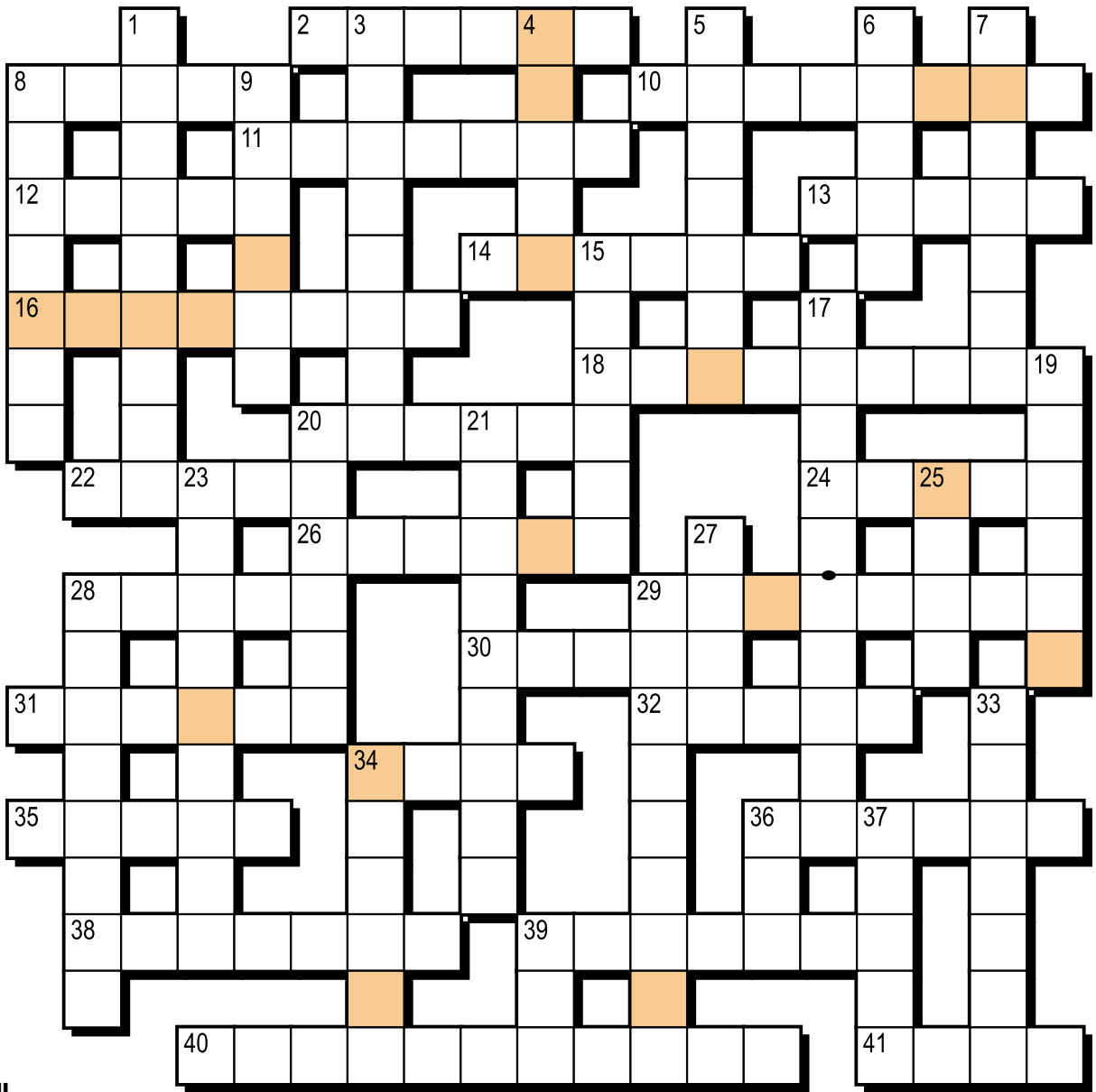
Październik to czas odlotów ptaków do ciepłych krajów i generalnie ptasiej migracji. Dlatego idealny czas, by poobserwować ptaki, a przy okazji dowiedzieć się czegoś o nich, bo Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków zachęca do organizacji oraz uczestnictwa w okolicznościowych imprezach, spacerach, wycieczkach (zajrzyjcie na <https://otop.org.pl>).

Taka pogłębiona wiedza z pewnością przyda się przy rozwiązywaniu dzisiejszej „Weekendówki”, bowiem jak już z pewnością się domyśliliście, tematem jej będą ptaki. Pytania, umówmy się, do łatwych nie należą, ale za to jaka satysfakcja będzie, jeśli się Państwo z nimi uporacie. Tym bardziej że w tej krzyżówce pomagał nam Adam Wajrak, człowiek-instytucja. Dziennikarz, działacz na rzecz ochrony przyrody, znakomity jej znawca. Ponadto autor licznych książek przyrodniczych i doskonały fotograf.

Jego zdjęcia trznadli, szpaków, sów czy zimorodków – wymieniam celowo jedynie ptasich modeli – są zachwycające.

Pozostaje mi życzyć Państwu powodzenia, a także pięknej, jesiennej pogody na ten weekend, żeby wykorzystać ją na „ptasie spacer”. A zatem lecimy z „Weekendówką”!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 19 z 24.09: **STACJA KOŃCOWA LINII**

PTAKI

Hasła Adama Wajraka oznaczono inicjałami (AW). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 2)** ma piórko malarskie (AW)
- 8)** bekas często występujący w dyktandach
- 10)** wydają charakterystyczny, terkoczący głos
- 11)** spokrewniona z mewą
- 12)** ... jer, o pstrym upierzeniu
- 13)** złotooka kaczka zakładająca gniazda w dziuplach drzew (AW)

- 14)** stosowane przez myśliwych polujących np. na ptactwo
- 16)** sikorka, dzierlatka
- 18)** kulka z długim ogonem (AW)
- 20)** ... dwuczuby, ptak wodny
- 22)** ptak o ciemnym upierzeniu z białą tysinką na czole
- 24)** ... ruda z wciętym ogonem (AW)
- 26)** nazywany także raszką
- 28)** ptak w tytule powieści Harper Lee
- 29)** słowik szary
- 30)** zapuszczany przez budowlanców
- 31)** można w nie obrosnąć

- 32)** nietop z pampasów Ameryki Południowej
- 34)** była córką piekarza?
- 35)** kracze
- 36)** Polinezja w menażerii doktora Dolittle
- 38)** stołuje się na słońcu
- 39)** pokrzewka ogrodowa (nie mylić z leśnicówką!)
- 40)** zjedli żęby na ptakach
- 41)** czczony w starożytnym Egipcie

Pionowo:

- 1)** eksterminatorzy korników
- 3)** krzykliwe albo nieme (skojarz z bajkami) (AW)

- 4)** „... na wynos dzisiaj towarzyszy mi” – śpiewa Sanah
- 5)** klub piłkarski z Łowicza
- 6)** ptasznik
- 7)** łuszczał oliwkowo-zielony, u samca z dodatkami żółtego (AW)
- 8)** lelek ..., owadożerny ptak
- 9)** żyjąca dziko kaczka o brązowoszarym upierzeniu
- 15)** wędrowny ptak oceaniczny
- 17)** ptak z rodziny chruścieli; kokoszka
- 19)** jaskrawo upierzona, gnieździ się w opuszczonych dziuplach
- 20)** ptak – anagram prawdy
- 21)** kaczka do rozwiązania

- 23)** borowy – to lerka
- 25)** nie wystartują z lądu (AW)
- 27)** w herbie Sopotu
- 28)** nabija ofiary na kolce (AW)
- 29)** zwany także szyszakiem albo turakiem
- 33)** nieubogie sikory
- 34)** mieszkają w budkach lęgowych, naśladują głosy (AW)
- 36)** ptak z piosenki Dżemu
- 37)** klasyka Hitchcocka
- 39)** samiec z czerwoną piersią, bardzo widoczny zimą (AW)

Byle do

Weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play